

ANDRE NORTON

SENNE MANOWCE

Przełożyła Bogumiła Kaniewska

Tytuł Oryginału Perilous Dreams

Część Pierwsza
Zabawki Tamisan

I

— Ma certyfikat od samej Matki Foost, Lordzie Starrexie, jest prawdziwą fantazjotwórczynią, jej sny to przygody do dziesiątej potęgi! Jabis stawał się nachalny, niemal zbyt nachalny, za bardzo nalegał. Tamisan zachnęła się w myślach i, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, obrzuciła wszystkich błyskawicznie spojrzeniem spod przymkniętych powiek. Ta transakcja dotyczyła przede wszystkim jej, była towarem, o którym mówiono, choć ona sama nie miała tu nic do powiedzenia. Miejsce, w którym się znalazła, wyglądało jak typowa podniebna wieża. Podpory wznoszące ją wysoko ponad poziom Ty–Kry były cienkie i tak dobrze ukryte, że zdawało się, iż konstrukcja unosi się w powietrzu. Z żadnego z okien nie dostrzegało się jednak rzeczywistego widoku na zewnątrz, w każdym umieszczony był inny pejzaż przedstawiający — jak się domyślała — inne planety. Może niektóre z nich zainspirowały, czy nawet stworzyły jakieś sny... Pośrodku puszystego, miękkiego niczym zielona ruń dywanu stała wygodna sofa, na której — pół siedząc, pół leżąc — spoczywał właściciel zamku. Jabisowi nie podsunęto nawet rozkładanego stołka, stali również dwaj mężczyźni towarzyszący Lordowi Starrexowi. Obaj byli ludźmi, nie androidami — co od razu sytuowało ich pana w klasie kredytowych krezusów. Jeden z nich wyglądał, zdaniem Tamisan, na osobistego strażnika Lorda, ale strój drugiego — młodszego i szczuplejszego, o nienasyconych ustach — prawie dorównywał szatom mężczyzny na sofie i tylko nieznaczną różnicą wskazywała na to, że jego pozycja rodowa była nieco niższa. Tamisan starała się chłonąć wszystko, co widziała, i zachować to w sobie na przyszłość. Fantazjotwórczynie zwykle nie zwracały uwagi na otaczający je świat, były zbyt zagubione we własnych kreacjach, by obchodziła je rzeczywistość. Tamisan zmarszczyła brwi. Tak, była fantazjotwórczynią. Jabis i Matka Foost dobrze o tym wiedzieli. Ten próżniak na sofie też może się o tym przekonać, jeśli tylko zapłaci tyle, ile od niego żądano. Była jednak kimś jeszcze, kimś więcej, choć sama jeszcze nie wiedziała kim. Jej matka okazała się na tyle mądrą, by ukryć to, co różniło jej córkę od innych dziewcząt z Roju Matki Foost — one nie potrafiły tak gładko wracać ze snów do świata rzeczywistości. Niektóre musiały być karmione, ubierane, otaczane opieką;

wyglądały,
jakby utraciły świadomość posiadania ciała!

— Fantazjotwórczyni przygód. — Lord Starrex uniósł ramiona, a miękkie obicie sofy natychmiast zmieniło kształt, tak reagując na jego poruszenie, by zapewnić mu jak

największą wygodę. — Sny przygodowe są trochę dziecinne.

Tamisan poczuła w sobie iskrę gniewu, ale opanowała się. Dziecinne? Zapragnęła pokazać mu, jak „dziecinny” sen potrafi stworzyć, by złapać w pułapkę swego klienta. Jednak Jabis wydawał się nie wzruszony tą poniżającą uwagą człowieka, który mógł mu zapłacić;

w jego

oczach było to tylko logiczne posunięcie handlowe.

— Skoro życzysz sobie fantazjotwórczynię klasy E... — Wzruszył ramionami, zdobywając się na drobną bezczelność. — Choć zamawiałeś w Roju klasę A. Czyżby był aż tak pewny swego? — zastanawiała się Tamisan. Musiał dysponować jakimiś ukrytymi informacjami, które dawały mu całkowitą pewność, Jabis potrafił bowiem płaszczyć się i czołgać, jeśli uznał, że pomoże mu to zyskać jeden lub dwa płatki kredytu.

— Kas, ile jest wart ten twój pomysł? — spytał obojętnie Starrex. Młodszy z mężczyzn przesunął się o krok czy dwa do przodu — to z jego powodu znalazła się tutaj. Lord Kas był kuzynem właściciela tej wspaniałej posiadłości, choć z pewnością — Tamisan odkryła to wcześniej — nie posiadał żadnej władzy. Jednak to, że Starrex spoczywał na sofie, nie było wynikiem lenistwa, lecz tego, co ukrywała połykliwa, luźna, jedwabna szata okrywająca połowę jego ciała. Dla człowieka, który nigdy już nie będzie chodzić o własnych siłach, możliwości fantazjotwórczyni mogły okazać się prawdziwą rozkoszą. — Ma dziesięć punktów na skali — przypomniał mu Kas. Czarne brwi, które nadawały twarzy Lorda surowy wygląd, uniosły się lekko.

— To aż tak?

Jabis szybko skorzystał z okazji.

— Aż tak, Lordzie Starrexie, z całego wylęgu tego roku ona osiągnęła najwięcej punktów.

To dlatego... z tego właśnie powodu, oferujemy ją Waszej Lordowskiej Mości.

— Nie płacę za same słowa — odparł Starrex. Jabis nie stracił rezonu.

— Dziesięć punktów, drogi Lordzie, wyklucza pokazy. Jak sam wiesz, Rój nie wystawia

falszywych świadectw. Nie sprzedawałbym jej wcale, gdyby nie to, że mam pilne interesy na

Brok i muszę tam natychmiast wyjechać. Miałem propozycję od samej Matki Foost, by ten

egzemplarz zatrzymać i przeznaczyć wyłącznie do wydzierżawiania. Tamisan założyłaby się, gdyby tylko miała o co, albo z kim, że tę walkę wygra jej wuj.

Wuj? Tamisan nie mogła znieść myśli, że jest połączona więzami krwi z tym marnym ludzkim insektem z pooraną zmarszczkami twarzą, wiecznie rozbieganymi oczyma i chudymi dłońmi z przykurczonymi palcami, przywodzącymi jej na myśl szpony wysunięte po łup. Jej matka na pewno w niczym nie przypominała wujaszka Jabisa, w przeciwnym wypadku jej ojciec nie mógłby przecież znaleźć w niej nic, co kazałoby mu dzielić z nią łożę (i to nie przez jedną noc, lecz przez pół roku). Nie po raz pierwszy jej myśli skierowały się ku tajemnicy własnego pochodzenia. Jej matka nie tworzyła snów, ale miała siostrę, która na nieszczęście (dla stanu rodzinnego majątku) zmarła w Roju podczas stymulacji, jako fantazjotwórczyni klasy E. Jej ojciec pochodził z innego świata, był obcym, choć przypominał człowieka na tyle, by móc się z ludźmi krzyżować. Zniknął znów w innych światach, kiedy jego żądza gwiazdnej włóczęgi stała się tak silna, że nie mógł jej już opanować. Gdyby nie to, że

dość wcześnie zaczęła wykazywać swój talent do tworzenia snów, ani wuj Jabis, ani nikt inny z chciwego klanu Yeska nie poświęciłby jej nawet jednej myśli po tym, jak jej matka umarła na błękitną zarazę.

Była zatem mieszańcem i miała dość inteligencji, by domyślić się, że właśnie z tego powodu jej talent różni się od talentu innych mieszkanki Roju. Zdolność do tworzenia snów była wrodzonym darem. Dla fantazjotwórczyń o mniejszej mocy oznaczała ona właściwie nieobecność w świecie, toteż były one w większości bezużyteczne. Te natomiast, które potrafiły projektować sny i przez połączenie wprowadzać w nie innych, osiągały wysoką cenę, w zależności od siły i stałości swych kreacji. Fantazjotwórczynie klasy E, które wywoływały erotyczne, lubieżne światy, były niegdyś cenione wyżej niż śniące przygody.

Jedną w ostatnich latach rolę się odwróciły, choć nikt nie mógł zgadnąć, jak długo to potrwa.

Szczęściarze, którzy byli w posiadaniu fantazjotwórczyń klasy A, wyprzedawali w pośpiechu swój towar w obawie przed zmianą popytu.

Ukryty talent Tamisan polegał na tym, że nigdy nie zanurzała się bez reszty w krainie snu — jak ci, których do niej przenosiła. Poza tym (a odkryła to całkiem niedawno i zachowała wyłącznie dla siebie) potrafiła — do pewnego stopnia — panować nad połączeniem z nimi, nie była zatem bezwolnym więźniem zmuszonym do tworzenia snów zgodnie z cudzymi pragnieniami. Zastanowiła się, co wie o Lordzie Starrexie. To, że Jabis sprzeda ją komuś z właścicieli podniebnych zamków, było jasne od samego początku, tak jak oczywiste było, że przyjmie tę ofertę którą uzna za najkorzystniejszą. Jednak, choć w Roju krążyły najróżniejsze pogłoski, Tamisan wierzyła, że większość opowieści o zewnętrznych światach jest przesadzona i zniekształcona. Fantazjotwórczynie były przecież odgradzone ścianami i dachem od prawdziwego, normalnego życia, ich talenty rozwijano i doskonalono podczas długich sesji z projektorami tri-dee oraz taśmami informacyjnymi. Starrex, odmiennie niż inni członkowie kasty, z której się wywodził, był człowiekiem czynu. Łamiąc kastowe zwyczaje wyprawiał się w długie podróże poza granice świata.

Dopiero jakiś tajemniczy wypadek sprawił, że stał się kaleką, skrzętnie kryjącym wszakże swe niesprawne ciało. W niczym nie przypominał tych, którzy zwykle odwiedzali Rój w poszukiwaniu towaru. Choć właściwie to Lord Kas ją tu sprowadził. Leżący na sofie mężczyzna, szczelnie okryty wspaniałym jedwabiem, był postacią zagadkową. Pomyślała, że stojąc, górowałby nad Jabisem, wyglądał też na muskularnego, ale przypominał przy tym raczej swego strażnika niż kuzyna. Twarz o dziwnym obrysie — szeroka w czole i kościach policzkowych, gwałtownie zwężająca się ku wąskiej, mocnej brodzie — nadawała jego głowie niezwykle, lekko klinowaty kształt. Miał śniadą skórę, niemal tak śniadą jak zwykły astronauta. Jego ciemne włosy były obcięte tak krótko, że wyglądały jak ciasna, aksamitna czapeczka. Różnił się pod tym względem od noszącego dłuższe kosmyki krewnego. Lutraxowa tunika w rdzawym odcieniu miedzi była uszyta ze znakomitego materiału, lecz mniej zdobna niż ta, którą miał na sobie młodszy z mężczyzn. Jej rękawy były bardzo luźne i szerokie, a gdy od czasu do czasu wznosił dłoń do ramion, zsuwająca się materia odsłaniała nagą skórę. Zdobiał go tylko jeden klejnot — kamień korosu osadzony w kolczyku niczym kropla zwisająca poniżej linii szczęki. Tamisan nie wydawał się przystojny, ale było w nim coś pociągającego. Może sprawiała to aura aroganckiej pewności siebie, sprawiająca wrażenie jakby przez całe życie przywykł do tego, że spełniano wszystkie jego życzenia. Jednak nigdy przedtem nie spotkał się z Jabisem,

więc może nawet teraz Lord Starrex mógłby się czegoś nauczyć.

Wijąc się i kręcąc, oburzony lub przekonujący, wykorzystując każdą sztuczkę ze swego bogatego doświadczenia w handlu i ciemnych interesach, Jabis kontynuował transakcję.

Wzywał bogów i demony, by świadczyli o jego bezinteresownym pragnieniu sprawienia Lordowi radości. Udawał zrozpaczonego z powodu niezrozumienia jego prawdziwych intencji. Było to wspaniałe przedstawienie i Tamisan starała się zapamiętać co smaczniejsze kawałki i przechować je w swoim zbiorze wykorzystywanym w tworzeniu snów. To było znacznie bardziej fascynujące niż tri-dee. Zastanawiała się nawet, dlaczego ten dziejący się realnie dramat nie jest dostępny w Roju. Może Matka Foost i jej pomocnicy obawiają się, że tak samo jak wszystkie inne okrucy rzeczywistości mogłyby wytrącić śniące z właściwego im stanu pograżenia we własnym, śnionym świecie.

Przez chwilę odnosiła wrażenie, że Lorda Starrexa również bawi ten spektakl. Wprawdzie na jego twarzy pojawił się wyraz znużenia, ale było to normalne w przypadku każdego, kto kupował sobie prywatnego fantazjotwórcę. Wtem, jakby zniecierpliwiony, stanowczym gestem przerwał Jabisowi jedno z jego najgorliwszych błagań o niebiańskie poświadczenie, że chodzi mu wyłącznie o zwrot poniesionych kosztów. — Człowieku, jestem zmęczony, weź swoją zapłatę i odejdz. — Zamknął oczy na znak zakończenia posłuchania.

Strażnik wyjął zza pasa płatek kredytu i wyciągnął długie ramię ku Lordowi Starrexowi, który odcisnął na nim swój kciuk, przypieczętowując transakcję, a następnie rzucił kredyt Jabisowi. Płatek spadł na podłogę, więc mały człowieczek musiał zeszkrobać go paznokciami.

Tamisan zauważyła, jak Jabisowi ściemniały oczy. Nie przepadał za Lordem Starrexem, co, oczywiście, nie oznaczało pogardy dla płatka kredytu, po który musiał się schylić. Wycofując się w ukłonach, nawet nie spojrzął na Tamisan, stojącą bez ruchu jak android. Podszedł do niej Lord Kas i lekko dotknął jej ręki, jakby sądził, że potrzebuje przewodnika. — Chodź — powiedział, zaciskając palce wokół jej nadgarstka. Lord Starrex nie zwracał uwagi na swój nowy nabytek.

— Jak masz na imię? — Lord Kas mówił wolno, podkreślając każde słowo, jakby musiał przedzierać się przez jakąś zasłonę między nimi. Tamisan domyśliła się, że miał dotąd do czynienia z fantazjotwórczyniami niższej klasy, które zawsze gubią się w rzeczywistym świecie. Ostrożność podpowiedziała jej, by utwierdzić go w przekonaniu, iż tkwi w stanie podobnego oszołomienia. Powoli podniosła głowę, starając się sprawiać wrażenie osoby, której z trudem udaje się skoncentrować.

— Tamisan — odezwała się po dłuższej przerwie. — Tamisan. — Tamisan to ładne imię — mówił jak ktoś, kto zwraca się do nierozgarniętego dziecka.

— Jestem Lord Kas. Chcę być twoim przyjacielem.

Tamisan, uwrażliwiona na najmniejszą zmianę tonu głosu, pomyślała, że dobrze zrobiła, udając oszołomioną. Kimkolwiek był ten Kas, na pewno nie darzył każdego przyjaźnią, zwłaszcza wówczas, gdy nie służyło to jego planom.

— Oto twoje komnaty. — Poprowadził ją w dół holu, ku odległym drzwiom. Przesunął dłonią po ich powierzchni, aby odsunąć lekką zasuwkę. Później, trzymając ją wciąż za rękę, wprowadził Tamisan do wysoko sklepionego pokoju. Zakrzywionej ściany nie przecinało ani jedno okno. Pomieszczenie miało owalny kształt, a podłoga

opadała szerokimi, płytkimi stopniami aż do środka, gdzie znajdował się niewielki basen z fontanną rozpylającą pachnącą mgłę, opadającą następnie do basenu w kolorze kości. Na stopniach leżało mnóstwo poduszek i poduszeczek w pastelowych odcieniach błękitu i zieleni. Owalne ściany były pokryte udrapowaną jasnoszarą siatką z lśniącego zidexu, ozdobioną bladzielonymi paskami i splotami. Komnatę urządzonego z ogromną starannością. Być może Tamisan była kolejną z zamieszkujących ją fantazjotwórczyń, bo miejsce to okazało się wręcz wymarzone do wypoczynku śniących, wyposażone w luksusy, o jakich nawet w Roju nikomu się nie śniło.

Jedna ze ściennych draperii uniosła się i pojawiła się pokojówka–android. Jej głowa była spłaszczoną kulą z szeroko rozstawionymi płytkami oczu i sensorami słuchu — nic więcej nie zakłócało gładkiej powierzchni. Jej nagi korpus o ludzkim kształcie miał barwę kości słoniowej.

— To jest Porpae — powiedział Kas. — Będzie się tobą opiekowała. Moja strażniczka — pomyślała Tamisan. Nie wątpiła w to, że android otoczy ją najstaranniejszą, a przy tym niekrępującą opieką, ale wiedziała także, że ta istota w kolorze kości słoniowej stanie pomiędzy nią a nadzieją na wolność.

— Przekazuj jej każde swoje życzenie. — Kas puścił jej dłoń i odwrócił się do drzwi.

—

Kiedy Lord Starrex zapragnie śnić, przyśle po ciebie.

— Jestem do usług — wymamrotała i była to właściwa odpowiedź. Odprowadziła wzrokiem wychodzącego Lorda i spojrzała na Porpae. Tamisan nie bez powodu przypuszczała, że android został tak zaprogramowany, by rejestrować każdy jej ruch.

Czy jednak ktokolwiek stąd uwierzyłby w to, że fantazjotwórczyni chce być wolna? Twórcy snów pragną tylko śnić, sny są całym ich życiem. Opuszczenie miejsca, które zostało stworzone po to, by żyć, śnić, wyglądałoby na samozagładę, o której prawdziwa fantazjotwórczyni nigdy by nie pomyślała.

— Jestem głodna — powiedziała androidowi. — Chcę jeść. — Będzie jedzenie. — Porpae podeszła do ściany, znów odsunęła siatkę i odsłoniła rzędy guzików, które wciskała w jakimś skomplikowanym porządku. Posiłek podano na tacy, każdą potrawę w innym — ciepły lub zimny — pojemniczku. Jedząc, Tamisan rozpoznawała dania, które zazwyczaj składały się na dietę twórczyń snów, ale były o wiele lepiej ugotowane i smaczniej podane niż w Roju. Najedzona, wykąpała się w łazience, którą Porpae wskazała jej za innym fragmentem ściany z siatki, a potem zasnęła słodko i spokojnie na poduszkach obok basenu, ukołyszana szumem wody. W owalnym pokoju czas tracił swoje znaczenie. Tamisan. jadła, spała, kąpała się i przeglądała taśmy tri–dee, które dostarczyła jej Porpae. Gdyby niczym nie różniła się od swych współplemieńców z Roju, ten tryb życia byłby dla niej ideałem. Ona jednak niepokoiła się coraz bardziej, gdyż wezwanie, które miało stać się okazją do zaprezentowania całego jej kunsztu, wcale nie nadchodziło. Zdawało się, że nikt z mieszkańców podniebnego zamku nie pamiętał o niej, uwięzionej w owalnej komnacie. Przy drugim przebudzeniu Tamisan stwierdziła, że może zrobić już tylko jedno. Fantazjotwórczyni — jeśli została kupiona na własność, a nie tylko wdzierzawiona z Roju — mogła, a nawet powinna zbadać osobowość pana, któremu służy. Teraz miała prawo zażądać taśm dotyczących Lorda Starrexa. Byłoby wręcz dziwne, gdyby tego nie uczyniła, toteż poprosiła o nie od razu. Nareszcie dowie się czegoś o Starrexie i jego rodzice.

Kas posiadał niegdyś własną fortunę, którą stracił wskutek jakiegoś kataklizmu, kiedy był jeszcze dzieckiem. Został adoptowany przez ojca Starrexa, głowę klanu i — ponieważ Starrex był kaleką — często występował jako jego zastępca. Strażnik nazywał się Ulfilas i był najemnym żołnierzem pochodzącym z innego świata. Lord przywiózł go z jednej ze swych gwiazdnych wypraw. Sam Starrex jednak, poza garstką dostępnych jej faktów, pozostawał tajemnicą. Tamisan ogarnęły wątpliwości, czyw ogóle przypomina on innych ludzi. Porzucił świat w poszukiwaniu odmiany, ale to, co znalazł, nie ukoilo tkwiącego w nim znużenia życiem. Zapisy dotyczące jego spraw prywatnych były bardzo skape. Tamisan uwierzyła w to, że traktował swych domowników jak narzędzia, których można użyć w potrzebie lub je wyrzucić, gdy stają się zbędne. Nie był żonaty, a jego związek z kobietą, którą wprowadził do swego domu (bardziej na skutek jej wysiłków niż własnych starań), okazał się nietrwały i prędko dobiegł końca. Był tak zamknięty w skorupie obojętności, że fantazjotwórczyni zaczęła się zastanawiać, czy osoba kryjąca się za tą zewnętrzną powłoką jest jeszcze prawdziwym człowiekiem. Próbowwała też domyślić się, dlaczego zezwolił, by Kas sprowadził ją tu jako kolejny przedmiot. Właściciel musi współpracować z twórcą snów, jeśli pragnie jakichś efektów, a z tego, co Tamisan wyczytała na taśmach, wynikało, że obojętność Starrexa stanie się prawdziwą barierą w osiągnięciu tego celu. Im więcej było tych złych wieści, tym bardziej stawały się one dla niej wyzwaniem. Leżała na brzegu basenu, rozmyślając, i nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jej rozważania odbiegają od surowych ćwiczeń umysłu fantazjotwórczyni z dziesięcioma punktami. Dostarczenie Starrexowi snu, który mógłby go urzec, było prawdziwym wyzwaniem. Miała działać we śnie, ale to co już przećwiczyła, choć bardzo trudne, nie zadowoliłoby go. Właśnie dlatego musi stworzyć zupełnie nowe przygody. Żyli w świecie, który wiedział już niemal wszystko, podróże gwiazdne stały się faktem; a taśmy — choć nie podawały żadnych szczegółów na temat podróży Starrexa w zaświaty — świadczyły jednak o tym, że Lord doświadczył już bardzo wiele z tego, co oferował jego czas. Mogło go pociągnąć tylko nieznanne. Taśmy nie wskazywały na to, by tkwiły w nim jakieś skłonności do perwersji czy sadyzmu. Wiedziała też, że gdyby je miał, to nie ona powinna znaleźć się tutaj.

Poza tym Kas zaznaczyłby to, składając zamówienie w Roju. Na zwitkach przeszłości znalazła wiele opowieści, z których czerpać mógł każdy, ale także wiele takich, które trzeba było odkryć na nowo, przypomnieć. Opowieści o przyszłości były już zużyte, wyświechtane. Tamisan ściągnęła ciemne brwi ponad przymkniętymi oczyma. To banał, wszystko, o czym myślała, było banalne! Czemu jednak miałyby się tym tak przejmować. Nie wiedziała nawet, skąd wzięło się w niej to ogromne pragnienie, by stworzyć taki sen, który — gdy zostanie wezwana — wytrąci Starrexa z jego skorupy, udowodni mu, że warta jest swojej rangi. Może prowokował ją częściowo fakt, że jej nie wzywa, nie chce przekonać się ojej zdolnościach, sugerując swoją obojętnością, że nie sądzi, by miała coś do zaoferowania.

Mogła ściągnąć tu z Roju całą bibliotekę taśm, najbogatszy zbiór na gwiazdnych szlakach.

Cóż, statki kosmiczne wyruszają na wyprawy tylko po to, by dostarczyć informacji, które posłużą za inspirację twórczyniom snów!

Przeszłość... wróciła myślami do historii. Wszystko wydawało się zbyt banalne dla jej celów. Czym właściwie jest historia. To seria zdarzeń, czynów jednostek albo narodów.

Czyny wywołują jakieś skutki. Tamisan usiadła wśród poduszek. Skutki! Jeden czyn miewał czasem bardzo dalekosiężne rezultaty: śmierć władcy, zwycięska bitwa, pomyślne lądowanie statku kosmicznego albo fakt, że nie udało mu się wylądować. Zatem... Pomysł, który majaczył w jej głowie, zyskał konkretny kształt. Przeszłość kryje wiele szlaków wędrownych poza jedyną, znaną już drogą. Tylko jak to wykorzystać? Ma mnóstwo możliwości. Dłonie Tamisan zacisnęły się na materii okrywającej ją szaty. Zamyśliła się.

Potrzebowała więcej czasu... Już nie drażniła, obojętność władcy. Przyda jej się każda minuta tej obojętności.

— Porpae!

Android wyłonił się zza siatki.

— Potrzebuję pewnych taśm z Roju. — Tamisan zawahała się. Mimo zniecierpliwienia musi wyglądać na spokojną i pewną siebie. — Wiadomość dla Matki Foost: przesłać Tamisan u Starrexa zwoje historii Ty–Kry z ostatnich pięciuset lat. Była to historia miasta leżącego u stóp podniebnego zamku. Zacznie od małego wycinka, ale będzie mogła sprawdzić swój pomysł. Dziś tylko jedno miasto, jutro świat, a później... kto wie? Może Układ Słoneczny? Opanowała swój entuzjazm. Miała dużo do zrobienia, potrzebowała rejestratora notatek i czasu. Na Cztery Cycki Vlasty... oby się tylko udało!

Wszystko wskazywało na to, że czasu jej wystarczy, choć na samym dnie umysłu Tamisan tlił się niepokój, że w każdej chwili może zostać wezwana do Starrexa. Nadeszły jednak taśmy wraz z rejestratorem z Roju. Przejrzała jedną po drugiej i zanotowała wszystko, czego się dowiedziała. Kiedy zwróciła taśmy, gorączkowo przeglądała notatki. Ten pomysł stał się dla niej czymś więcej niż tylko sposobem dogodzenia wymagającemu panu, pochłonał ją całkowicie. Uległa mu tak, jakby była twórczynią niższej rangi, całkowicie uwikłaną we własną kreację. Kiedy to spostrzegła, przerwała badania i wróciła do taśm dotyczących domu Starrexa, by dowiedzieć się jeszcze czegoś na temat Lorda. Akurat zdążyła na powrót zająć się swoimi notatkami, kiedy w końcu została wezwana. Nie wiedziała, ile czasu spędziła już w zamku. Dni i noce w owalnym pokoju wyglądały bowiem tak samo. Tylko staranna Porpae czuwała nad jej posiłkami i odpoczynkiem. Kiedy przyszedł Lord Kas, w porę przypomniała sobie rolę zagubionej twórczyni snów.

— Dobrze ci, szczęśliwie? — Użył konwencjonalnego powitania.

— Cieszę się życiem.

— Wolą Lorda Starrexa jest, by wstąpić w sen. — Wyciągnął do niej rękę, przyjęła jego gest. — Lord Starrex ma wielkie wymagania, postaraj się jak najlepiej, fantazjotwórczyni — brzmiało to jak ostrzeżenie.

— Fantazjotwórczyni śni — odparła cicho. — Dzielić się może tym, co wyśni. — To prawda, ale trudno zadowolić Lorda Starrexa. Postaraj się, fantazjotwórczyni.

Nie odpowiedziała. Pociągnął ją za sobą do szarego szybu i zjechali na dół.

Pokój, do

którego weszli, był przygotowany w sposób dobrze jej znany: sofa dla twórcy snów, druga dla

tego, kto miał wstąpić w sen, między nimi maszyna łącząca. Poza tym jednak znajdowała się

tu jeszcze trzecia sofa. Tamisan spojrzała zdziwiona.

— Śni dwoje, nie troje. Kas potrząsnął głową.

— Lord Starrex życzy sobie, aby sen dzielił ktoś jeszcze. To maszyna nowego typu,

bardzo silna. Została dobrze sprawdzona.

Kim będzie ten trzeci? Ulfilas? Czy Lord Starrex uważa, że musi zabrać do snu swego osobistego strażnika? Drzwi rozsunęły się znowu i wszedł Lord Starrex. Szedł sztywno, jedna noga zwisała mu bezwładnie, jakby nie mógł ugiąć jej w kolanie ani zapanować nad mięśniami, wspierał się ciężko na androidzie. Gdy służący ułożył go na sofie, nawet nie spojrzął na Tamisan, ale skinął lekko głową Kasowi.

— Ty również zajmij swoje miejsce — rozkazał.

Czyżby Starrex bał się uśpienia i potrzebował kuzyna, który najwyraźniej śnił już przedtem, jako podpory? Sięgając po koronę snu, Starrex odwrócił się do niej, naśladowując ruch, jakim umieściła krąg na własnej głowie.

— Zobaczmy, co możesz nam pokazać. — W jego głosie słychać było nutkę wrogości, to właśnie było wyzwanie: pokaże mu, że potrafi stworzyć to, w co on nie potrafi uwierzyć.

II

Teraz nie mogła sobie pozwolić na myśli o Starrexie, musiała skoncentrować się na śnie.

Stworzy go. Jej dzieło z pewnością będzie równie doskonałe, jak marzenia o nim. Tamisan

zamknęła oczy, zebrała całą wolę, ściągnęła do swej fantazji wszystkie wątki utkane przez jej badania i zaczęła snuć sen. Przez chwilę, przez mgnienie oka, jego początek przypominał

wszystkie inne sny, by natychmiast...

Nie przyglądała się mu, z uwagą i skupieniem obserwując, jak zręcznie go wysnuwa. Nie, było to tak, jakby pajęczyna snu nagle stała się rzeczywista i uwięziła ją, tak jak błękitnoskrzydłego drotaila w sieć pająka—olbrzyma. Tamisan nigdy jeszcze tak nie śniła, strach tak gwałtownie ścisnął ją za gardło i piersi, że krzyknęłaby z przerażenia, gdyby była w stanie wydobyć z siebie głos. Spadała w dół, z jakiegoś wysoko położonego punktu, wreszcie upadła w jakieś krzaki, które zamortyzowały upadek, choć i tak była potłuczona i półprzytomna. Leżała bez ruchu, z trudem łapiąc powietrze, bała się otworzyć zaciśnięte powieki, by nie zobaczyć, że rzeczywiście zabłąkała się w jakiś przeraźliwy koszmar zamiast snu.

Leżąc, powoli przewycięzała oszołomienie i próbowała zapanować nie tylko nad swoim strachem, ale także nad swą mocą fantazjotwórczyni. Po chwili ostrożnie otworzyła oczy.

Zobaczyła nad sobą bladozielone niebo, ze smugami wąskich, szarych chmur przypominających zaciśnięte, długie palce. Było tak rzeczywiste, jak tylko rzeczywiste może być niebo, jakby spacerowała pod nim w swym własnym czasie i miejscu. We własnym czasie i miejscu! Przypomniała sobie o pomyśle, który miał zadziwić Starrexa. Zaraz powróciła jej jasność umysłu. Czyżby przez swoją pracę nad nową teorią, przez próbę zmiany snów i wytrącenia z pancerza obojętności znudzonego mężczyzny, spowodowała to właśnie?

Tamisan usiadła, krzywiąc się z bólu, i rozejrzała dookoła. Znalazła się na samym

szczyt niewielkiego wzniesienia. Otaczająca ją kraina wyglądała na dziką. Trawa była gładka i przystryżona, widniejące tu i ówdzie skały ręką rzeźbiarza zmieniła w postaci, niektóre z nich były okryte szatami z kwitnącej winorośli. Inne, zupełnie nagie skalne figury zdawały się poważne i zadumane. Ich twarze kierowały się ku murom u stóp wzgórz. Rzeźby różniły się kształtem — niektóre nieco przypominały człowieka, inne — raczej potwory. Tamisan przyjrzała się im dokładniej, ale nie przywodziły jej na myśl niczego. Nie pochodziły z jej wyobraźni.

Za murem widać było skupisko jakichś budowli. Dotąd miała okazję oglądać tylko podniebne zamki, te tutaj — mniejsze i bardziej materialne — wyglądały ciężko i niezgrabnie. Najwyższy nie przekraczał trzech pięter. Tutejsi mieszkańcy nie wznosili budowli do gwiazd, lecz raczej ściśle przywierali je do ziemi. Tylko gdzie było to „tutaj”? Nie pochodziło z jej snu. Tamisan zamknęła oczy i skoncentrowała się na początku zaplanowanego snu. Owszem, mieli udać się do innego świata, zrodzonego w jej wyobraźni, ale to nie był ten świat. Jej zamysł był bardzo prosty, choć, o ile wiedziała, nikt jeszcze nie wykorzystał go w swoich snach. Opierał się na przekonaniu, że historia świata zmieniała się w przeszłości wielokrotnie. Wybrała sobie z niej trzy kluczowe punkty i zaczęła zastanawiać się nad tym, co by się stało, gdyby los odwrócił ich zakończenia. Teraz, zaciskając powieki, by nie widzieć rzeczywistości, w którą spadła, Tamisan z najwyższą determinacją starała się skoncentrować na tych wybranych wydarzeniach.

„Powitanie Królowej Królów Ahta” — wymieniła pierwsze z nich. Co by się stało, gdyby pierwszy statek kosmiczny po wylądowaniu nie został uznany za zjawisko nadprzyrodzone, a małe królestwo, w którym dotknął ziemi, nie zobaczyłoby w jego załodze bóstw, lecz powitało ich zatrutymi strzałami, jakich później używano w kosmosie? To był jej pierwszy wybór.

„Zagubienie »Wędrowca« — drugie. Był to statek przewożący kolonistów, który zboczył znacznie ze swojego kursu na skutek usterki komputera i musiał natychmiast lądować, by ocalić pasażerów. Gdyby ten błąd nie zaistniał i „Wędrowiec” wylądował u celu, zakładając nową kolonię, co stałoby się dalej?

„Śmierć Sylta Słodkoustego przed dotarciem do Ołtarza Ictio”. Wieszczyk mógł nigdy nie zyskać swej srogiej mocy, która doprowadziła do wybuchu krwawego powstania, przenoszącego się od świątyni do świątyni, i pogrążającego w ciemnościach trzy czwarte świata.

Wybrała te wydarzenia, choć nawet nie była pewna, czy jedno nie zniosłoby drugiego. Sylt poprowadził powstanie przeciwko osadnikom z „Wędrowca”. Gdyby nie powitanie... Tamisan nie była pewna, próbowała tylko odnaleźć porządek wydarzeń, by potem stworzyć w wyobraźni nowy, wynikający z tych zmian świat. Znowu otworzyła oczy. To nie był stworzony przez nią świat. Nikt nie naraża się na siniaki i otarcia we własnym śnie, nie siedzi na mokrej ziemi, czując podmuchy wiatru, i nie pozwala, by pierwsze krople deszczu moczyły mu włosy i ubranie. Uniosła obie dłonie ku włosom. Co z koroną snu? Jej palce natrafiły na splot z metalu, brak było jednak kabli. Po raz pierwszy przypomniała sobie wtedy, że kiedy to się stało, była połączona z Starrexem i Kasem.

Tamisan zerwała się na równe nogi, niemal spodziewając się, że zobaczy ich obu gdzieś w pobliżu. Była jednak sama, a deszcz padał coraz gęściej. Obok muru stała jakaś zadaszona budowla, pobiegła tam. Trzy rzeźbione spiralnie kolumny podtrzymywały niewielki dach.

Schronienie było pozbawione ścian, Tamisan skuliła się na samym środku, aby uniknąć kropel niesionych przez wiatr. Nie mogła pozbyć się uczucia, że to nie jest sen, lecz najprawdziwsza rzeczywistość.

A jeśli... jeśli możliwe było wyśnienie czegoś, co istnieje naprawdę? Tamisan ogarnęła paniczny lęk, starała się rozważyć taką ewentualność. Czyżby znalazła się w realnie istniejącym Ty–Kry, a wydarzenia, które odmieniła swoją wyobraźnią, miały zajść naprawdę?

A jeśli tak, to czy mogłaby powrócić tam, skąd przyszła, roznuwając ich odwrotną wizję?

Zamknęła oczy i skoncentrowała się. Poczowała skurcz żołądka i zrobiło się jej niedobrze.

Próbowała się uwolnić, ale ściągnęło ją nagłe szarpnięcie. Podjęła próbę raz jeszcze, z tym samym rezultatem. Trzęsąc się od mdłości, zrezygnowała z dalszych prób. Wzdrygnęła się, otworzyła oczy i popatrzyła na deszcz. Znow zaczęła rozmyślać nad tym, co się stało. Przykre uczucie, jakiego doznała przed chwilą, przypominało to, które towarzyszyło przerywaniu snu.

To zaś mogło oznaczać, że jednak śni. Najwyraźniej też jest w tym śnie uwięziona. W jaki sposób? I dlaczego? Zmrużyła lekko oczy, choć wpatrywała się w samą siebie, a nie w zroszony deszczem ogród przed sobą. Kto ją tu więzi? Przypuśćmy... przypuśćmy, że jeden z tych, którzy przygotowywali się do tego, by dzielić ze mną sen, znalazł się tu także... może obaj... choć nie w tym samym miejscu, co ja... muszę zatem ich odnaleźć. Musimy wrócić razem, bo inaczej zaginiony pociągnie za sobą pozostałych. Znaleźć ich i to od razu!

Dopiero teraz spojrzała na wilgotną szatę, która przylepiła się do jej smukłego ciała. Nie był to popielaty kostium, jaki zwykły nosić twórczynie snów. Ten strój był długi, omiatał jej kostki. Był fioletowy, a jego ciemny odcień wydał się Tamisan niezwykle stosowny i przyjemny. Od wycięcia aż po kolana biegł pas pokryty niezwykle misternym haftem, tak zdobnym i skomplikowanym, że niezwykle trudno było określić jego wzór. Dopiero po dłuższej chwili przyglądania się, spostrzegła, ku swemu zdumieniu, że przypomina on nie tyle misterny splot tkaniny, co stronicę manuskryptu. Widywała takie na kasetach video z zamierzchłej przeszłości. Nitki haftu miały barwę metalicznej zieleni i srebra, tylko gdzieś tam muśniętej jaśniejszym odcieniem fioletu. Jej talię opasywał łańcuch ze srebra spięty szeroką klamrą wysadzaną fioletowymi klejnotami. Przy pasie wisiała zamykana sakiewka. Od kibici aż po dekolt suknia była ozdobiona srebrnymi sznureczkami, przeplecionymi przez obwiedzione metalem oczka. Jej rękawy były długie i szerokie, przecięte od łokci na cztery części, które opadły swobodnie, gdy podniosła rękę, aby zdjąć koronę.

To, co zdjęła, w niczym jednak nie przypominało czapeczki ściśle dopasowanej do jej gładko ostrzyżonej głowy. Była to opaska ze srebra. Umieszczone w jej wnętrzu druciki i pasy zbiegały się w kształt stożka, dodając jej stopę czy dwie wzrostu. Miejsce, w którym się łączyły, było przepięknie wyrzeźbionym ptakiem, ze skrzydłami wzniesionymi niczym do lotu i oczyma z lśniących, drogocennych kamieni. Ptak ten był tak wykonany, że kiedy odwróciła koronę, długa ptasia szyja poruszyła się, a skrzydła uniosły lekko. Tak ją to zaskoczyło, że upuściła koronę, sądząc, że może być żywa. Wkrótce jednak rozpoznała ten przedmiot, przypominała sobie taśmy z przeszłości. Był to flakar Olavy. Fakt, że miała go na głowie, oznaczał

tylko jedno — była Głosem, Głosem Olawy, trochę kapłanką, trochę czarodziejką, a także — co dość dziwne — magiczką. Miała szczęście: jako Głos Olawy mogła wędrować dokąd tylko chciała, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, nie budząc podejrzeń — wędrowki były zwykłą częścią jej życia. Zanim znów nałożyła koronę, Tamisan przesunęła dłonią po głowie. Nie poczuła pod palcami szorstkiej, krótkiej czuprynki fantazjotwórczyni, lecz miękkie, długie, nasączone wilgocią kosmyki, które wijąc się, opadały na jej czoło, na karku natomiast związane były w kitkę. Zwykle, oczywiście, obmyślała swój wygląd w snach. Tym razem jednak nic takiego nie stworzyła. Głosem Olawy została również wbrew własnej woli. Jednak Olava pochodził z czasów panowania Królowej Królów. Czyżby w jakiś sposób cofnęła się w czasie? Im prędzej dowie się, gdzie i w jakim czasie się znalazła, tym lepiej.

Deszcz przestawał padać i Tamisan opuściła swoje schronienie. Ujęła długą spódnicę w obie dłonie i zaczęła wspinać się na szczyt wzgórza. Tam obracała się powoli, próbując odnaleźć jakiś dowód na to, że nie została wrzucona do tego dziwnego świata w pojedynek.

Nie zobaczyła jednak nic poza figurami wyrytymi w skałach i niewielkimi zagonami sporych kwiatów. W dole widać było mur i zadaszone miejsce, które właśnie opuściła. Jednak z tyłu, za plecami, miała następne zbocze, prowadzące na wyższe wzgórze — jego szczyt uwieńczony był dachem, widocznym tylko częściowo, zasłaniała go bowiem ściana drzew oarnu. Na obu końcach dach wygięty był ku górze, co wywoływało dziwaczne wrażenie, że budynek został wyposażony w parę uszu. Gładka powierzchnia miała zieloną barwę, lśniąca nawet mimo chmur na niebie. Rozglądając się na prawo i lewo, Tamisan dostrzegła załamania muru, fragmenty skalnych postaci, kwiatów i krzewów. Podciągnęła wyżej sukienkę i ruszyła w górę stoku, aby odnaleźć jakąś drogę, czy może ścieżkę, która zaprowadziłaby ją na szczyt.

Akurat omijała gąszcz potężnych krzaków obsypanych wielkimi, fioletowymi kwiatami, gdy natknęła się na to, czego szukała. Droga była szeroka wybrukowana niewielkimi, barwnymi otoczkami, mocno osadzonymi w twardej powierzchni traktu. Ciągnęła się od otwartej bramy u stóp wzgórza ku budowli. W kształcie tego budynku Tamisan odnajdywała coś znajomego, choć nie bardzo wiedziała co. Być może przypominał jej coś widzianego na taśmach tri-dee. Drzwi domu miały ten sam kolor jaskrawej zieleni co dach, ale ściany były kremowożółte, przecięte w regularnych odstępach przez wąskie, długie okna, sięgające od ziemi po sam dach. Akurat zatrzymała się, zastanawiając się, gdzie widziała już taki budynek, gdy z domu wyszła jakaś kobieta. Ona także miała na sobie długą suknię ze stanikiem ozdobionym sznureczkami i rękawami przeciętymi do łokcia. Jej szata była zielona, w identycznym odcieniu co drzwi domu i kiedy stanęła na ich tle, widać było tylko głowę oraz ramiona. Machała energicznie ręką i Tamisan nagle pojęła, że to ona sama przyzywana jest tym gestem, jakby się jej tu spodziewano. Znowu poczuła lęk. Przywykła do spotkań i rozstań w snach, ale przecież zawsze odbywały się one według jej zamysłu, nigdy nie prowadziły do celu, który był jej obcy. Ludzie, których śniła, byli niczym marionetki, jak elementy układanki, przesuwane tu i tam, zawsze zgodnie z jej wolą. — Tamisan, pospiesz się! Oni czekają! — zawołała kobieta. Tamisan poczuła nagłą chęć, by jak najszybciej ruszyć w przeciwnym kierunku, i tylko potrzeba dowiedzenia się czegoś więcej na temat swego położenia powstrzymała ją i skłoniła do pójścia w stronę kobiety, choć wiedziała, że może oznaczać to zagrożenie. — Och, jesteś mokra! To nie jest pora na spacer po ogrodzie. Pierwsza prosi o słowa Głosu. Jeśli ma cię hojnie nagrodzić, nie pozwól, aby straciła cierpliwość! Uchyliły się drzwi do ciasnej sieni, a kobieta w zieleni

skierowała tam Tamisan. Po chwili dziewczyna znalazła się w obszernej komnacie, gdzie stały ustawione w krąg sofy. Przy każdej znajdował się mały stół zastawiony potrawami, które właśnie sprzątały pokojówki; posiłek dobiegał akurat końca. W tkwiących pomiędzy kanapami lichtarzach, wysokich jak ona sama, płonęły świece o grubości jej ramienia. Dawały one nie tylko światło, wydzielały także jakiś słodki zapach. W głównym miejscu kręgu stało krzesło z wysokim oparciem i rozpostartym nad nim baldachimem. Siedziała tam kobieta z pucharem w dłoni. Futro, okrywające jej ramiona, zasłaniało niemal całkowicie szatę, tylko gdzieś tam blask świec odbijał się w złotej materii. Pod kapturem, w tym samym, metalicznym kolorze, widoczna była tylko jej twarz — bardzo pomarszczona twarz staruszki z zapadniętymi oczami.

Tamisan zauważyła, że na sofach siedzieli zarówno mężczyźni, jak i kobiety; te ostatnie zajmowały miejsca bliższe krzesłu sędziwej matrony. Dokładnie naprzeciwko niej stało drugie, równie wspaniałe krzesło, jednak bez baldachimu; przed nim znajdował się stół, na którym, we wszystkich czterech rogach, umieszczono maleńkie miseczki: kremową, blad różową, błękitną! zieloną w odcieniu morskiej pianki. Wiedza, jaką posiadała Tamisan, okazała się przydatna. Te miseczki służyły magii Głosu, najwyraźniej oczekiwano od niej przepowiedni. Co też uczyniła najlepszego, pozwalając się tu sprowadzić? Czy zdoła udawać tak mądrą, by oszukać całe zgromadzenie? ‘

— Czuję głód, Głosie Olawy, choć nie brak mi tego, co żywi ciało. To głód ducha — stara kobieta lekko pochyliła się do przodu. Jej głos był wprawdzie stłumiony przez wiek, miał jednak w sobie siłę, siłę człowieka, którego słowa i rozkazy nie znały sprzeciwu.

Tamisan wiedziała, że będzie musiała improwizować. Była przecież fantazjotwórczynią i w swoich snach tworzyła wiele niezwykłych rzeczy. Mokra spódnica nieprzyjemnym chłodem oblepiła jej nogi, kiedy — nie odpowiadając kobiecie — podeszła do krzesła i usiadła. Szukała pomocy w jakichś ukrytych zakamarkach pamięci, które istniały jakby poza nią samą, choć jeszcze sobie tego w pełni nie uświadamiała. — Co chciałabyś wiedzieć, Pani z Pierwszych? — Intuicyjnym gestem podniosła ręce i palcami wskazującymi dotknęła prawej i lewej skroni.

— Co mnie czeka... i moich. — Ostatnie dwa słowa brzmiały niemal jak echo. Tamisan bezwolnie wyciągnęła ręce. Opanowała własne zaskoczenie. Czuli się tak, jakby powtarzała czynność, której wyuczyła się tak dobrze jak sztuki snu. W lewą dłoń ujęła pełną garść piasku z kremowej miski. Był on o odcień lub dwa ciemniejszy niż ścianki naczynia.

Nagłym ruchem nadgarstka podrzuciła ziarenka, które rozsypały się po powierzchni stołu.

Wszystko, co robiła, działo się poza jej świadomością, tak jakby kierował nią jakiś inny umysł. Jednak po sposobie, w jaki kobieta na krzesle pochyliła się do przodu, po ciszy, jaka zapanowała wokół, domyśliła się, że postępuje prawidłowo. Choć jej mózg nadal nie wydawał jej żadnych poleceń, prawa ręka Tamisan powędrowała ku

błękitnej misce z niebieskim piaskiem. Tym razem nie wyrzuciła go. Podniosła tylko zaciśniętą pięść z ziarenkami piasku i powoli wypuszczała strużkę na stół. Piaskowa nitka rysowała wzór na utworzonym wcześniej tle. Był to jakiś znak, nie tylko przypadkowo rozrzucone ziarna.

Piasek ułożył się w kształt miecza z gardą rękojeści i lekko zakrzywioną klingą zwiężającą się ku ostrzu. Teraz jej ręka powędrowała do różowego naczynia. Piasek, po który sięgnęła, był ciemnoczerwony, żywszy od innych barw. Rysowała nim jakby świeżo utoczoną krew. Znowu podniosła zaciśniętą pięść, a strużka wyciekająca z jej dłoni nakreśliła sylwetkę statku kosmicznego! Jego zarys różnił się nieco od tych, jakie zdarzało się jej w życiu widywać, ale bez wątpienia był to kosmiczny pojazd narysowany na stole. Sprawiał wrażenie, jakby bał się zbliżyć do miecza. Choć może było na odwrót?

Usłyszała wokół siebie jęk zaskoczenia, czy może strachu. Nie wydała go jednak kobieta, która prosiła o przepowiednię. Musiał wyrwać się którejs z towarzyszących jej osób, zapatrzonych w obrazy, jakie malowała lotnym piaskiem. Prawa dłoń Tamisan sięgnęła teraz do czwartej miski. Tym razem nie nabrała pełnej garści piasku, lecz wzięła tylko sporą szczyptę. Podniosła ją wysoko, zamkniętą pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, i wypuściła. Zielone drobinki spływały w dół... i utworzyły krąg, w którym brakowało jednego fragmentu. Wpatrzyła się w ten znak, a on zdawał się zmieniać pod wpływem jej wzroku.

Doskonale znała ów symbol; westchnęła bezwiednie. Było to, uproszczone wprawdzie, ale doskonale czytelne godło Dworu Starrexa. Jego obwód nakładał się na skraj statku i ostrze miecza.

— Odczytaj to! — zażądała ostro dostojniczka.

Tamisan nie wiedziała, skąd pojawiły się w jej głowie słowa:

— Ten miecz to oręż wzniesiony w obronie Ty–Kry.

— Z pewnością, z pewnością— zaczęto szeptać po sofach.

— Statek sprowadza niebezpieczeństwo.

— Ten przedmiot, statek? To nie jest statek.

— To statek z gwiazd.

— Biada nam! Biada! — To już nie był szept, lecz donośny krzyk pełen przerażenia.

—

Jak za naszych ojców, kiedy musieliśmy walczyć ze złymi. O Ahta! Niech duch twój stanie się puklerzem dla naszych ramion, mieczem dla naszych dłoni! Władczyni uciszyła ich jednym gestem.

— Dość! Błagania o pomoc czcigodnych duchów mogą przynieść ukojenie, nie jednak nie pomogą tym, którzy sami nie chwycą za broń. Od czasów Ahty przybywały tu już statki kosmiczne i rozprawialiśmy się z nimi — jak sami chcieliśmy. Gdy przybędzie ten następny, będziemy już uprzedzeni, co oznacza, że będziemy także uzbrojeni. Co jednak, o Głosie Olawy, oznaczać ma ten zielony znak, który zdziwił nawet ciebie? Tamisan zyskała bezcenny czas na przemyślenie wszystkiego. Jeśli prawdą było — a mogła się tego tylko domyślać — że nie uda się jej opuścić tego świata bez tych, których zabrała tu ze sobą, to musi ich odnaleźć. Wiedziała, że tutaj ich nie ma i właśnie dlatego ostatnia przepowiednia musi posłużyć jej celom.

— Zielony znak oznacza zwycięzcę, wojownika, który rozstrzygnie nadchodzącą

bitwę.

Pozostanie on jednak nie znany nikomu, dopóki znak sam go nie wskaże — a pomoc w tym może tylko ktoś obdarowany widzeniem. — Popatrzyła matronie w oczy i zadrżała lekko, wcale nie dlatego, że spowijające ją szaty jeszcze nie wyschły. Zadrżała, gdyż dwoje chmurnych oczu obserwowało ją chłodno i domagało się dowodów. — A zatem ów ktoś z darem widzenia, o kim mówisz, powinien przewędrować całe Ty-

Kry, całą krainę aż do jej granic?

— Jeśli będzie trzeba. — Tamisan zachowała powagę. — Może to być długa podróż, z licznymi niebezpieczeństwami. A jeśli ów statek przybędzie, zanim odnajdzie się wojownik? Myślę, Głosie Olawy, że przyszłość miasta, królestwa, ludzi została zawieszona na bardzo, bardzo cienkiej nici. Szukaj więc, jeśli taka twoja wola, choć sądzę, że posiadamy bardziej sprawdzone metody rozprawiania się z podniebnymi natrętami. Zapamiętamy jednak, Głosie, że nas ostrzegałaś. Opuściła ręce na oparcia fotela i wsparła się na nich, by wstać. Wszyscy zgromadzeni uczynili to samo, a dwie kobiety pospieszyły, aby mogła się wesprzeć na ich ramionach.

Odeszła, nie patrząc na Tamisan, która nadal tkwiła na swoim krześle. Poczuli się nagle wyczerpana, tak jak niegdyś, gdy sen gasł, a ją opuszczały wszystkie siły i myśli. Ten sen jednak się nie skończył, ciągle siedziała przy stole, na którym widniało piaskowe malowidło, i wpatrywała się w zielony znak, nadal uwikłana w sieć innego świata. Kobieta w zieleni powróciła, niosąc w obu dłoniach puchar, który podała Tamisan. — Pierwsza udaje się do Wysokiego Zamku, do Królowej Królów. Skręciła w prowadzącą tam drogę. Napij się, Tamisan, może sama Królowa poprosi cię o przepowiednię.

Tamisan? Tak brzmiało jej prawdziwe imię, a ta kobieta nazwała ją nim dwukrotnie. Skąd znano jej imię w tym śnie? Wciąż nie śmiała zadać tego pytania ani żadnego z wielu innych, na które będzie musiała otrzymać odpowiedź. Napiła się tylko z pucharu. Gorący, wonny napój natychmiast uwolnił jej ciało od dreszczy. Tak wielu rzeczy będzie musiała się dowiedzieć, tak wiele poznać, ale nie odkryje ich, jeśli nie przekona się najpierw, kim sama jest.

— Jestem zmęczona.

— Miejsce, w którym możesz odpocząć, jest już gotowe — odparła kobieta. — Wystarczy, że tam pójdziesz.

Tamisan podniosła się niemal z takim samym trudem, co stara arystokratka. Kręciło jej się w głowie i musiała przytrzymać się krzesła. Potem ruszyła za gospodynią, pełna rozpaczliwej nadziei, że jednak czegoś się dowie.

III

Czy we śnie można spać, a może śnić? — zastanawiała się Tamisan, układając się wygodnie na sofie, wskazanej przez kobietę. Jednak gdy odłożyła koronę i przytuliła głowę do wałka, który służył za poduszkę, znów ogarnął ją niepokój, myśli

przemykały jej przez głowę i wikłały się w tak niesłychaną gmatwaninę, że poczuła zawrót głowy, jak wtedy gdy podniosła się z krzesła wieszczki. Czy wyrysowane w piasku godło Starrexa, nakładające się na miecz i statek kosmiczny, ma oznaczać, że znajdzie to, czego szuka, dopiero wtedy, kiedy ten świat spotka się ze światem z gwiazd? Może w jakiś sposób rzeczywiście znalazła się w przeszłości i będzie świadkiem pierwszego przybycia do Ty–Kry podróżników z kosmosu?

Jednak ta arystokratka wspominała o poprzednich spotkaniach zakończonych po myśli władców Ty–Kry. Zamiarem Tamisan było stworzenie współczesnego świata takim, jakim byłby, gdyby historia potoczyła się inaczej. To, co otaczało ją teraz, pochodziło głównie z przeszłości.

Czyżby miało to oznaczać, że gdyby nie powstał tamten, jej własny świat, Ty–Kry pozostałoby niemal nie zmienione przez całe wieki?

Rzeczywiste, zmyślane, dawne, nowe. Straciła panowanie nad snem. Nie przesuwiała już marionetek zgodnie ze swoją wolą, lecz tkwiła uwięziona w paśmie zdarzeń, których nie potrafiła przewidzieć ani zapanować nad nimi. I jeszcze ta kobieta dwa razy nazwała ją jej prawdziwym imieniem, a ona sama, bez udziału woli, dokonała obrzędu jasnowidzenia, tak jakby dokonywała go już wielokrotnie. Czy to możliwe? Tamisan przygryzła dolną wargę, aż poczuła ból, dokładnie tak samo, jak czuła ból ciała potłuczonego podczas gwałtownego pojawienia się w tym tajemniczym miejscu. Czy mogą zdarzyć się sny tak głębokie, tak doskonale stworzone, by wydawały się rzeczywistością nawet ich twórcy? Czy podzieliła los „zamkniętych” twórczyń snu, nieprzydatnych nawet w Roju? Tych, które w swoim transie przeżywają życie wielokrotnie? Przecież nie była jedną z nich. Obudzić się! Wyciągnięta na sofie, użyła całych swych umiejętności, by uwolnić się z tego snu i znów poczuła tę niesamowitą, ogarniającą ją pustkę i mdłości, jakby została wrzucona w próżnię, przywiązana do jakiejś kotwicy, która odbierała wszelką nadzieję na to, że uda się jej wyrwać z tego szaleństwa w bezpieczną przestrzeń świadomości. Istniało tylko jedno wyjaśnienie: gdzieś w tym dziwnym Ty–Kry znajduje się jeden z tych, którzy przygotowywali się, by dzielić z nią sen, może nawet są tu obaj; a ona musi ich znaleźć, by wrócić. Im prędzej to się stanie, tym lepiej! Tylko jak zacząć poszukiwania? Choć czuła, że jej ręce i nogi wciąż są tak słabe, że chodzenie sprawia wrażenie przedzierania się przez silną wichurę, podniosła się z sofy. Odwróciła się, by sięgnąć po koronę i... Osłupiała, zobaczywszy swoje odbicie w owalnym lustrze. Postać, która odbijała się w zwierciadlanej tafli, nie była tą Tamisan, którą знаła. Nie zmieniła jej ani szata, ani korona. Była ona zupełnie inną osobą. Od dawna, od kiedy sięgnęła pamięcią, miała jasną cerę i krótko przycięte włosy fantazjotwórczyni rzadko oglądającej światło słońca. Tymczasem twarz kobiety w lustrze była śniada, niemal brązowa. Jej kości policzkowe były szerokie, oczy — ogromne, a usta — bardzo czerwone. Brwi... pochylała się bliżej lustra, żeby sprawdzić, co nadaje im ten dziwny wygląd wysokiego łuku, i stwierdziła, że zostały celowo wyrwane albo wygolone. Włosy miały długość przynajmniej trzech palców, ale nie były dobrze znanego, jasnego koloru, lecz ciemne i kędzierzawe. Tamisan nie była więc sobą, a ta obca kobieta nie była też tworem jej wyobraźni. Skoro ona nie była sobą, to logicznie myśląc, ci dwaj, których szuka, również mogą wyglądać zupełnie inaczej. To jeszcze bardziej utrudni poszukiwania.

Czy w ogóle uda się ich rozpoznać?

Przerażona usiadła na posłaniu, wpatrując się w lustro. Nie może pozwalać sobie na lęk.

Jeśli straci panowanie nad sobą, będzie zgubiona. Nawet w tym nielogicznym świecie pomoże jej logiczne, jasne myślenie. Na ile prawdziwa była jej wróżba? Na pewno nie miała żadnego wpływu na kształty, jakie przybierał piasek. Być może Głos Olawy był wyposażony w zdolności nadprzyrodzone. Kiedyś zabawiała się czarami w tworzonych przez siebie snach, ale pochodziły one z jej wyobraźni. Czy teraz mogła posłużyć się nimi świadomie? Wyglądało na to, że jakaś nieznana częśćka jej osobowości służyła tajemniczym mocom.

Teraz musiała skoncentrować myśli na jednym z mężczyzn, myśleć tylko o nim. Do którego z nich popchnie ją senna więź, do Kasa czy Starrexa? Wszystko, co wiedziała o swoim panu, pochodziło z taśm, a taśmy dają tylko powierzchowną wiedzę. Nie sposób dobrze poznać człowieka, przyglądając się jego, nie do końca rozumiając, działalności przez zasłonę, która więcej ukrywa niż pokazuje. Kas rozmawiał z nią, czuła jego dotyk. Jeśli musi wybrać jednego z nich, aby się stąd wydostać, lepszy będzie Kas. Tamisan utworzyła w myśli jego wizerunek, tak jak budowała obrazy rozpoczynające sny.

Potem nagle portret Lorda zamigotał w jej głowie, zmienił się i zobaczyła innego człowieka.

Był wyższy niż Kas, którego znała, ubrany w żołnierską tunikę i wysokie buty kosmiczne; rysy twarzy były słabo widoczne. Obraz zniknął w ułamku sekundy. Statek! W piaskowej wróżbie znak Starrexa dotykał zarówno statku, jak i miecza. Łatwiej będzie szukać człowieka na pokładzie statku kosmicznego niż przemierzać ulice obcego miasta, nie posiadając innej wskazówki poza tą, że gdzieś tu może znajdować się Starrex w nowym wcieleniu. Bardzo nikły był ten punkt, od którego miała rozpocząć Doszukiwania: pojazd, który mógł, ale nie musiał, zmierzać właśnie ku Ty–Kry, gdzie spotkać go miało okrutne przyjęcie. Co się stanie, jeśli Kas, czy też jego sobowtór, zginie? Czy zostanie tu uwięziona na zawsze? Tamisan stanowczo odepchnęła od siebie te ponure przypuszczenia. Trzeba myśleć o tym, co ważne, a statek jeszcze nie wylądował. Musiała jednak zyskać pewność, że kiedy przybędzie, ona znajdzie się wśród tych, którzy będą go „witać”.

Wyglądało na to, że podjęcie tej decyzji umożliwiło jej odpoczynek, gdyż zmęczenie,

które czuła wcześniej, powróciło teraz z wielokrotnioną, tak że upadła z powrotem na sofę i

nie pamiętała już nic więcej, aż do momentu, gdy została obudzona. Stała nad nią kobieta w

zieleni, jedną ręką lekko potrząsając ją za ramię.

— Obudź się, przysłano po ciebie.

Abym śniła — pomyślała nieprzytomnie Tamisan — ale obcy pokój wkrótce całkowicie przywrócił jej świadomość.

— Wezwała cię Pani Pierwsza, Jassa — w głosie kobiety słychać było przejęcie. —

Jej posłaniec, który przybył po ciebie z dwukólką, mówi, że masz udać się do Wysokiego Zamku. Może będziesz przepowiadać samej Królowej Królów! Masz jednak dość czasu, wywalczyłam go dla ciebie, abyś mogła się wykapać, zjeść coś i zmienić ubranie. Spójrz, przerzuciłam moją skrzynię z wyprawą — wskazała na krzesło, na którym leżała rozłożona fioletowa suknia, raczej o barwie wina niż głębokiego fioletu, jaki nosiła teraz. — To jedyna z moich szat w odpowiednim, czy też niemal odpowiednim, kolorze — z czułością pogładziła sute fałdy ubioru.

— Tylko pospiesz się — dodała szorstko. — Jako Głos możesz sobie pozwolić na to, by zyskać czas na przygotowanie się do wystąpienia w tak szacownym towarzystwie, ale jeśli się będziesz ociągała, wzbudzisz gniew Pierwszej.

W następnym pokoju znalazła miednicę, wystarczająco dużą na to, by posłużyć jako wanna, a kobieta, poza suknią, przyniosła jej także świeżą bieliznę. Gdy Tamisan znów stanęła przed lustrem, aby zapiąć pas i nałożyć koronę Głosu, czuła się jak nowo narodzona, toteż próbowała podziękować kobiecie, jednak ta przerwała jej jednym gestem:

— Czy nie pochodzimy z jednego klanu, kuzynko? Czy ktokolwiek mógłby powiedzieć, że Nahra nie jest szczerą dla swoich? Cały klan jest dumny z tego, że znalazł się w nim Głos, pozwól więc cieszyć się sobą!

Przyniosła przykryte naczynie oraz kielich, a Tamisan pożywiła się potrawą z mąki, w której zapieczono suszone owoce i kawałki czegoś, co fantazjotwórczyni uznała za siekane mięso. Jedzenie było smaczne, zjadła je do ostatniego kęsa, wypła też do dna słodkawo-cierpki napój.

— Dobrej drogi, Tamisan, to wielki dzień dla klanu Fermont. Znajdziesz się w Wysokim Zamku, a może staniesz przed samą Królową. Może twoja przepowiednia będzie znakiem dobra, a nie zagrożenia. Choć jesteś tylko Głosem, nie zaś jedną z Tych, które decydują o losach nas, żyjących, lecz śmiertelnych.

— Przyjmij moje podziękowania za twoją pomoc i życzliwe słowa — powiedziała Tamisan. — I ja także mam nadzieję, że dobry los pokona nieszczęście. — To szczerą prawdą, pomyślała, bo muszę złapać ten dobry los i mocno trzymać go obiema rękami, jeśli nie chcę przegrać tej gry.

Posłaniec Pani Pierwszej, Jassy był oficerem, jego zebrane do góry włosy kryły się pod prążkowanym hełmem, tworząc dodatkową ochronę dla głowy podczas walki. Miał napierśnik z namalowaną na nim błękitną podwójną koroną Królowej Królów i wysunięty do przodu miecz. Wyglądał tak, jakby kroczył ulicami miasta już toczącego jakąś wojnę.

Pomiędzy dwoma dyszlami powozu stał mały gryf. Czekali także dwaj uzbrojeni mężczyźni — jeden przy głowie zwierzęcia, drugi przytrzymywał zasłony, kiedy oficer pomagał Tamisan wsiąść do powozu. Opuścił je jednym szarpnięciem, nie pytając jej o zdanie.

Pomyślała więc, że jej wizyta w Wysokim Zamku ma raczej pozostać okryta tajemnicą. Przez szpary pomiędzy zasłonami udawało jej się dostrzec fragmenty Ty-Kry i, choć wiele było dla niej obcych, rozpoznawała i takie, które przywracały jej poczucie rzeczywistości. Brakowało tu podniebnych wież i innych form architektonicznych wprowadzonych przez podróżników z kosmosu. Jednak ulice, niektóre zarośla i kwiaty były dokładnie takie same jak te, które znała przez całe swoje życie. Wzięła głęboki oddech, gdy opuścili miasto i jadąc nad rzeką, zbliżali się do Wysokiego Zamku. Był on częścią także jej świata, ale już jako zrujnowany i bardzo wiekowy zabytek. Został częściowo zniszczony podczas powstania Sylta, miał złą sławę miejsca dotkniętego nieszczęściem, odwiedzali go tylko spragnieni sensacji turyści spoza świata. Tu stał w chwale, większy i bardziej rozległy niż ten w jej Ty-Kry, jakby te pokolenia, które opuściły go w jej świecie, tu przyłgnęły do niego, powiększając jego ogrom.

Wysoki Zamek nie był po prostu budowlą, był miastem. Nie było tu jednak sklepów ani budynków użyteczności publicznej. Znajdujące się tu domy były siedzibami

arystokratów, którzy musieli spędzać na dworze sporą część roku, ich służby oraz wielu urzędników królestwa. W samym centrum stał budynek, od którego pochodziła nazwa tego miejsca — zbiór wież, górujących znacznie nad niższymi budynkami. Jego ściany były szare przy fundamentach i stopniowo zmieniały barwę, aż do głębokiego, pysznego granatu na szczytach. Pozostałe domy miały mury jednolicie szare i ciemnoniebieskie dachy. Powóz posuwał się ze skrzypem kół, gryf szedł równym tempem, pilnowany przez mężczyznę krocącego u jego łba. Przejechali pod potężnym sklepieniem zewnętrznego muru, potem w górę ulicy pomiędzy domami, które sprawiały wrażenie niewielkich na tle wież, zdawały się jednak potężne temu, kto je mijał powozem czy pieszo. Potem była druga brama, jeszcze więcej domów, trzecia brama i znaleźli się na otwartej przestrzeni wokół wież.

Od kiedy wjechali przez pierwszą bramę, minęli mnóstwo ludzi. Wielu z nich było żołnierzami pełniącymi wartę, jednak niektórzy nosili inne barwy i znaki. Tamisan domyśliła się, że należeli oni do świty panów przebywających na królewskim dworze. Tu i ówdzie kroczył dumnie jakiś lord na czele uzbrojonego orszaku maszerującego trójkami. Te demonstracje rozbawiły Tamisan. Tak jakby ilość ludzi depczących komuś po piętach określała pozycję w świecie — pomyślała. Jej wysiadaniu z powozu towarzyszyło więcej ceremonii niż wsiadaniu. Oficer podał jej ramię, a jego ludzie rzucili się gwałtownie do przodu, by usunąć z jej drogi ekwipaż. W ten sposób i ją owiała mgiełka zaszczytu.

Wieże Wysokiego Zamku były tak przerażające w swoim ogromie, że cieszyła się z eskorty wprowadzającej ją do ich wnętrza. Im bardziej zagłębiali się w gąszcz korytarzy, tym większy ogarniał ją niepokój. Czuła się tak, jakby wstępowała do labiryntu, z którego może nie znaleźć wyjścia, w którym przepadnie na zawsze. Dwukrotnie wspinali się po schodach tak wysokich, że rozboleły ją nogi z wysiłku, aż znaleźli się na poziomie gór. Tam jej towarzysz wszedł do długiej sali oświetlonej łuczycywem. Przez okna umieszczone tak wysoko nad głową, że nic nie można było przez nie zobaczyć, sączyły się tylko niktłe promyki.

Tamisan, tą częścią jej osoby, która należała do tego świata, domyślała się, że znalazła się na Drodze Szlachetnych, a ci, którzy się tutaj zbierają najbliżej, to Trzeci, później będą Drudzy, a tam — na samym końcu traktu wyłożonego błękitnym dywanem, po którym szła w ślad za swoim przewodnikiem — zobaczy Pierwszych. Pierwsi siedzieli na krzesłach ustawionych w dwóch półkolistych rzędach, okrytych baldachimami, ponad którymi na trzystopniowym podwyższeniu wznosił się tron. Baldachim nad tronem zwieszał się z podwójnej korony lśniącej od klejnotów. Na stopniach zobaczyła uzbrojonych strażników, w jasnych tunikach, a ich rozpuszczone włosy opadały na ramiona. To właśnie ku tronowi prowadził ją oficer.

Przechodząc wzdłuż rzędów Trzecich, słyszała cichy szmer głosów. Tamisan nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo; pragnęła zobaczyć Królową, bo było już oczywiste, że dostąpi zaszczytu pełnej audiencji. Gdzieś głęboko, wewnątrz niej, tkwiła jakaś iskierka niepokoju.

Nie знаła przyczyny swego lęku, poza tym, że czuła, iż czeka ją coś niezwykle ważnego. Była już przy pierwszym rzędzie krzesel i zauważyła, że znakomitą większość siedzących na nich stanowią kobiety. Głównie dojrzałe i stare.

Tamisan weszła na stopnie podwyższenia i nie uklękła na jedno kolano jak oficer, lecz podniosła ręce i koniuszkami palców dotknęła brzegu korony na swojej głowie; jednym z tych nagłych błysków rozpoznania uświadomiła sobie bowiem, że ten, którego reprezentuje w tym miejscu, nie kłania się, jak inni, lecz tylko daje znać, iż

wie, że Królowej Królów należy się większy szacunek niż pozostałym ludzkim istotom. On jednak służy innym siłom. Tamisan podniosła wzrok, a Królowa spojrzała na nią badawczo. Fantazjotwórczyni zobaczyła przed sobą kobietę w nieokreślonym wieku, mogła być zarówno młoda, jak i stara. Lata zdawały się nie znaczyć jej twarzy. Jej dorodna postać spowita była w pastelową, różową suknię bez ozdób; miała na sobie tylko pas spleciony ze srebrnych łańcuchów i przy samej szyi srebrny naszyjnik, z którego zwisały mlecznobiałe klejnoty w kształcie kropel. W jej płomiennie rudych włosach tkwił, ledwie widoczny, diadem z tych samych kamieni. Czy była piękna?

Tamisan nie była pewna, wyczuła jednak jej niezwykłą stanowczość. Chociaż siedziała spokojnie, otoczona była aurą niespożytej energii, zdradzającą, że to tylko przerwa w jej ważnym, nieustającym działaniu. Była to najbardziej apodyktyczna osoba, jaką Tamisan kiedykolwiek spotkała i natychmiast odezwał się w niej instynkt twórczyni snów. Służenie takiej pani — pomyślała — zniszczy każdą osobowość i wkrótce ten, kto jej służy, staje się jej bliźniaczym odbiciem.

— Witaj, Głosie Olavy, która tak dziwne rzeczy wypowiadasz — w tonie Królowej Królów kryły się szyderstwo i wyzwanie.

— Głos, o Wielka, nie mówi nic poza tym, co podano mu do przekazania. — Tamisan gładko znalazła odpowiedź, choć nie układała jej świadomie. — Tak nas uczono, choć bogowie też mogą czuć się starzy i zmęczeni. Czy też spotyka to tylko ludzi? Teraz jednak jest naszym życzeniem, by nastąpiła szczęśliwa godzina i Olava znowu przemówił. Zatem niech się stanie!

I tak jakby ostatecznie zdanie było rozkazem, natychmiast poruszyli się strażnicy na stopniach tronu. Dwóch z nich przyniosło stół, trzeci stołek, czwarty tacę z miseczkami wypełnionymi piaskiem. Ustawili to wszystko przed tronem. Tamisan usiadła na stołeczku, podniosła dłonie do skroni. Czy to zadziała, czy też będzie musiała sama stworzyć z piasku jakiś obraz?

Poczuła drobne drgnienie nerwów, ale szybko je opanowała. — Jakie jest twoje życzenie, o Wielka? — Ucieszyła się, słysząc swój spokojny głos bez nuty niepokoju.

— Powiedz, co nas spotka w ciągu nadchodzących czterech obrotów słońca? Tamisan czekała. Czy odezwie się moc, czy zwycięży ta druga strona jej osobowości, cokolwiek była? Jej ręka nawet nie drgnęła, rosnęła w niej natomiast dziwaczne, niepokojące przeczucie. Czuła się tak, jakby jej czoło opasywała jakaś pętla, która zmuszała jej głowę do obrotu wokół własnej osi. Posłuszna temu nakazowi, odwróciła głowę i spojrzała tam, gdzie to coś kazało jej skierować wzrok. Nie ujrzała nic, poza rzędem żołnierzy stojących na stopniach podwyższenia, żaden z nich nie patrzył na nią, żaden z nich nie wydawał się jej rozpoznawać. Starrex! Uchwyciła się nadziei, że on tam jest, ale ani jeden żołnierz nie przypominał jej mężczyzny, którego szukała.

— Czy Olava śpi? A może zapomniał już o swym dalekim Głosie? — Słowa Królowej Królów zabrzmiały surowo. Tamisan oderwała się od swoich myśli i znowu spojrzała na tron i siedzącą na nim kobietę.

— Głos nie odzywa się, jeśli nie zażyczy sobie tego sam Olava — odparła coraz bardziej zdenerwowana.

Zacisnęła lewą dłoń, bezwiednie, jakby nie panowała nad własnym ciałem, lecz pozostawała w mocy nieznannej siły. Gdy jednak sięgnęła po beżowy piach i podrzuciła go, by uformować tło obrazu, była już zupełnie spokojna. Tym razem nabrała z kolei do dłoni nie błękitnych, lecz czerwonych ziaren i rozrzuciła je w

kształt statku kosmicznego, nad którym wznosił się jeden czerwony okrąg. Zawahała się krótko, nim sięgnęła po zielony piasek, wzięła sporą szczyptę i znów pod statkiem pojawił się znak Starrexa. — Jedno słońce — odczytała Królowa Królów. — Za jeden dzień przybędzie tu mój wróg.

Co jednak ma oznaczać ostatnie słowo Olavy, Głosie?

— Jest wśród was ktoś, komu zawdzięczać będziesz zwycięstwo. On powinien stanąć do

walki z wrogiem, przez niego odezwie się dobry los.

— A więc? Któż jest tym bohaterem?

Tamisan jeszcze raz spojrzała na rząd oficerów. Czy powinna zaufać swojej intuicji? Coś podpowiadało jej, że tak.

— Niech każdy z tych dzielnych obrońców Ty–Kry. — Podniosła dłoń, wskazując na żołnierzy — podejdzie tu i weźmie szczyptę wieszczego piasku. Głos dotknie każdej dłoni i może odnajdzie tę naznaczoną odpowiedź. Może Olava da nam znać w ten sposób.

Ku zaskoczeniu Tamisan, Królowa roześmiała się:

— Cóż, może to i dobra droga: losowanie zwycięzcy. To zaś, czy uznamy wybór Olavy, jest już zupełnie inną kwestią. — Jej uśmiech przygasł, kiedy popatrzyła na swoich żołnierzy, jakby stłumiła go jakaś niepokojąca władczynię myśl.

Zaczęli podchodzić na jej skinienie, jeden po drugim. Ich twarze, ukryte w cieniu hełmów, były do siebie podobne, zdradzając plemienne pokrewieństwo, i przyglądająca się im Tamisan nie potrafiła stwierdzić, który z nich mógłby być Starrexem. Każdy nabierał trochę zielonego piasku, wyciągał dłoń wierzchem do góry, wróżbitka dotykała jej koniuszkami palców, sypiący się piasek nie formował jednak żadnego znaku. Zmieniło się to dopiero z nadejściem ostatniego — piasek nie przesaczył się beładnie, lecz uformował taki sam znak jak ten, który znajdował się już na stole. Tamisan podniosła wzrok. Mężczyzna nie patrzył na nią, wpatrywał się w piasek. Linia jego ust zdradzała napięcie, a twarz przybrała taki wyraz, jak u człowieka przyciśniętego do muru przez ostrze miecza skierowane wprost w gardło. — Oto ten człowiek — rzekła Tamisan.

Starrex? Musi być tego absolutnie pewna, a nie mogła przecież dochodzić prawdy w tym momencie! Tymczasem jej przepowiednia została odrzucona:

— Olava się myli! — wykrzyknął oficer stojący tuż za nią, ten sam, który ją tu sprowadził.

— Może nie powinniśmy źle myśleć o radzie Olavy — głos Królowej był zduszony i nieszczerzy. — Może to tylko jego Głos nie dość dobrze mu służy, może zdarza się jej czasami mówić nie w jego imieniu. Więc to ty, Hawarelu, miałbyś być naszym bohaterem? Żołnierz upadł na jedno kolano, puste ręce złożył przed sobą, jakby chciał, aby wszyscy widzieli, że nie sięga po broń.

— Wola Wielkiej jest i moją wolą — mimo zdenerwowania, jakie zdradzało jego napięte ciało, odezwał się spokojnym, czystym głosem.

— O Wielka, ten zdrajca... — Dwóch oficerów podeszło, jakby zamierzali go odciągnąć.

— Nie. Czyż Olava nie zdecydował? — W słowach Królowej brzmiało nie tajone szyderstwo. — Jednak, by zyskać pewność, że wola Olavy zostanie spełniona, zaopiekujcie się dobrze naszym przyszłym zwycięzcą. Skoro Hawarel ma stanąć do

walki z tymi przeklętymi kosmitami, trzeba mu to umożliwić. A — patrzyła teraz na Tamisan, zupełnie zaskoczona szybkim obrotem spraw i okazywaną wrogością wobec wyboru Olawy — niech Głos Olawy towarzyszy Hawarelowi. Może umilić mu czas oczekiwania, napełniając go energią i siłą, których będzie wymagała ta walka od naszego zwycięzcy — ilekroć Królowa wypowiadała słowo „zwycięzca”, zawsze brzmiały w nim kpina i subtelna niechęć. — Audiencja zakończona. — Władczyni powstała i zeszła z tronu, Tamisan czuła, że wszyscy wokół niej uklęknęli, wreszcie odeszła. U boku Tamisan stał teraz ten sam oficer, który ją eskortował. Inni dwaj strażnicy stanęli po obu stronach Hawarela, który zdążył już powstać. Jeden z nich wyciągnął mu miecz z pochwy, zanim ruszyli. Tamisan poprowadzono za nim przez salę. Była nawet zadowolona z takiego obrotu rzeczy, miała nadzieję, że teraz przekona się, czyjej domysły były prawdziwe i czy Hawarel okaże się Starrexem, co oznaczałoby, że odnalazła już pierwszego z dwóch mężczyzn dzielących z nią sen. Mijali kolejne komnaty, aż stanęli przed drzwiami, które otworzył jeden ze strażników Hawarela. Więzień wszedł do środka, a oficer prowadzący Tamisan gestem wskazał jej tę samą drogę. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, Hawarel odwrócił się na ten odgłos. W cieniu obszernego hełmu jego oczy lśniły zimnym blaskiem, wyglądał jak człowiek, który za chwilę rzuci się do gardła swego śmiertelnego wroga. Jego głos przypominał chrapliwy szept:

— Kto... kto przysłał cię na moją zgubę, czarownico?

IV

Jego dłonie wyciągnęły się ku jej szyi. Tamisan podniosła ramię w obronnym geście i cofnęła się.

— Lordzie Starrex! — Jeśli się pomyliła, jeśli to... Palce mężczyzny musnęły tylko jej ramiona. Teraz on postąpił krok czy dwa do tyłu, jego usta rozchyliły się ze zdziwienia.

— Czarownica! Czarownica! — Wyrzucał te słowa z siebie z taką siłą, jakby były strzałami wypuszczanymi z kuszy.

— Lordzie Starrex — powtórzyła Tamisan. Teraz, gdy zobaczyła jego zaskoczenie, poczuła się bardziej pewnie niż przed chwilą, gdy obawiała się z jego strony ataku. Jego reakcja na wypowiedziane imię wystarczyła — wiedziała już, że miała rację, aczkolwiek on sam nie wydawał się przygotowany na tę wiadomość.

— Jestem Hawarel z Vanory — powiedział chrapliwym głosem. Tamisan rozejrzała się wokół. Byli w pokoju o nagich ścianach, nikt nie mógłby ich tu podsłuchać. W swoim własnym świecie, we własnym czasie, obawiałyby się ukrytych kamer czy wizjerów, ale sądziła, że to Ty-Kry nie zna takich urządzeń. Musi przecież przekonać Hawarela-Starrexa!

— Jesteś panie Lordem Starrexem — odparła z niezachwianym przekonaniem, a przynajmniej miała nadzieję, że tak to wypadło. — Tak jak ja jestem Tamisan, fantazjotwórczyni. A to, w co jesteśmy wplątani, to sen stworzony przeze mnie na twój rozkaz.

Podniósł rękę do czoła, jego palce natknęły się na hełm. Zrzucił go niedbale, tak że zadźwięczał i potoczył się po gładkiej posadzce. Czarne, mocne włosy splecione w coś w rodzaju ochronnej poduszki dookoła głowy, nadawały mu dziwny wygląd. Skórę miał brązową, tak jak Tamisan w nowym wcieleniu. Bez ocieniającego twarz hełmu rysy stały się lepiej widoczne, choć nadal nie znajdowała w nim żadnego

podobieństwa do wyniosłego pana podniebnej wieży. To oblicze należało do kogoś młodszego i nie tak pewnego siebie.

— Jestem Hawarel — powtórzył z uporem. — Próbujesz schwytać mnie w pułapkę, choć może ta pułapka dawno już zatrzasnęła się nade mną, a ty chcesz mnie teraz skłonić, żebym przyznał się sam. Więc powiem ci: nie jestem zdrajcą. Nazywam się Hawarel i uczciwie dotrzymuję mojej krwawej przysięgi na wierność Królowej Królów. Tamisan poczuła lekkie zniecierpliwienie. Nie uważała Lorda Starrexa za głupca.

Wyglądało na to, że jego nowemu wcieleniu brakowało nie tylko zewnętrznego podobieństwa do pierwowzoru...

— Jesteś Starrexem i śnisz! Gdyby tak nie było, nie zwracałabym sobie tym teraz głowy.

Pamiętasz wieżę? Kupiłeś mnie od Jabisa, żebym śniła dla ciebie. Potem wezwałeś mnie i Lorda Kasa, i rozkazałeś, abym pokazała, co potrafię. Ściągnął brwi w jedną, ciemną linię i przyglądał się jej.

— Czym cię przekupiono, co obiecano za to, co mi uczyniłeś? — spytał. — Przecież nie jestem twoim wrogiem ani wrogiem twoich, przynajmniej nic o tym nie wiem. Tamisan westchnęła. — A więc twierdzisz, że nie znasz człowieka o imieniu Starrex? — zapytała.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Później Hawarel odwrócił się, zrobił jeden czy dwa kroki, kopnął hełm, który potoczył się dalej. Znów się odwrócił i spojrzał na nią:

— Ty jesteś Głosem Olavy... Potrząsnęła głową i przerwała mu:

— Nie mamy wiele czasu na taką szermierkę, Lordzie Starrex. Znasz to imię, a podejrzewam, że pamiętasz też całą resztę, przynajmniej częściowo. Jestem Tamisan, twórczyni snów.

Tym razem to on westchnął:

— To ty tak twierdzisz.

— Mam mówić dalej, czy może chcesz, żeby wysłuchał tego ktoś zupełnie inny?

— Tak myślałem! — wykrzyknął. — Chcesz, abym sam się zdradził.

— Jeśli, jak utrzymujesz, jesteś Hawarelem, to jak niby miałbyś się zdradzić? — No dobrze. Ja... ja jestem podwójny! Jestem Hawarelem, ale także kimś innym, kto ma dziwne wspomnienia i kto równie dobrze może być nocnym demonem walczącym o prawo do mojego ciała. Więc już wiesz. Teraz idź i powiedz temu, kto cię tu przysłał, niech wywlecze mnie przed rząd łuczników, abym prędzej skończył. Pewnie byłoby to lepsze niż życie w roli pola bitwy dwóch różnych, ja”.

Może nie jest to tylko upór — pomyślała Tamisan. Możliwe, że sen ma nad nim większą moc niż nad nią samą. Była przecież doświadczoną fantazjotwórczynią, przyzwyczajoną do wędrówek po świecie iluzji.

— Jeśli trochę pamiętasz, to posłuchaj mnie teraz. — Przynęła się do niego i zaczęła mówić cichym głosem, bo choć nie wierzyła, że mogą być podsłuchiwani, wolała jednak zachować ostrożność. Szybko zrelacjonowała mu całe zamieszanie i własną w nim rolę.

Kiedy skończyła, zaskoczył ją widok rysów jego twarzy, które nagle stwardniały, nadając mu bardziej stanowczy wygląd. Nie przypominał już człowieka uwikłanego w pułapkę

bez
wyjścia.

— To prawda?

— Na jakiego boga, na jaką moc miałabym przysiąc? — Poczula się zirytowana jego ciągłymi wątpliwościami.

— Nie musisz przysięgać, to, co powiedziałaś, wyjaśnia wszystko, czego dotąd nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, co zmieniło moje życie w piekielne godziny pełne wątpliwości, a co rzuciło na mnie więcej podejrzeń. Byłem dwoma osobami. Ale jeśli to sen, to dlaczego tak się stało?

— Nie wiem. — Szczerłość wydała się Tamisan najstosowniejszą odpowiedzią. — Ten sen w niczym nie przypomina tych, które stworzyłam wcześniej. — W jakim sensie? — spytał szorstko.

— Jednym z obowiązków twórczyni snów jest zbadanie osobowości swego właściciela po to, by spełnić jego życzenia, nawet te ukryte, niewypowiedziane. Z tego, czego dowiedziałam się o tobie, o Lordzie, wynikało, że doświadczyłeś, widziałeś i poznałeś aż nazbyt wiele, więc muszę wymyślić coś zupełnie nowego, jeśli mój sen ma ci się spodobać. Dlatego uświadomiłam sobie, że nie mogę wyśnić dla ciebie ani przeszłości, ani przyszłości, bo to są obszary znane wszystkim fantazjotwórczyniom. Musiałam więc udoskonalić swoją sztukę.

Były w przeszłości takie wydarzenia, kiedy bieg historii zależał od jednej decyzji. Wybrałam więc trzy spośród takich momentów i postanowiłam stworzyć świat taki, jakim byłby, gdyby te pojedyncze decyzje wyglądały zupełnie inaczej, na odwrót, chciałam pokazać ich skutki w dzisiejszym świecie.

— A więc tego właśnie próbowałaś? Jakie wybrałaś wydarzenia, aby napisać historię na nowo? — Słuchał jej z uwagą.

— Wybrałam trzy. Po pierwsze, powitanie Ahty, Królowej Królów; po drugie, utratę kursu przez „Wędrowca”, statek kolonizatorów, i, po trzecie, powstanie Sylta. Powitanie miało stać się odrzuceniem, statek kolonizatorów miał tu nigdy nie dotrzeć, a Sylt miał przegrać walkę — świat, który nastąpiłby po takich wydarzeniach, byłby ciekawym obszarem dla sennej wędrowki. Przystudiowałam więc wszystko, co mówią taśmy z przeszłości. Kiedy przyszło wezwanie od ciebie, mój pomysł był gotowy. Ale nie zadziałał tak jak powinien, bo zamiast w skomponowanym śnie, z uporządkowanymi zdarzeniami, znalazłam się uwięziona w świecie, którego nie znam i nie stworzyłam.

Mówiąc to, obserwowała przemianę, jaka w nim zachodziła. Przepadła żarliwa wrogość, z jaką zaatakował ją na początku. Jego osobowość coraz bardziej przypominała tę, którą kojarzyła z Lordem Starrexem, choć opakowana była w obce ciało. — Zatem coś nie zadziałało prawidłowo?

— Właśnie. Jak już powiedziałam, znalazłam się we śnie, nad którym nie panuję, a jego składniki są mi całkowicie obce. Nic z tego nie rozumiem. — Nie? Chyba można to wyjaśnić. — Znów zmarszczył czoło, ale tym razem nie było to wymierzone w nią groźne spojrzenie. Raczej próbował sobie coś przypomnieć, coś bardzo istotnego, co zdawało się mu wymykać. — Jest taka teoria, bardzo stara. Tak, to teoria światów równoległych.

Nie natknęła się na nic takiego podczas przeglądania taśm.

— Co to takiego?

— Nie jesteś, oczywiście, pierwszą osobą, która wpadła na pomysł, że czasem

przeszłość i przyszłość powiązane są bardzo cienką nicią, która mogłaby zmienić kierunek i to bardzo łatwo. Swego czasu stworzono teorię, że kiedy coś takiego następuje, powstaje drugi świat, właśnie ten, który poszedł w prawo, podczas gdy nasz ruszył w lewo. — Ale gdzie, jak istnieją te równoległe światy?

— Możliwe, że tak — wyjaśnił, układając dłonie poziomo, jedną nad drugą— warstwami.

Istniały nawet takie baśnie, opowieści tworzone dla zabawy, o ludziach, którzy podróżowali w czasie, ale nie w przód czy w tył, lecz w poprzek, poprzez te światy.

— Ale my tutaj istniejemy. Ja jestem Głosem Olawy i wyglądam zupełnie inaczej, a i ty nie przypominasz Lorda Starrexa.

— Może jesteśmy tymi, którymi bylibyśmy, gdyby te twoje trzy wydarzenia potoczyły się inaczej? To znakomity pomysł na skomponowanie snu, Tamisan.

Teraz wyznała mu całą prawdę:

— Tylko wydaje mi się, że to nie ja stworzyłam ten świat. A na pewno nie mam nad nim żadnej kontroli.

— Próbowałaś przerwać ten sen?

— Oczywiście. Jestem jednak jakby do niego przykuta. 8ye może przez ciebie i Lorda Kasa. Prawdopodobnie dopóki nie spotkamy się wszyscy, żadne z nas nie będzie mogło powrócić.

— Musisz zatem użyć teraz swojej piaskowej sztuczki, aby go odnaleźć? Przytaknęła.

— Sądzę, że Kas jest jednym z załogi pojazdu, który ma tu wylądować. Wydaje mi się, że go widziałam, choć nie zobaczyłam jego twarzy — uśmiechnęła się niepewnie.

— Wygląda na to, że choć pozostałam tą Tamisan, którą byłam, zyskałam teraz talenty Głosu;

podobnie

jak ty jesteś równocześnie Hawarelem i Starrexem.

— Im dłużej cię słucham, tym bardziej staję się Starrexem. Musimy więc odnaleźć Kasa na statku, zanim uda nam się wydostać z tej pułapki? To może być niemały problem. Jestem na tyle Hawarelem, by wiedzieć, że ten pojazd zostanie przyjęty tak jak wszystko, co przybywa tu z kosmosu: podstępem z zamiarem zniszczenia. Trzy wybrane przez ciebie punkty wyglądały tak, jak je sobie wyobraziłaś. Nie było powitania, raczej masakra; nie przybył tu żaden statek kolonizatorów; Sylt został zaś rozniesiony na mieczach przez zadufanych panków, gdy po raz pierwszy podniósł głos, w celu zgromadzenia wokół siebie tłumu. Dla Hawarela tak wygląda prawda, choć jako Starrex wiem, że istnieje inna prawda, która zupełnie zmieniła życie tej planety. Powiedz teraz, czy mnie szukałaś i czy zmyśliłaś sobie tę bajeczkę o zwycięzcy po to tylko, by mnie odnaleźć?

— Nie, a przynajmniej nieświadomie. Mówiłam ci już, że zostałam wyposażona w moce Głosu, one wzięły górę.

Wydał z siebie dźwięk, który przypominał trochę krótkie szczeknięcie, a trochę wybuch śmiechu.

— Na pięść Jimsama Taragona, więc komplikuje to jeszcze magia! Przypuszczam, że nie potrafisz powiedzieć mi, na ile Głos może pomóc nam w przewidzeniu tego, co się

stanie, w
uzbrojeniu nas, czy też uwolnieniu?

Tamisan potrząsnęła głową.

— Taśmy z przeszłości wspominały o Głosach — to były ważne osoby. Jednak po powstaniu Sylta zostały zabite albo zniknęły bez wieści. Były prześladowane przez obie strony i niemal wszystko, co o nich wiemy, pochodzi z legend. Nie umiem powiedzieć ci, co potrafisz. Zdarza się tak, że pamięć i wiedza tego ciała zwyciężają i robię wtedy dziwne rzeczy. Dzieją się one bez mojej woli, nawet ich nie rozumiem. Przemierzył pokój i przyciągnął z rogu dwa stołki.

— Możemy równie dobrze usiąść i sprawdzić, co przechowuje nasza pamięć tego świata.

Wspólnie zdołamy chyba dowiedzieć się więcej niż w pojedynkę. Cały problem w tym... —

Wyciągnął rękę, a ona automatycznie oparła palce na jego dłoni zgodnie z dziwnym ceremoniałem, który nie był częścią jej wiedzy. Poprowadził ją jak jednemu ze stołków.

Cieszyła się, że może usiąść.

— Cały problem w tym — powtórzył, gdy opadł na stołek, wyciągając długie nogi i stukając w pas rycerski, złowroźnie pozbawiony miecza — że byłem więcej niż odrobinę zdezorientowany, kiedy — jeśli można tak to nazwać — obudziłem się w tym ciele. Moje pierwsze reakcje musiały wyglądać na objawy nierównowagi psychicznej. Na szczęście częśćka Hawarela we mnie była dość czujna, by mnie ocalić. Jednak i ta osobowość nie była do końca bezpieczna: jako przybysz z prowincji, w której wybuchło powstanie, już byłem podejrzany. Naprawdę znalazłem się w Ty-Kry raczej jako zakładnik niż członek gwardii.

Nie mogłem więc zadawać żadnych pytań, wszystkiego dowiadywałem się ze strzępów rozmów, jakie prowadzono. Prawdziwy Hawarel to prostolinijski, uczciwy żołnierz, którego bolą te podejrzania i który całym sercem służy miastu. Ciekawy jestem, jak Kas zniósł przebudzenie. Jeśli zachował resztki prawdziwej swej osobowości, powinien być teraz niezłe przygotowany.

Zaskoczona Tamisan zapytała z nadzieją, że otrzyma prawdziwą i szczerą odpowiedź:

— Nie lubisz... Czy masz jakieś powody, aby obawiać się Lorda Kasa? — Lubić? Bać się? — Dostrzegła, że cień Starrexa nakładający się na Hawarela stał się bardziej wyrazisty. — To emocje. Od pewnego czasu nie odczuwam żadnych emocji. — A jednak chciałeś, by dzielił z nami ten sen — nalegała Tamisan. — To prawda. Wprawdzie nie żywię żadnych uczuć do mego szacownego kuzyna, jestem jednak ostrożnym człowiekiem. Ponieważ to on nalegał, aby sprowadzić cię na dwór, sam nawet to zorganizował, nie byłoby w porządku, gdyby nie dzielił ze mną tak starannie zaplanowanej rozrywki. Wiem, że Kas jest niezwykle przywiązany do swego kalekiego kuzyna. Nie szczędzi swego czasu i trudu, zawsze gotów mu pomóc. — Podejrzewasz go o coś? — wyczuła, że coś kryje się za jego słowami. — Podejrzewam? O co? Zawsze, wszyscy mogą cię o tym zapewnić, był mi oddanym przyjacielem na tyle, na ile mu pozwalałem — jego pełen rezerwy wygląd odwiódł ją od drażenia tego tematu.

— Kaleki kuzyn — powtórzył Hawarel tak, jakby mówił do siebie, nie do niej. —

Wyświadczyłaś mi przynajmniej jedną przysługę — popatrzył na Tamisan, tupiąc

prawą nogą z tak zadowolonym wyrazem twarzy, że aż nie pasował on do wizerunku Starrexa, który znała. — Dalaś mi sprawne ciało, z którego mogę robić wspaniałe użycie, przynajmniej do czasu, gdy zło zwycięży dobro w tym świecie.

— Hawarelu, Lordzie Starrex... — zaczęła, ale jej przerwał. — Zawsze nazywaj mnie Hawarelem, pamiętaj. Nie ma potrzeby wzmacniać podejrzeń, które i tak zbyt mi ciążyą.

— A zatem, Hawarelu, to nie ja wybrałam cię na zwycięzcę, uczyniła to moimi rękami siła, której sama nie pojmuję. Jeżeli oni się na to zgodzą, będziesz miał szansę, aby odnaleźć Kasa. Możesz nawet zażądać, żeby to on właśnie stanął do walki z tobą. — Jak go znaleźć?

— Być może pozwolą mi wybrać ci przeciwnika spośród obcej siły — powiedziała. Plany ucieczki zawisły na bardzo cienkiej nitce, nie widziała jednak innej szansy. — Myślisz, że te piaskowe malowidła wskażą ci go, tak jak mnie?

— Ciebie wskazały, prawda?

— Nie mogę zaprzeczyć.

— Kiedy przepowiadałam przyszłość dla jednej z Pierwszych, zrobiło to na niej takie wrażenie, że sprawiła, iż wezwano mnie tutaj, aby wieszczyć dla Królowej Królów!

— Magia! — Jego parsknięcie tylko przypominało śmiech.

— Dla tego świata wiele czynów gości z kosmosu może wydawać się magią. — Dobrze powiedziane. Sam widziałem mnóstwo dziwnych rzeczy, tak, mnóstwo dziwnych rzeczy, i to wcale nie we śnie. Doskonale. Jestem ochotnikiem, który będzie walczył z najznamienitszym wojownikiem z kosmosu, a ty przy pomocy piasku wybierzesz mi właściwego przeciwnika. Założmy, że uda ci się odnaleźć Kasa, co wtedy? — To proste, obudzimy się.

— Oczywiście zabierzesz nas ze sobą.

— Jeżeli jesteśmy tak połączeni, że nie możemy stąd odejść bez jednego z nas, to jeśli obudzi się jedno, pociągnie za sobą pozostałych.

— Czy jesteś pewna, że potrzebujemy Kasa? Przecież to dla mnie konstruowałaś ten sen.

— Odejdziemy, zostawiając tu Lorda Kasa?

— Myślisz, że to tchórzliwy odwrót, moja fantazjotwórczyni? To jednak, zapewniam cię, rozwiąże wiele problemów. A może udałoby ci się odesłać mnie i wrócić po Kasa? Nie mogę wyzwolić się od myśli o tym, co dzieje się ze mną w naszym świecie. Czyż przysięga twórcy snów nie zobowiązuje cię, aby w pierwszej kolejności spełniać życzenia tego, dla którego śnisz?

Tkwiła w nim jakaś ukryta obawa związana z Kasem, ale — na swój sposób — miał rację.

Wyciągnęła do niego rękę i — jeszcze zanim pojął, co zamierza zrobić — chwyciła jego dłoń, wypowiadając równocześnie zaklęcie służące do przebudzenia. Po raz kolejny otoczyła ją mgła znikąd. Jednak bez skutku, jej przecucia nie kłamały — byli wciąż połączeni. Powoli otworzyła oczy, by zobaczyć to samo pomieszczenie. Bezwładny Hawarel zaczął spadać, musiała więc przykłęknąć i ramieniem podtrzymać jego ciało, aby nie ześlizgnęło

się na
posadzkę. Po chwili jego mięśnie stężały, podniósł się gwałtownie, otworzył oczy
i spojrzał
na nią tym samym, przenikliwym, chłodnym wzrokiem, jakim powitał ją, gdy
znaleźli się w
tym pokoju.

— Dlaczego?

— Prosiłeś — odparła.

Jego powieki opadły, nie widziała już zagniewanych, lodowatych oczu. —
Rzeczywiście. Nie spodziewałem się jednak, że zostanę tak szybko obsłużony. No
cóż, udowodniłaś mi, że masz rację. Wrócimy albo razem, albo wcale. Zależy to tylko
od tego, jak szybko uda nam się odnaleźć ostatniego z naszej trójki. Ucieszyła się, że
nie zadawał już więcej pytań, była wyczerpana po nieudanej próbie przebudzenia,
która znów okazała się tylko wyrwaniem w wirującą nicość. Przesunęła lekko stołek,
tak że mogła oprzeć się o ścianę. Hawarel wstał i zaczął spacerować tam i z
powrotem, jakby chęć działania uniemożliwiała mu spokojne siedzenie. W pewnej
chwili otworzyły się drzwi, ale nikt ich nie wezwał. Jeden ze strażników wniósł
jedzenie i picie, drugi stał przy drzwiach z napiętą kuszą, bacznie ich obserwując.

— Dbają o nas. — Hawarel podnosił pokrywki i badał zawartość naczyń. — Chyba
jesteśmy ważni. Hejże, Rugaardzie, kiedy wypuścicie nas z tej komnaty? Jestem już
znużony siedzeniem tutaj.

— Bądź spokojny, będziesz miał dość okazji do działania, gdy Wielka sobie tego
zażyczy — odparł oficer z kuszą. — Statek z gwiazd jest już w polu widzenia, światła
w górach dwukrotnie błysnęły. Chyba zamierzają wylądować w dolinie za Ty–Kry. To
dziwne, że są tak ograniczeni i zawsze wystawiają się na łatwy łup. Pewnie Dalskol
miał rację, kiedy powiedział, że oni nie myślą, tylko wykonują rozkazy kosmicznych
sił, które nie pozwalają im na samodzielne sądy. Nadchodzi czas waszej służby, a co
do ciebie, Głosie Olavy. —

Postąpił krok do przodu, aby lepiej widzieć Tamisan — Wielka radzi, abyś jeszcze raz
powróżyła sobie z piasku. Ci, co przepowiadają fałszywie, oddawani są tym, których
zlekceważyli, i spotyka ich los odpowiedni do czynu, jakim się splamili. — Wszyscy
o tym wiedzą — odparła. — Nie przepowiadałam fałszywie, przekonacie się o tym o
właściwej porze i we właściwym miejscu.

Kiedy odeszli, poczuła głód, Hawarel najwyraźniej także, podzielili więc równo
posiłek, a gdy w naczyniach nic już nie zostało, powiedział:

— Skoro jesteś tak zorientowana w historii i znasz dawne obyczaje, to zapewne znasz
i ten — choć może nie powinienem o nim teraz wspominać — zgodnie z którym
pewne plemiona podają obfity posiłek więźniom skazanym na śmierć.

— Wybrałaś sobie ciekawy sposób dodawania otuchy. — Nie ja, ale to ty wybrałaś;
nie zapominaj, że to twój świat, moja fantazjotwórczyni.

Tamisan przymknęła oczy, oparła głowę i ramiona o ścianę. Wtem rozległ się jakiś
szczęk,

wstrzymała na chwilę oddech. W komnacie panowała ciemność, ale drzwi były
oświetlone,

stał w nich oficer z eskortą włóczników.

— Nadszedł czas.

— Nie musiałem długo czekać. — Hawarel podniósł się, rozprostował ramiona jak

ktoś, kto był od dawna gotowy. Później zwrócił się ku Tamisan i podał jej dłoń. Wolałaby obyc się bez jego pomocy, ale była na tyle ścierpnięta i zeszywniała, że przyjęła ją z radością. Szli labiryntem korytarzy i w końcu wyszli prosto w ciemność nocy. Czekał tu na nich kryty powóz, znacznie większy od tego krzesła na kółkach, którym przywieziono ją do zamku.

Powóz zaprzęgnięty był w dwa gryfy. Strażnicy wprowadzili ich do środka i zaciągnęli zasłony tak szczelnie, że nawet gdyby chcieli, nie mogliby wyrzeć na zewnątrz.

Powóz zatrzeszczał, ruszył, a Tamisan usiłowała po jego odgłosach zorientować się, dokąd ich wiozą. Odgłosów jednak było niewiele, jakby jechali przez głęboko uśpione miasto. Nagle w mroku poczuła raczej niż dostrzegła jego ruch. Musnął ją ramieniem i szepnął tak cicho, że ledwo usłyszała:

— Wyjeżdżamy z zamku.

— Dokąd?

— Chyba na przekłete pole.

Pamięć tego świata podsunęła Tamisan wyjaśnienie. To tam, gdzie wylądowały wcześniej dwa inne statki kosmiczne, aby już nigdy nie unieść się w górę. Ten, który przybył tu pięćdziesiąt lat temu, był jeszcze cały. Pordzewiała masa metalu stanowiła jakby podwójne ostrzeżenie: skierowane ku gwiazdom, by nikt nie próbował inwazji na Ty–Kry, i ku miastu, by było czujne. Tamisan wydawało się, że ta podróż nigdy się nie skończy. Zatrzymali się tak nagle, że z hukiem uderzyła o ścianę pojazdu, a gdy odsłonięte zasłony, oślepiły ją światła.

— Wsiadajcie, zwycięzco i prorokini!

Hawarel wysiadł pierwszy i odwrócił się, aby jej pomóc, ale został odepchnięty, a oficer wyciągnął ją raczej niż wyprowadził na zewnątrz. Otoczyli ich włócznie z pochodniami. Za nimi kłębił się kolorowy, ludzki tłum, oddzielony od ciemnego pola podwójną linią żołnierzy.

— Tam, w gorze. — Hawarel znów znalazł się tuż obok niej. Tamisan podniosła wzrok.

Błysk niemal ją oślepił, gdy nagle na ciemnym niebie pojawił się ognisty słup światła. Statek kosmiczny służył ku ziemi jasną smugą.

V

Blask oświetlał całą dolinę. Z tyłu tkwił kadłub nieszczęsnego statku, który wylądował tu wcześniej. Tam też, ustawione w rzędach, stały brygady włóczników i kuszników dowodzone przez oficerów z mieczami o gardach przypominających koszycki. Czekając tak, wyglądali raczej jak gwardia honorowa przybyła dla uczczenia Królowej Królów, górującej nad wojskiem w wysokiej lektyce, niż jak armia rozciągnięta w szyku bojowym. Ci ze statku zapewne z wyższością spoglądali na ich uzbrojenie, traktując je jak zabytkowe, nieużyteczne dziś przedmioty. Jak mieszkańcy Ty–Kry zdołali opanować poprzedni pojazd i pojmać jego załogę? Przez zdradę i podstęp — odpowiedziałyby ich ofiary, podczas gdy Głos Olawy w Tamisan mówił, że stało się to dzięki sprytnemu fortelowi. Lądujący statek wypalił ziemię.

Kiedy jaskrawy blask przygasł, dolinę ogarnął półmrok. Dopiero po chwili oczy przywykły do nikłego światła pochodni. Czekający tłum nie zdradzał żadnych objawów niepokoju. Choć jego paradne stroje i broń sprawiały wrażenie oddalonych o całe wieki od technicznych wynalazków przybyszów, ale przecież zebrani wiedzieli z historii, że nie stanęli w obliczu tajemniczego boga czy nieznannej mocy, lecz zwykłych śmiertelników, których mogli pokonać. Skąd wzięła się ich wrogość wobec wędrowców z gwiazd, skąd ta niechęć do kontaktu z obcymi cywilizacjami? — zastanawiała się Tamisan. — Oni wyraźnie pragną pozostać na tym poziomie rozwoju, jakieś pięćset lat za moim światem. Czy nie rodzą się wśród nich ludzie o chłonnych umysłach, czy nikt nie pragnie zmian? Pojazd stał, nie dając żadnego znaku życia, choć Tamisan wiedziała, że jego skanery gorliwie gromadzą informacje na videoekranach. Jeśli uchwyciły obraz opuszczonego statku, powinien on ostrzec przybyłych. Przeniosła spojrzenie z cichego korpusu statku na Królową akurat w chwili, gdy ta podnosiła dłoń. Z szeregów szlachty i oficerów wystąpiło czterech mężczyzn. W odróżnieniu od żołnierzy nie mieli na sobie zbroi ani hełmów, byli odziani w krótkie, czarne tuniki. Każdy z nich trzymał w ręce łuk — nie kuszę, jak pozostali, ale starszą jeszcze broń wyborowych łuczników. Tamisan z tego świata wstrzymała oddech, spostrzegła bowiem, że te łuki różnią się od wszystkich innych, a i ci, którzy je trzymają, nie przypominają zwykłych łuczników. Nic też dziwnego, że kobiety i mężczyźni rozstąpili się przed nimi — wydawali się potworami. Na głowie każdego z nich tkwiła idealnie dopasowana maska. Tyle tylko, że maski te nie oddawały ludzkich rysów twarzy, a stanowiły wierne kopie ogromnych głów, które — każda patrząc w inną stronę świata — wieńczyły obronny mur Ty-Kry. Ani ludzkie, ani zwierzęce — miały w sobie coś zwierzęcego i człowieczego zarazem i coś, co nie było ani ludzkie, ani zwierzęce. Wzniesione przez nich łuki wykonane zostały z ludzkich kości, a cięciwy spleciono z ludzkich włosów. Były to kości i włosy dawnych wrogów i legendarnych bohaterów, ich moc, zlana w jedno, miała teraz służyć żyjącym. Każdy z łuczników wyjął jedną strzałę z zamkniętego kołczanu, ich lśniąca w świetle pochodni ostrza zdawały się ściągać i kumulować promienie, aż wkrótce zmieniły się w smugi blasku. Przywiązane do sznurów wywoływały efekt hipnotyczny, całkowicie koncentrując na sobie uwagę zebranych. Tamisan nagle uświadomiła to sobie i próbowała się wyzwolić, ale w tej samej chwili łucznicy wypuścili strzały. Jak wszyscy wokół niej, powiodła wzrokiem za torem lotu czegoś, co zdawało się ognistą linią na tle nocnego nieba, wznoszącą się wyżej i wyżej, a następnie opadającą łukiem nad ciemnym pojazdem, by w końcu zniknąć z pola widzenia. Mknące strzały pozostawiły za sobą niezwykle długie smugi, które nie zniknęły od razu, lecz rzucały słaby blask na powierzchnię pojazdu. Tamisan wiedziała, co to znaczy. Statek musnęła odwieczna siła, by odebrać moc tym, którzy znaleźli się w jego wnętrzu. Jednak druga część jej osobowości wątpiła w skuteczność tej ceremonii. Ślizgowi strzał towarzyszył przenikliwy, cienki świst, raniący uszy tak, że wszyscy w tłumie unieśli ręce do głowy, by nie słyszeć tego pisku. Nagle zerwał się wiatr, a wraz z nim rozległo się dziwne łopotanie. Tamisan zobaczyła, że nad głową Królowej poruszają się błękitno-złote skrzydła ogromnego ptaka. Dopiero po chwili stwierdziła, że nie jest to gigantyczny ptak, lecz sztandar o takim kształcie, z którego powiew wiatru czynił imitację żywego stworzenia.

Spowici w czerń łucznicy stali w rzędzie, nieco przed linią wojska. Choć Królowa nie wykonała żadnego widocznego gestu, żołnierze otaczający Hawarela i Tamisan popchnęli ich do przodu, aż stanęli przed łucznikami i wysokim tronem Królowej Królów. — Cóż, bohaterze, czy zamierzasz wypełnić misję, do której wybrał cię Głos? — W pytaniu Królowej zabrzmiała drwina. Wyglądało na to, że nie wierzy w

przepowiednię Tamisan, a mimo to postanowiła znaleźć naiwną ofiarę, gotową skazać się na samozniszczenie.

Hawarel przyklęknął na jedno kolano, równocześnie tak przekręcając pochwę miecza, by widać było, że jest pusta.

— Jestem gotów, Wielka, spełnić każde twoje życzenie. Czy twoją wolą jest także, bym stanął do walki bez ostrza dzielącego mnie i nieprzyjaciela? Tamisan dostrzegła uśmiech na twarzy Królowej. Przez chwilę wydawało się, że tego właśnie pragnęła. Nawet jeśli bawiła się przez moment tą myślą, odrzuciła ją jednak i skinęła dłonią.

— Dajcie mu miecz i niech go użyje. Głos rzekł, że to on obroni nas tym razem. Nieprawdaż, Głosie? — W spojrzeniu rzuconym ku Tamisan pojawiły się przebliski gniewu.

— Został wybrany przez przepowiednię. Dwukrotnie. — Słowa Tamisan zabrzmiały poważnie, jak słowa wyroku.

Królowa roześmiała się.

— Bądź szczerą, Głosie, i przyznaj, że za tą przepowiednią kryje się i twoja wola. Dlatego teraz pójdziesz razem z nim, by Olava nie odmówił mu swej pomocy! Hawarel wziął miecz od oficera, który stał po jego lewej stronie. Wstał, wygiął ostrze i zasalutował uroczyście, pokazując, że jeśli nawet zdaje sobie sprawę, iż udaje się na własną egzekucję, pójdzie tak, jakby szedł wśród bębnow i fanfar. — Niech prawo prowadzi twą dłoń i chroni twe ciało — wyrzekła Królowa Królów. Jej głos zdradzał, że wypowiada te słowa jedynie jako rytualną formułę, nie po to, by dodać bohaterowi odwagi.

Hawarel odwrócił się ku milczącemu pojazdowi. Nad spaloną, zniszczoną ziemią, na której stanęły stateczniki maszyny, unosiły się smugi dymu i pary. Nikłe linie pozostawione w powietrzu przez cztery strzały zdążyły już zniknąć. Hawarel ruszył, o krok czy dwa za nim szła Tamisan. Nie miała pojęcia, jak uda im się zrealizować plan, jeśli pojazd pozostanie zamknięty, jeśli nie otworzy się żaden właz, nie wysunie żaden mostek. Czy Królowa zechce wtedy, by czekali przez długie godziny, aż dowodzący statkiem zdecyduje, czy nawiązać z nimi kontakt? Na szczęście załoga pojazdu okazała więcej inicjatywy. Może to widok opuszczonego kadłuba na skraju doliny wzbudził w nich potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej. Właz, który się otworzył, nie był głównym wejściem, lecz bocznym, usytuowanym ponad jednym ze stateczników. Wystrzelono stamtąd ładunek oszałamiający. Dobry los sprawił, że sięgnął on celu, zanim dotarli do granicy tłęcej się darni. Dzięki temu ich nagle obezwładnione ciała nie upadły w płomienie. Nie stracili przytomności, a tylko kontrolę nad wiotkimi mięśniami.

Tamisan upadła na twarz, na szczęście dotykając policzkiem ziemi, wskutek czego mogła oddychać. Jej pole widzenia było ograniczone linią płonącej trawy, która nieuchronnie zbliżała się ku niej. Widząc to, zapomniała o wszystkim. Były to najgorsze chwile, jakie dotąd przeżyła. Wyobrażała sobie w snach ucieczki w ostatniej chwili, ale zawsze wiedziała wtedy, że zdąży uciec na czas. Teraz nie miała pewności — czuła tylko bezwład ciała i widziała pełznącą ku niej granicę ognia. Nagle stwierdziła, że z obu stron ujęło ją coś, co przypominało wielkie, twarde szczypce. Zacisnęły się mocno i uniosły ją w górę, wciąż twarzą w dół. Zaczęła się dusić spalinami i falą ciepła bijącą od płonących roślin. Zaniósła się spazmatycznym kaszlem, zwymiotowała, uwięziona w brutalnym uścisku, który niósł ją do pojazdu.

Znalazła się w strumieniu oślepiającego światła. Uchwyciły ją czyjeś dłonie, ściągnęły

i przywróciły do pozycji pionowej. Działanie oszałamiacza słabło, musieli nastawić go na najniższą moc. Powoli wracało jej czucie w nogach i ociężałych ramionach. Udało jej się na tyle podnieść głowę, by dojrzeć przed sobą mężczyzn w mundurach. Mieli na sobie hełmy, jakby zamierzali wyjść na nieprzyjazną im planetę, niektórzy opuścili nawet przyłbice.

Dwóch z nich uniosło ją bez trudu i przetransponowało korytarzem do niewielkiej kabiny, która niepokojąco przypominała celę. Leżąc na podłodze, Tamisan powoli odzyskiwała władzę nad swoim ciałem i zaczęła zastanawiać się, co dalej. Czy ściągnęli tu także Hawarela? Z pewnością tak, choć nie znaleźli się w jednej celi. Zdołała usiąść, opierając się o ścianę i uśmiechnęła się słabo na myśl, że ich dumnie rozpoczęta walka zakończyła się niebywale szybko. Cieszyło ją nie to, że wszystko potoczyło się inaczej niż chciała tego Królowa, lecz fakt, że powiódł się ich plan: znalazła się wraz ze Starrexem na statku, na pokładzie którego powinien być i Kas. Jeśli uda im się wszystkim połączyć, będą mogli przerwać sen. Czy wraz z ich zniknięciem zniknie także ten świat? Na ile jest prawdziwy?

Niczego nie była pewna, ale nie musiała się przecież nad tym zastanawiać. Teraz powinna skoncentrować się na jednym: Gdzie jest Kas? Co należy zrobić? Walić w drzwi celi, zażądać rozmowy z komandorem? Czy ma poprosić o spotkanie z całą załogą, aby mogła odszukać Kasa w jego przebraniu z tego świata? Podejrzewała, że nikt poza Hawarelem—

Starrexem nie uwierzyłby w jej opowieść. Najważniejsze to zacząć działać, zacząć szukać... Drzwi otworzyły się. Tamisan zdziwiła się, że jej życzenia spełniają się tak szybko.

Stojący przed nią mężczyzna nie miał na głowie hełmu, ubrany był w tunikę z insygniami wyższego oficera, niewiele różniącymi się od tych, które знаła ze swego Ty-Kry. Celował w nią oszałamiaczem, a na szyi miał umocowane pudełko, z mechanicznym tłumaczem. — Przychodzę w pokojowych zamiarach.

— Z bronią w rękę? — zapytała.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, spodziewał się odpowiedzi w obcym języku, a ona odezwała się w Basicu, drugim języku planet Konfederacji. — Mamy powody, by przypuszczać, że broń jest niezbędna w kontaktach z waszym ludem. Jestem Glandon Tork z Survey.

— Nazywam się Tamisan i jestem Głosem Olawy. — Jej dłoń uniosła się ku skroniom i odkryła, że dziwnym trafem, podczas powietrznej podróży i wejścia na statek, korona nie spadła z jej głowy. Potem spytała o najważniejsze: — Gdzie bohater? — Wasz bohater? — opuścił już broń, a jego głos złagodniał. — W bezpiecznym miejscu.

Dlaczego nazywasz go bohaterem?

— Gdyż nim jest. Przybył, by zmierzyć się w prawej walce z waszym wybranym bohaterem.

— Rozumiem. My mamy wybrać swego bohatera, tak? A co to jest prawa walka?

Odpowiedziała najpierw na drugie pytanie:

— Jeśli chcecie zdobyć tę ziemię, musicie najpierw stanąć do prawej walki z wojownikiem pani tej krainy.

— Ale my nie jesteśmy najeźdźcami — zaprotestował.

— Jednak wasz ognisty statek wylądował na polach Ty–Kry. — A zatem wasi ludzie uznali nasze przybycie za rodzaj inwazji? I o wszystkim ma decydować pojedynek dwóch wojowników? My wybierzemy... Tamisan przerwała mu:

— Niezupełnie tak. Wybiera Głos Olavy, a właściwie wybiera piasek, wróżba wybiera.

Dlatego do was przyszedłam, ale nie zostałam należycie przyjęta.

— W jaki sposób go wybierzesz?

— Powiedziałam już: poprzez przepowiednię.

— Nie bardzo rozumiem, choć pewnie pojmę to we właściwym czasie. Gdzie ma zostać stoczona ta walka?

Wskazała w kierunku ścian pojazdu.

— Na ziemi, której żądacie.

— Logiczne — przyznał. Potem odezwał się, jakby zwracał się do powietrza wokół:

—

Wszystko nagrane? — Ponieważ powietrze nic nie odpowiedziało, był najwyraźniej zadowolony z ciszy.

— To wasz obyczaj, dostojny Głosie Olavy. Nie nasz. Musimy się więc naradzić.

Zrobimy

to, nim nas opuścisz.

— Jak sobie życzysz. — Na jej korzyść działało to, że był z Survey, musiał być zatem przygotowywany do akceptowania zwyczajów obcych ludów. Prosta zasadą tego przygotowania było, by tam, gdzie to tylko możliwe, podporządkowywać się obyczajom tubylców. Jeśli załodze spodoba się myśl o rywalizacji, mogą przyjąć wszystkie jej warunki.

Będzie mogła zażądać, aby postawiono przed nią każdego członka załogi i w ten sposób odnajdzie Kasa. Gdy to nastąpi, przerwie sen.

Jednak, mówiła sobie: nie licz na zbyt szybkie uwolnienie z tej przygody. Gdzieś na dnie jej umysłu kryło się dokuczliwe zwątpienie związane z tymi śmiertelnymi strzałami, z opuszczonym kadłubem statku. Lud Ty–Kry, na pozór tak słabo uzbrojony, zdołał przez wieki uchronić swój świat przed obcymi. Kiedy drażyła swą pamięć z tego świata, by odkryć, jak to było możliwe, znajdowała jedną tylko odpowiedź — tajemne moce magii. Wiedziała, że wypuszczenie strzał było pierwszym krokiem ku przywołaniu tych sił. To, co kryło się za tym wszystkim, przypominało jej własną moc, moc Głosu, której nie pojmowała nawet wtedy, gdy z niej korzystała.

Tamisan uświadomiła sobie nagle, że myśli o tym wszystkim tak, jakby ten świat istniał naprawdę, a nie był tylko snem, który wymknął się spod jej kontroli. Czyżby Starrex miał rację i jakimś sposobem przywędrowali do równoległego świata? Zaczęła tracić cierpliwość, chciała działać. Najtrudniejsze było czekanie. Była pewna, że skanery różnych typów rejestrują każdy jej ruch, musiała więc zachowywać się spokojnie i pewnie, jak na Głos przystało, nie okazując zniecierpliwienia. Starła się jak umiała. Czas chyba jej się dłużył, wreszcie jednak wrócił Tork, aby zabrać ją z celi i poprowadzić po schodkach na następny poziom. Wspinanie się w długich szatach nie było łatwe. Weszli do przestronnej, znakomicie umeblowanej kabiny, w której siedziało pięciu mężczyzn. Tamisan przyglądała się im badawczo. Nic nie potrafiła powiedzieć, nie czuła tego niepokoju, który ogarnął ją w sali tronowej, w

obecności Hawarela. To, oczywiście, mogło znaczyć, że nie ma wśród nich Kasa, choć ekspedycje z Survey nigdy nie były wielkie i składały się głównie ze specjalistów kilku różnych dziedzin. Poza tymi sześcioma przebywało więc na pokładzie jeszcze może dziesięciu, może dwudziestu. Tork poprowadził ją do wygodnego fotela, który przystosował się do kształtu jej ciała, gdy tylko się w nim usadowiła. — To kapitan Lowald, medyk Thrum, psychotechnik Sims i ciznolog El Hamdi. — Tork wymieniał imiona mężczyzn, którzy przedstawiali się skinieniem głowy. —

Naszkicowałem im twoją propozycję i rozważyli ją. W jaki sposób zamierzasz wybrać bohatera spośród nas?

Dopiero teraz Tamisan uzmysłowiła sobie, że nie ma piasku. Będzie musiała ograniczyć się do dotyku, ale i tak była pewna, że odkryje Kasa tą metodą. — Niech wasi ludzie podejść do mnie i dotkną mojej dłoni. — Podniosła ręce i położyła je na stole. — Będę wiedziała, kiedy dotknie mnie ten, którego wybrał Olava. — To wydaje się dość proste — odezwał się kapitan. — Postąpmy więc zgodnie z życzeniem tej damy — pochylił się i położył rękę na dłoni Tamisan. Trwało to prawie minutę.

Nie było odpowiedzi, tak jak przy pozostałych. Kapitan wezwał innych członków załogi przez intercom. Podchodzili, kładąc dłonie na jej dłoni. Tamisan niepokoiła się coraz bardziej, zaczęła wierzyć, że się pomyliła, może nie wykryje Kasa bez pomocy piasku. Badała twarz każdego z tych, którzy siadali naprzeciwko niej i kładli swoje ręce na jej dłoni, ale nie odnalazła nikogo, kto przypominałby kuzyna Starrexa, na nikogo też nie wskazała jej intuicja.

— To już wszyscy — powiedział kapitan, gdy podniósł się ostatni. — Który z nich zostanie naszym bohaterem?

— Nie ma go wśród nich — wyrzuciła z siebie prawdę, rozczarowanie wzięło górę nad ostrożnością.

— Dotknęłaś ręki każdego człowieka na pokładzie tego statku — odparł kapitan. — Czy to ma być jakaś sztuczka?

Przerwał mu ostry, przerażający dźwięk. Cyfry, które rozległy się w głośniku intercomu obok jego łokcia, nic nie znaczyły dla Tamisan, ale całą resztę poderwały do działania.

Oszalamiacz w rękę Torka wystrzelił, nim zdążyła wstać. Znowu była przytomna, lecz całkowicie bezwolna. Kiedy inni oficerowie wybiegali z kabiny, Tork wyciągnął jedną rękę, chroniąc jej bezwładne ciało przed upadkiem z fotela, a drugą przyciskał sygnał alarmowy wmontowany gdzieś w stół. Na jego wezwanie natychmiast odpowiedzieli dwaj ludzie, którzy wynieśli ją i znów zawlekli do kabiny. To chyba weszło im w zwyczaj — pomyślała ponuro Tamisan, gdy została niedbale rzucona na koję i niemal nie zwrócono uwagi na to, czy udało jej się bezpiecznie spaść na posłanie. Cokolwiek ten alarm miał oznaczać, przywrócił jej status więźnia. Jej strażnicy, pewni działania oszalamiacza, nie zamknęli za sobą drzwi, słyszała więc tupot biegnących i dźwięk czegoś, co mogło być drugim urządzeniem alarmowym.

Jaki atak przypuściły wojska Królowej Królów na tak dobrze uzbrojony i uprzedzony już pojazd kosmiczny? Jego załoga wiedziała przecież, że znalazła się w niebezpieczeństwie i była przygotowana do obrony. Starrex i Kas. Gdzie jest Kas? Kapitan oznajmił, że widziała wszystkich znajdujących się na pokładzie.

Czy miało to oznaczać, że jej wcześniejsza wizja była nieprawdziwa, że ten pozbawiony twarzy astronauta był tworem jej nazbyt bujnej wyobraźni? Nie wolno mi tracić wiary w siebie — pomyślała. — Kas tu jest, musi tu być! Leżąc, próbowała odgadnąć z odgłosów, co się dzieje. Hałasy i bieżanina niebawem jednak ucichły i zapanował spokój. Hawarel, gdzie on jest? Działanie oszałamiacza ustępowało. Właśnie podnosiła się niepewnie, kiedy drzwi kabiny uderzyły z trzaskiem w ścianę i stanęły w nich Tork z kapitanem. — Głosie Olavy, czy kimkolwiek naprawdę jesteś — odezwał się kapitan, chłód w jego głosie przypominał Tamisan niegdysiejszą wściekłość Hawarela — może nie opowiadałaś nam tych bzdur o bohaterstwie i prawej bitwie tylko po to, by zyskać na czasie, a może właśnie po to. Może i ty zostałaś oszukana. Ale w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia.

Zrobili wszystko, aby nas uwięzić i nie odpowiadają na nasze sygnały do podjęcia pertraktacji, musimy więc posłużyć się tobą jako naszym wysłannikiem. Powiedz swojej władczyni, że mamy jej wojownika i użyjemy go jako klucza, by otworzyć drzwi, które zatrzasnęła nam przed nosem. Mamy broń straszniejszą niż miecze i włócznie, straszniejszą niż ta, która nie zdołała ocalić tamtego statku. Może uwięzić nas tu na jakiś czas, ale my przetniemy jej więzy. Nie przybyliśmy tu jako najeźdźcy, bez względu na to, co myślicie, ale nie jesteśmy sami. Jeśli bliźniaczy pojazd na orbicie nie odbierze naszego sygnału, nastąpi coś, czego wasze plemię jeszcze nie widziało, czego nawet nie potraficie sobie wyobrazić.

Uwolnimy cię teraz, a ty pójdziesz powiedzieć to swojej Królowej. Jeśli do świtu nie przyśle do nas kogoś, kto podjąłby rokowania, popamięta nas. Rozumiesz? — A co z Hawarelem? — spytała Tamisan.

— Z Hawarelem?

— Z bohaterem. Zatrzymacie go tutaj?

— Tak jak mówiłem, użyjemy go jako klucza do naszej fortecy. Powiedz jej to, Głosie. Z tego, co wyczytaliśmy w umyśle tego wojownika, masz tu pewien autorytet, który powinien przekonać twoją Królową.

Czytali w umyśle Starrexa? Co to oznacza? Tamisan przelekkła się nagle. Rodzaj sondy?

Jeśli to uczynili, to znają też całą resztę. Była kompletnie wyprowadzona z równowagi i z trudem skoncentrowała się na swojej roli — miała przekazać tę wyzywającą mowę Królowej Królów. Zrobi to, skoro nie ma innego wyjścia. Jak przyjmą ją w Ty-Kry? Tamisan zadrżała.

Tork tymczasem ściągnął jaz koi i wyprowadził, niemal wlokąc za sobą.

VI

Już po raz trzeci Tamisan znalazła się w więzieniu, tym razem patrzyła nie na gładkie ściany kabiny statku kosmicznego, ale na wiekowe głazy, które otaczały jaw Wysokim Zamku. Kapitan Lowald pomylił się, sądząc, że zdoła wpłynąć na Królową, gdyż jej propozycja podjęcia rozmów z załogą pojazdu została odrzucona bez namysłu. Groźba użycia dziwnej broni, a także tajemnicza pogroźka, iż Hawarel zostanie użyty jako „klucz”, wywołały wybuch śmiechu. Dawne zwycięstwo Ty-Kry nad podobnym zagrożeniem z gwiazd umacniało mieszkańców miasta w przekonaniu, że i tym razem poradzą sobie sprawdzonymi sposobami. Tamisan nie miała pojęcia, jakie to sposoby, wiedziała jednak, że zanim odprawiono jaz pokładu, coś stało się ze statkiem. Hawarel był uwięziony, Kas zniknął, a więc i ona była w potrzasku. Kas...

jej myśli uparcie krążyły wokół faktu, że nie znalazła młodego Lorda wśród tych, którzy przed nią stanęli. Lowald zapewniał ją, że pokazał jej całą załogę. Zaraz! Przypominała sobie dokładnie jego słowa, co on powiedział? „Dotknęłaś ręki każdego człowieka na pokładzie tego statku”. Nic nie mówił o całej załodze. Może któryś z jej członków znajdował się poza pojazdem? O lotach kosmicznych wiedziała tyle, ile dowiedziała się z taśm, ale zawierały one szczegółową wiedzę, służyły przecież twórczyniom snów, dostarczając im faktów, na podstawie których mogły budować senne światy. Ten statek został wysłany z Survey i nie działał w pojedynkę. Może na orbicie krąży inny statek, a w nim przebywa Kas? Jeśli nawet tak było, to i tak pozostawał on nieosiągalny. Ach — westchnęła — gdyby to był zwyczajny sen... Oparła głowę o wilgotną, kamienną ścianę i odskoczyła niemal, gdy jej ramiona przeszedł dreszcz chłodu. Sny... Wyprostowała się, naraz czujna i podekscytowana. Czy udałoby mi się stworzyć sen we wnętrzu snu i w ten sposób odnaleźć Kasa? Czy to możliwe? Trudno odpowiedzieć, dopóki się tego nie sprawdzi.

Nie miała ani stabilizatora, ani wzmacniacza, ale były one niezbędne tylko wtedy, gdy trzeba było wprowadzić kogoś w sen. W pojedynkę da sobie radę. Czy, śniąc we śnie, zdołam wysnuć potrzebną wizję? Po co zadawać sobie pytania, na które nie można odpowiedzieć, zanim nie spróbuję!

Wyciągnęła się na kamiennej posadzce celi, stanowczo odcinając się od tej cząstki samej siebie, której dokuczały niewygodna i chłód. Skoncentrowała się na równym, głębokim oddechu i myślała intensywnie nad wzorem autohipnozy, który stanowił przejście do jej snu.

Jedynym punktem zaczepienia był Kas i to w jego własnej postaci. Jakże nikły ślad... Pograżyła się we śnie. Dookoła niej wyrosły ściany z półprzeźroczystego materiału przepuszczającego pastelowe, przyjemne kolory. To nie mógł być statek kosmiczny. Po chwili obraz zamigotał, a Tamisan odepchnęła od siebie wszelkie wątpliwości, które mogły zniszczyć delikatną materię snu. Obraz wyostrzył się, ściany odzyskały cechy materialne, stała w korytarzu, przed jakimiś drzwiami. Zapragnęła zobaczyć, co się za nimi kryje i, w sposób właściwy snom, natychmiast znalazła się w komnacie. Jej ściany okrywała ta sama lśniąca siatka, która wyściełała jej pokój w podniebnej wieży. Szukając Kasa, powróciła do swego świata. Snuła dalej swój sen, zaintrygowana tym, dlaczego przyprowadził ją właśnie tutaj. Czyżby się myliła i Kas wcale nie udał się z nią do sennego świata? Skoro tak, to dlaczego Starrex i ona sama nie mogą znaleźć drogi wyjścia ze snu? W pokoju nie było nikogo, ale coś ciągnęło ją dalej. Szukała Kasa, więc musiał gdzieś tu być. Zdziwiła się, wchodząc do następnej komnaty. Takie pomieszczenia znała doskonale — był to pokój snu.

Jedna z sof była zajęta, przy drugiej, pustej, stał Kas.

Twórczyni snów miała na głowie koronę pozwalającą na wspólny sen, lecz na drugiej leżance nie było człowieka, a tylko stała czworokątna, metalowa skrzynka, do której podłączono przewody biegnące od korony — twórczynią nie była jednak Tamisan. Spodziewała się, że na sofie zobaczy siebie, tymczasem miała przed sobą jeden z tych zamkniętych w wyobraźni umysłów — zdradzała to pustka malująca się na twarzy śniącej.

Wtrąciwszy się do snu, najwyraźniej przesyłała jego moc do metalowego pudełka. Tyle wystarczyło, by Tamisan domyśliła się całej reszty. To nie był ten sam pokój, w którym zapadła w sen. Był mniejszy od tamtego. Kas nie spał, zajęty nastawianiem jakiegoś kodu na pokrywie skrzynki. Pudełko i twórczyni śniąca jej sen wystarczały, by zatrzymać ich w tamtym świecie. Tylko co miała oznaczać ta niewyraźna wizja

Kasa w kosmicznym stroju?

Miała wprowadzić mnie w błąd? A może to jest błędny sen, zrodzony z podejrzeń wobec kuzyna, jakie odkryłam w Starrexie? Widziała oto logiczną przyczynę tej nieufności: została wysłana wraz ze Starrexem do świata snów i tam uwięziona przez maszynę i sen tej dziewczyny. Rzeczywistość czy sen... które z nich? Czy Kas może mnie teraz zobaczyć?

Jeśli to sen, powinna być widzialna, ale jeżeli powróciła do rzeczywistego świata... Od samego wymieniania tego, co mogło być prawdziwe, nieprawdziwe i na poły prawdziwe, kręciło jej się w głowie. Mogła sprawdzić przynajmniej niewielką cząstkę. Podeszła do Kasa i dotknęła jego dłoni, gdy pochylał się, aby poprawić coś przy skrzynce. Krzyknął zaskoczony, gwałtownie cofnął rękę i rozejrzał się wokół siebie. Spojrzał wprost na nią i wiedziała już, że nic nie zobaczył. Była bezcielesna, jak duchy w baśniach sprzed wieków.

Wprawdzie nie

zobaczył, ale przecież poczuł dotyk...

Kas znów pochylił się nad skrzynką, przyglądając się jej uważnie, jakby sądził, że to za jej sprawą poczuł jakiś wstrząs. Śpiąca nie poruszyła się. Gdyby nie powolne opadanie i wznoszenie klatki piersiowej, Tamisan pomyślałaby, że tamta jest martwa. Miała bardzo wychudzoną, bladą twarz. Ten widok zaniepokoił ją. To narzędzie Kasa zbyt długo już śniło.

Będzie trzeba ją zbudzić, jeśli sama nie wykona żadnej próby przerwania snu. Jednym z niebezpieczeństw związanych z wchodzeniem w cudze sny była możliwość utracenia zdolności przerwania iluzji. Jeśli zdarzy się coś takiego, sen przerywa nadzorca. Większość koron snu ma wmontowany stymulator, który to reguluje. Jednak to, co miała na głowie ta dziewczyna, było znacznie zmodyfikowane. Tamisan nigdy przedtem nie widziała takiej korony, może to ona uniemożliwiła przerwanie snu? Co się stanie, gdy Tamisan ją obudzi?

Czy uwolni to także ją i Starrexa, gdziekolwiek był, i oboje powrócą do swego świata?

Technikę przerywania snów miała opanowaną znakomicie. Użyła jej, stojąc za ofiarą, która przekroczyła dozwolony czas snu. Wyciągnęła rękę, wyczuła puls na szyi dziewczyny i zastosowała lekki masaż. Jednak, choć jej ręce wydawały się dość cielesne i mocne, nie dało to żadnego rezultatu. Dla pewności Tamisan wyprostowała palec i przycisnęła go z całej siły do poduszki, na której spoczywała głowa śniącej. Palec nie zakłócił miękkiej wypukłości, zanurzył się w niej tak, jakby pozbawiony był i kości, i ciała. Istniał jeszcze jeden sposób, był brutalny i używano go tylko w ostateczności. Tamisan nie miała wyboru. Swymi bezcielesnymi palcami dotknęła skroni twórczyni snów tuż pod krawędzią korony i skoncentrowała myśli na jednym poleceniu. Śpiąca poruszyła się, skrzywiła i wymamrotała coś cichym głosem. Kas krzyknął i zastygł nad pudełkiem, jego palce poruszały się jednak po przyciskach z delikatnością sugerującą, że ma do wykonania bardzo trudne zadanie.

— Obudź się — powtórzyła Tamisan, wkładając w ten rozkaz wszystkie siły. Ręce śniącej drgnęły, oderwały się od boków i niepewnie uniosły ku koronie snu, lecz powieki nie poruszyły się. Wyraz jej twarzy świadczył o cierpieniu. Kas, zajęty manipulowaniem przy skrzynce, oddychał ciężko i szybko. Toczyli cichą walkę o władzę nad twórczynią snów. Powoli Tamisan musiała przyznać, że siła zawarta w metalowym pudełku zdolna jest pokonać wszystkie znane jej sposoby. Wiedziała

jednak, że im dłużej Kas będzie utrzymywał we śnie swoją ofiarę, tym bardziej będzie ona słabła. Rozwiązaniem może okazać się śmierć, choć Kasa chyba niewiele to obchodziło. Jeśli zatem nie potrafi obudzić śpiącej i przerwać więzów, które — teraz była tego pewna — zatrzymywały ją i Starrexa w tamtym świecie, musi jakoś wpłynąć na samego Kasa. Przecież poczuł jej dotyk. Tamisan wyslizgnęła się zza sofy i stanęła za Kasem. Ten wyprostował się, na jego twarzy malowało się odczucie ulgi, skrzynka najwyraźniej zarejestrowała, że zakłócenia się skończyły. Tamisan uniosła rękę, rozpostarła palce i ułożyła dłonie po obu stronach jego głowy, formując jakby koronę snu, po czym szybko i mocno przyłożyła ręce do czaszki Kasa, uciskając mu skronie, mimo swej bezcielesności. Wydał z siebie zduszony krzyk i zaczął trząść głową w obie strony, jakby chciał strząsnąć z siebie niewidzialną chmurę. Ona jednak, pełna determinacji, trzymała głowę ze wszystkich sił. Widziała to kiedyś w Roju, choć wtedy próbowano tego na kimś, kto posłusznie poddawał się eksperymentowi, a poza tym oboje — kontrolujący i śniący — znajdowali się na tym samym poziomie egzystencji. Podtrzymywała ją nadzieja, że zdoła przerwać ciąg myśli Kasa na tak długo, aż on sam uwolni twórczynię snów. Użyła całej swojej woli. Teraz już nie tylko potrząsał głową, utrudniając jej trzymanie dłoni we właściwym położeniu, ale kołysał się w przód i w tył i usiłował zedrzeć palcami z głowy jej uścisk. Okazało się jednak, że tak jak ona nie mogła go mocno uchwycić, tak i on nie jest w stanie jej dotknąć. Cały ładunek energii wykorzystywany zwykle do kreowania innych światów i wprowadzania w nie towarzyszy snów, wkładała teraz w próbę wpłynięcia na Kasa. Ku jej zdziwieniu, zaprzestał tych gwałtownych wstrząsów głową, a jego próby ściągnięcia jej rąk, których nie mógł uchwycić, słabły, wreszcie zamknął oczy, a jego twarz wykrzywiła się w dziecinnym grymasie przerażenia i rozczarowania. Nie pochylił się ku skrzynce, lecz niespodziewanie runął jak długi, zwałając się na pustą sofę. Podczas upadku wyciągniętym ramieniem strącił na podłogę metalowe pudełko, które roztrzaskało się i pociągnęło za sobą koronę snu, uwalniając dziewczynę. Ta odetchnęła głęboko, na jej wymizerowanej twarzy pojawił się ślad ożywienia. Tamisan, wciąż zaskoczona wynikiem swojej próby, zastanawiała się, czy nie pogorszyła swojej sytuacji. Nie miała pojęcia, jaki był związek skrzynki z ich przejściem do innego świata i czy, skoro pudło zostało zniszczone, będą mogli w ogóle powrócić.

Teraz chciała zachować wszelkie środki ostrożności. Pomyślała, że jeśli powróci do celi w Wysokim Zamku, aby ratować Starrexa, to pozostawi tutaj Kasa, który może znów uruchomić maszynę. O nie! Ale co robić...? Spojrzała na poruszającą się dziewczynę. Obudziła się już z najgłębszego snu, ale jeszcze nie wiedziała, co się dzieje wokół niej. W tym stanie mogła być użyteczna. Tamisan postanowiła spróbować. Zostawiła Kasa i podeszła do twórczyni snów.

Znowu dotknęła jej czoła i spróbowała na nią oddziaływać. Dziewczyna usiadła, jednak jej ruchy były tak powolne, jakby każdy mięsień jej ciała był obciążony ciężarem nie do uniesienia. Bolesnym, niechętnym gestem uniosła rękę do głowy, próbując uchwycić koronę, której tam już nie było. Siedziała, oczy miała wciąż zamknięte, a Tamisan zbierała w sobie resztki sił, i by wydać ostatnie polecenia. Nie otwierając oczu, po omacku, dziewczyna wymacała krawędź sofy, na której przedtem leżała, przesuwając dłoń, dopóki nie natknęła się na przewody, które łączyły koronę ze skrzynką. Jej słabe palce zacisnęły się niezdarnie, drgnęły słabo raz i drugi, zanim wyciągnęła obydwie przewody.

Trzymając je w ręce, zsunęła się z sofy do przodu tak, że upadła na kolana, opierając się tułowiem o drugą leżankę i dotykając jednym policzkiem twarzy Kasa. Wymagało

to wielkiego wysiłku od Tamisan. Traciła moc. Słabe ramiona dziewczyny opadły kilka razy bezwładnie, gdy panowanie Tamisan nad nią słabło. Ostatkiem sił udawało się przywrócić je do działania, aż w końcu na głowie Kasa pojawiła się korona snu, której przewody, wcześniej podłączone do skrzynki, trzymała teraz w dłoni śniąca dziewczyna.

Mam tak ogromną szansę i taki marny sprzęt — pomyślała Tamisan. Nie mogła być pewna wyniku, pozostawała jej tylko nadzieja. Zwolniła swą władzę nad dziewczyną, która leżała po drugiej stronie sofy, na którą upadł Kas. Przyzwała na pomoc wszystkie swoje siły, także te, które różniły ją od innych i dotąd trzymane były w sekrecie. Znowu dotknęła czoła dziewczyny i przerwała sen we śnie.

Czuła się tak, jakby wspinała się na wysoki szczyt z nieznośnie ciężkim pakunkiem na obolałych plecach, jakby wlokła ciężar martwego ciała przez moczary, które wciągały ją głębiej z każdym krokiem. Nie, ten wysiłek zbyt wielki, jak... Nagle ciężar opadł, a Tamisan odczuła ogromną ulgę; rozkoszowała się faktem, że nie musi już nic ciągnąć. Otworzyła wreszcie oczy i nawet ten nieznaczny ruch okazał się wyczerpującym wysiłkiem. Nie znajdowała się już w podniebnej wieży. Mroczne światło, sączące się przez wysoko umieszczoną szczelinę, oświetlało kamienne ściany. Była w Wysokim Zamku, z którego powróciła do swego Ty-Kry, śniąc we śnie. Czy dokonała tam czegośkolwiek? Na razie była zbyt zmęczona, by zebrać myśli. W głowie wirowały jej urywki i strzępy tego, co widziała i robiła w Ty-Kry, ale nie składały się jeszcze w żadną całość. Z tego bezładu wyłonił się wreszcie obraz Hawarela, taki jakim go zapamiętała, gdy szli w kierunku kosmicznego pojazdu. Przypomniała sobie Hawarela i groźbę kapitana, zlekceważoną przez Królową. Jeżeli rzeczywiście udało się jej zniszczyć więzy, którymi Kas przytroczył ich do tego świata, zdołają uciec. Nie miała jednak siły. Próbowwała przypomnieć sobie formułę przerywającą sen i ogarnął ją wilgotny dreszcz lęku, gdyż pamięć ją zawiodła.

Nie zdoła dokonać tego teraz, musi mieć czas, aby odpoczęły zarówno jej ciało, jak i umysł.

Była bardzo głodna i spragniona. Czy oni zamierzają trzymać mnie tu bez jedzenia? Leżała cicho, nasłuchując. Potem, lekko i powoli, odwróciła głowę, by przyjrzeć się mrocznemu otoczeniu na poziomie posadzki. Nie była tu sarna.

Kas!

Czyżby udało się jej ściągnąć tu Kasa? Jeśli tak, znaczyłoby to, że nie ma on swojej kopii w tym świecie i zachował własną postać! Tak czy owak, nie miała czasu, by to zbadać, rozległ się bowiem szcęk krat i linia światła oznaczyła otwierające się drzwi. W świetle pochodni ujrzała tego samego oficera, który niegdyś stanowił jej eskortę. Tamisan uniosła się z trudem, przy pomocy rąk. W tej samej chwili rozległ się krzyk z głębi celi. Ktoś tam poruszył się, podniósł głowę. Zobaczyła tę samą twarz, którą widziała w podniebnej wieży.

To był Kas w swojej zwykłej postaci. Podnosił się z trudem, a stojący w drzwiach oficer i towarzyszący mu strażnik wpatrywali się weń, nie wierząc własnym oczom. Kas potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić się z jakiejś mgły. Jego usta rozchyliły się w straszliwym grymasie, który nie przypominał uśmiechu. Trzymał w dłoni niewielki laser.

Znieruchomiła:

chce ją spalić. Była tego tak pewna, że nawet nie czuła strachu, po prostu czekała na błysk.

Wycelował jednak ponad nią i strzelił w stronę korytarza. Oficer i strażnik osunęli się na ziemię. Opierając się jedną ręką o mur, Kas zbliżył się do Tamisan. Odsunął się od ściany, przełożył laser do drugiej dłoni i pochylił się, aby pociągnąć ją za materię okrywającą jej ramiona.

— Ty... wstań — wykrztusił z trudem. Był zapewne wyczerpany, tak jak ona. — Nie wiem jak, nie wiem dlaczego ani kto... Pochodnia, która wypadła z płonącej dłoni martwego strażnika, oświetliła ich nieco. Kas odwrócił ją i przysunął twarz do jej twarzy. Przyglądał się jej uważnie, jakby siłą spojrzenia chciał zderzyć z niej maskę ciała i wydobyć ze środka dawną Tamisan. — Ty jesteś Tamisan — nie może być inaczej! Nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś, diablico — potrząsnął nią tak gwałtownie, że uderzyła boleśnie o ścianę. — Gdzie on jest? Z jej wysuszonego gardła wydobyło się tylko kilka chrapliwych dźwięków, pozbawionych znaczenia.

— Nieważne — Kas stał coraz mocniej na nogach, jego głos odzyskał, siłę — i tak go znajdę. Nic ci nie zrobię, diablico, bo tylko dzięki tobie mogę wrócić. A co do Lorda Starrexa, to nie pomogą mu żadni strażnicy. Nie ma dla niego bezpiecznego schronienia.

Może tak

nawet będzie lepiej. Mów, co to za miejsce?!

Uderzył ją w twarz, jej głowa znowu poleciała na ścianę, a krawędź korony Głosu Olavy

wbiła się w czaszkę. Krzyknęła z bólu.

— Mów. Gdzie jesteśmy?

— W Wysokim Zamku Ty–Kry — zachrypiała.

— Co ty robisz w tej norze?

— Jestem uwięziona przez Królową Królów.

— Uwięziona? Co to ma znaczyć? Jesteś fantazjotwórczynią, a to jest twój sen.

Jak

możesz być uwięziona?

Tamisan była tak wstrząśnięta, że nie potrafiła znaleźć równie jasnych słów, jak wtedy, gdy wyjaśniała to Starrexowi. Pomyślała sobie, nieco zbity z tropu, że Kas i tak może nie uwierzyć jej słowom.

— To... niezupełnie... sen... — wyjąkała. Nie wyglądał na zaskoczonego. — A zatem kontrola ma tę właściwość, że nadaje pozór rzeczywistości — spojrzał jej prosto w oczy. — Nie panujesz nad tym snem, prawda? Chyba znowu miałem szczęście. Gdzie jest teraz Starrex?

Cieszyła się, że może powiedzieć mu prawdę, bo wydawało jej się, że kiedy kłamie, nie

ma najmniejszej nadziei, aby jej uwierzono. Czuła się tak, jakby jego badawcze oczy

zaglądały do wnętrza jej myśli.

— Nie wiem.

— Ale gdzieś w tym śnie?

— Tak.

— A zatem odnajdziesz go dla mnie, Tamisan, i to szybko. Czy musimy przeszukać ten

Wysoki Zamek?

— Kiedy widziałam go ostatnio, był poza murami. Starła się nie patrzeć w stronę drzwi, nie widzieć tego, co tam leżało. On jednak powlókł ją w tamtą stronę, przestraszyła się, że zwymiotuje. Nie miała pojęcia, w którym punkcie miasta, jakim był Zamek, się znaleźli. Ci, którzy ją tu przyprowadzili, nie umieścili jej w środkowej wieży, lecz skręcili przy pierwszej bramie i powiedli w dół długimi schodami. Nie wierzyła, by udało im się tak szybko odnaleźć wyjście, jak sądził Kas. — Chodź. — Pociągnął ją za sobą, odsuwając kopniakami na bok to, co leżało mu na drodze. Zacisnęła powieki. Odór palącego się ciała był jednak tak silny, że aż potknęła się.

Kas ją podtrzymał i powlókł dalej.

Jeszcze dwukrotnie widziała, jak zabija tych, którzy stanęli im na drodze. Kasowi dopisywało szczęście, sprzyjał też fakt, że ich pojawienie się zaskakiwało przeciwników.

Dotarli do schodów i ruszyli w górę. Nadzieja była jedyną siłą Tamisan. Kiedy jednak zaczęła poruszać się na własnych nogach, powoli odzyskiwała dawną moc i przestała się już bać, że upadnie, jeśli Kas zwolni swój uścisk. Kiedy zaś w końcu wyszli w mrok nocy, a wilgotny zaduch podziemi zastąpił świeży powiew wiatru, poczuła się rześka na tyle, by zacząć myśleć logicznie.

Kas pomagał jej aż dotąd ze względu na jej osłabienie; musi zatem udawać, że nic się nie zmieniło, dopóki nie będzie mogła przystąpić do działania. Może jego broń, nieznana w tym świecie i dlatego tak skuteczna, zdoła utorować im drogę do Starrexa. Nie znaczy to, że gdy już go odnajdą, ona nadal będzie posłuszna Kasowi. Czują, że stając przed swoim panem, Kas straci pewność siebie.

Tym razem na drodze stanęli im nie strażnicy, lecz potężna brama. Kas zbadał zasuwę, roześmiał się, podniósł laser i wystrzelił promieniem cienkim jak igła. Nagle za ich plecami rozległ się jakiś hałas i Kas, niemal ospale, skierował promień ku wąskim schodom, wiodącym z murów obronnych i roześmiał się znowu, kiedy doszedł go zduszony krzyk i stukot padającego ciała.

— Teraz. — Wyciągnął rękę i otworzył masywną bramę z zaskakującą łatwością— powiedz, gdzie jest Starrex? A jeśli mnie okłamałaś... — uśmiechnął się złowroźnie.

— Tam. — Tamisan wiedziała, co ma wskazać: w oddali, w świetle pochodni ciemniał kadłub przykutego do ziemi pojazdu.

VII

Kas zatrzymał się.

— Statek kosmiczny!

— Zaatakowany przez tych ludzi — potwierdziła Tamisan. — Starrex, jeżeli jeszcze żyje, jest zakładnikiem na pokładzie. Grozili, że użyją go w charakterze klucza, a Królowa, o ile wiem, nie przejęła się tym.

Kas odwrócił się do niej, zniknęło jego rozbawienie, śmiech zastąpiło

parsknięcie,

potrzęsnał nią w przód i w tył.

— To twój sen, pilnuj go!

Przez chwilę Tamisan zawahała się. Czy nie powinna powiedzieć mu, jak — jej zdaniem — wygląda prawda? Kas i jego laser to jedyna nadzieja dla Starrexa. Czy zdecyduje się na ryzykowny atak, jeżeli będzie wiedział, że to jedyny sposób osiągnięcia celu? Z drugiej strony, jeśli Tamisan przyzna, że nie jest w stanie przerwać snu, Kas może spalić ją od razu i próbować szczęścia sam. Pomyślała, że znalazła rozwiązanie. — Wtrąciłeś się w sen, Lordzie Kas, i jego wzór uległ zniszczeniu. Nie panuję nad niektórymi jego fragmentami, nie mogę też go przerwać, dopóki nie ma przy mnie Lorda Starrexa, ponieważ byliśmy połączeni w tamtym wzorze. Jej spokojna odpowiedź przekonała go. Wprawdzie potrząsnął nią jeszcze raz i wymruczał jakieś przekleństwo, ale popatrzył na pochodnie i ciemny zarys statku z pewnym namysłem.

Nadłożyli sporo drogi, aby ominąć pochodnie i wyjść na otwartą przestrzeń od południowej strony statku. Niebo nabierało już szarawego odcienia, który zdradzał zbliżający się brzask. Teraz, kiedy pojazd był lepiej widoczny, spostrzegli, że został szczelnie zamknięty. Wszystkie włazy były zatrzaśnięte, nie wysunięto żadnego pomostu. Laser trzymany przez Kasa nie mógł utorować im drogi, tak jak w Wysokim Zamku. Kas także zrozumiał to, zatrzymał bowiem jądwałtownie, zanim jeszcze opuścili bezpieczny cień, z dala od pochodni tworzących kwadrat wokół statku. Ukryli się w niewielkim zagłębieniu i zaczęli obserwować teren. Pochodnie, trzymane przedtem przez ludzi, zostały wetknięte w ziemię w regularnych odstępach, wyglądały jak olbrzymie świece. Kolorowy dworski tłum wraz z Królową Królów, zniknął, pozostała tylko linia straży, szeroko okrążająca zamknięty statek.

Tamisan zastanawiała się, dlaczego przybysze nie wystartowali, aby wylądować w jakimś innym miejscu. Być może zamieszanie, które widziała na pokładzie, oznaczało, że nie mogą tego zrobić. Mówili przecież o bliźniaczym pojeździe na orbicie. Wyglądało na to, że nie wykonali żadnego ruchu, by się z nim skontaktować, chociaż ona sama nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, gdy była tu ostatnio. Kas znowu zwrócił się do niej:

— Czy możesz przekazać Starrexowi wiadomość?

— Mogę spróbować. Jaka?

— Niech poprosi, żeby sprowadzono nas do niego — odpowiedział. Czy jest na tyle głupi, by wierzył, że nie ostrzegę Starrexa, bez względu na to, jaką będę przekazywać informację? A może potrafi temu zapobiec? Tylko jak skontaktować się ze Starrexem? Stworzyła podwójny sen, aby dotrzeć do Kasa. Teraz nie było na to czasu. Pozostało jej zastosować technikę wywoływania snu przy pomocy umysłu i sprawdzić, czy to zadziała. Powiedziała o tym Kasowi, nie obiecując powodzenia. — Skoncentruj się na tym, co masz zrobić! — rozkazał ostro. Tamisan zamknęła oczy i wyobraziła sobie Hawarela tak samo, jak widziała go po raz ostatni, stojącego przy niej na tym samym polu. Usłyszała, jak Kas głośno wciąga powietrze i otworzyła oczy.

Zobaczyła

Hawarela, dokładnie takiego jak wtedy, a właściwie jego bladą kopię, migotliwą i niewyraźną, już znikającą, wybełkotała więc pospiesznie:

— Powiedz, że przybywamy z wieścią od Królowej i musimy zobaczyć się z kapitanem.

Drżąca postać Hawarela przepadła w mroku. Kas mruknął gniewnie:

— Co też może zrobić taki upiór?

— Tego nie wiem. Jeśli powróci do tego, do kogo należy, może przekazać wiadomość. Co do reszty... — Tamisan wzruszyła ramionami — mówiłam ci już, że nie panuję nad tym snem. Czy sądzisz, że siedzielibyśmy tu tak, gdyby to ode mnie zależało? Jego usta skrzywiły się w ponurym grymasie.

— No, ty z pewnością byłabyś gdzie indziej, fantazjotwórczyni! Uważnie przyglądał się linii pochodni utkwionych w ziemi i stojącym pomiędzy nimi strażnikom. — Podejźmy do statku. Chyba nam otworzą, prawda?

— Przedtem użyli oszałamiacza — ostrzegła Tamisan — mogą zrobić to znowu. — Oszałamiacza. — Machnął laserem. Tamisan miała nadzieję, że ta odpowiedź nie oznacza, że zamierza zaatakować statek przy pomocy tej broni. Użył jej jednak tylko jako narzędzia, którym pchnął ją w kierunku szeregu pochodni. — Jeśli otworzą — zauważył — będę w pogotowiu.

Tamisan zgarnęła dół swej długiej szaty, postrzępiony przez ostre łodygi tak, iż pasma tkaniny mogły przeszkadzać jej w marszu, gdyby przydepnęła je stopą. Kolczaste krzewy sięgały jej do kolan i czepiały się sukni. Szła jednak do przodu, popychana przez Kasa, wbijającego palce w jej wciąż obolałe ramiona. Dotarli do rzędu pochodni. Strażnicy wpatrywali się w statek. W smugach światła Tamisan widziała, że byli dobrze uzbrojeni w kusze jednak nie z kości, jak tamci spowici w czerni łucznicy. Strzały wymierzone w potężny statek kosmiczny wydawały się śmieszne jak prymitywny żart. Jednak pojazd wciąż stał, a Tamisan pamiętała przerażenie członków załogi. Na powierzchni pojazdu pojawił się ciemny punkt i otworzył się jeden z włazów. Był to otwór obronny, widziała takie na taśmach.

— Kas, oni chcą strzelać. — Skierowany stamtąd promień lasera zmieniłby w popiół całą dolinę, aż do murów Wysokiego Zamku! Próbowała uwolnić się z jego uścisku i uciec, choć wiedziała, że przegrałaby jeszcze przed startem. Przytrzymał ją mocniej. — Nie ma lufy — powiedział.

Tamisan wysiliła wzrok, aby dostrzec cokolwiek w migotliwym świetle. Może to jaśniejące niebo sprawiło, że spostrzegła, iż rzeczywiście nie było tam lufy przygotowanej do wystrzelenia ognistego strumienia śmierci. Zauważyła jedynie karabin. Wejście zamknęło się równie szybko, jak się otworzyło. Statek znów był szczelnie zamknięty. — Co?

Kas odpowiedział na jej nie dokończone pytanie:

— Albo nie mogą go użyć, albo też, z jakichś powodów, postanowili nie używać. W obu przypadkach mamy szansę. Zostaniesz tu teraz! Jeśli nie, poszukam cię metodą, która na pewno nie przypadnie ci do gustu, i nie bój się, znajdę! — Tamisan wcale nie miała ochoty się sprzeciwić.

Została, bo — niezależnie od gróźb Kasa — dokąd miałaby pójść? Gdyby zauważył ją któryś ze strażników, trafiłaby znów do więzienia lub rozliczono by się z nią na miejscu.

Musiała dotrzeć do Starrexa, jeśli chciała uciec. Obserwowała Kasa, który — wykorzystując fakt zainteresowania strażników statkiem — przeczołgał się ze sprawnością, jakiej nie spodziewałaby się u mężczyzny wiodącego tak luksusowe życie w podniebnej wieży, ku najbliższemu strażnikowi. Nie widziała, jakiej użył broni, ale nie był to laser. Stał na równe nogi za plecami nic nie podejrzewającego strażnika, wyciągnął rękę i wykonał taki ruch, jakby tylko dotykał szyi obcego.

Mężczyzna natychmiast osunął się bezszelestnie, a Kas złapał go, nim zdążył upaść na ziemię, i powłókł do tyłu, aż do płytkiego zagłębienia, w którym czekała Tamisan.

— Prędko — rozkazał Kas — podaj mi jego płaszcz i hełm. Ściągnął z siebie tunikę z nadmiernie wypchanymi ramionami, a Tamisan uklękła i mocowała się z broszą spinającą płaszcz. Kas wyrwał jej rękę, zwłókł szatę z bezwładnego ciała, owinął się nią, podniósł hełm i nasadził go sobie na głowę. Potem sięgnął po kuszę.

— Idź przede mną — powiedział do Tamisan. — Jeśli są wyposażeni w skaner, zobaczą jeńca prowadzonego przez strażnika. Może to skłoni ich do podjęcia rozmów. To marna szansa, ale innej nie mamy.

Nie domyślał się nawet, że szansa była większa niż przypuszczał. Nie wiedział przecież, że Tamisan była już raz na pokładzie i że załoga może spodziewać się jej powrotu z wieściami od Królowej. Szczęście mogło ich natomiast zawieść przy przekraczaniu linii wart, inni strażnicy mogą ich zobaczyć, zanim pokonają jedną czwartą drogi do celu. Nie miała jednak innego wyjścia. Takich przygód nie przeżywała w swoich snach. Była przekonana, że jeśli teraz umrze, umrze naprawdę i nigdy już nie obudzi się cała i zdrowa we własnym świecie.

Jej ciało kurczyło się ze strachu, usta miała suche, a ręce drżały i wilgotniały, ukryte w fałdach sukni. W każdej chwili mogę poczuć uderzenie strzały — myślała —

usłyszeć

zdradzający nas krzyk, stać się...

Jednak wciąż szła naprzód, potykając się i nasłuchując cichego skrzypienia butów Kasa za swoimi plecami. To, jak lekceważył niebezpieczeństwo, które dla niej było aż nazbyt rzeczywiste, skłoniło ją do przypuszczeń, że może on wciąż wierzy, iż Tamisan panuje nad swoim snem. Wystarczy więc pilnować jej. Nie znajdowała jednak słów zdolnych do wyprowadzenia go z błędu. Była tak skupiona na oczekiwaniu ataku, że niemal zapomniała o statku, do którego podchodzili, dopóki, niespodziewanie, nie zobaczyła przed sobą otworu lufy. Przygotowała się natychmiast na to, że za chwilę poczuje działanie oszałamiacza. Ten atak, którego się lękała, również nie nastąpił. Niebo stawało się coraz jaśniejsze, choć jeszcze nie było widać wschodu słońca. Zaczęły spadać pierwsze krople, zwiastujące nadchodzącą burzę. Kiedy z niskich chmur lunęła woda, płomienie pochodni zasyczały, zmigotały i wreszcie zgasły. Zapadła ciemność, a właściwie półmrok przedświt. Podeszli już dość blisko statku i stanęli, czekając, by ich wpuszczono. Tamisan czuła, jak narasta w niej wybuch historycznego śmiechu. Cóż to będzie za zawód, jeśli nie zostaniemy wpuszczeni na pokład! Nie możemy stać tu bez końca i nie możemy dostać się na statek siłą.

Kas chyba zbyt zaufał jej porozumieniu z duchem Hawarela. Była pewna, że tym razem

przeegrali na dobre, kiedy z góry doszedł cichy szum. Na powierzchni statku otworzył się

nieduży właz, spuszczano z niego pomost, a właściwie stromą, trzeszczącą drabinkę, która

upadła na ziemię niedaleko nich.

— Ruszaj! — Popchnął ją Kas.

Tamisan drgnęła i podeszła do schodków. Wspinaczka okazała się trudna, bo ciężkie

strzepy spódnicy ściągały ją w dół. Musiała mocno trzymać się jedynej poręczy i podciągać

się rękami w górę. Dlaczego strażnicy strzegący linii pochodni nawet się nie ruszyli? Czyżby zwiódło ich przebranie Kasa i myśleli, że Tamisan została przysłana, by wrócić na pokład i podjąć rokowania? Była już prawie przy włazie, kiedy zobaczyła dwóch ludzi czekających na nich w mroku. Trzymali przygotowane do wystrzału wiązacze, przy ich pomocy mieli skrępować przybyłych niczym siecią i zmienić w łatwych do pojmania jeńców. Zanim jednak wytrysnęły te lepkie więzy, przybierające taki kształt, jakby polowano na grubego zwierza, obaj mężczyźni zachwiali się, przytykając martwe już dłonie do piersi, na których płonęły tuniki i wydobywał się z nich nikły, spiralny dym śmierci. Spodziewali się strażnika z kuszą, a natknęli się na laser Kasa, który zniszczył ich tak samo jak wartowników w zamku. Kas popchnął ją tak mocno, że się przewróciła, upadając częściowo na ciała tych, którzy tu ich oczekiwali. Usłyszała odgłos uderzenia, poczuła kopnięcie i przeturlała się, zmagając z długimi fałdami sukni. Po chwili, odpychając się od ściany korytarza, zdołała się odwrócić, by zobaczyć sam koniec walki. Dwaj wartownicy leżeli martwi, a Kas celował laserem w stronę trzeciego. Nie rozglądając się wokół, Lord wydał rozkaz, który automatycznie wykonała:

— Wiązacz, tutaj!

Wciąż na czworakach, Tamisan wróciła do kabiny wjazdu, aby uchwycić jeden z wiązaczy.

Spojrzała też na drugiego, powodowana potrzebą zapewnienia sobie jakiejś ochrony, ale Kas zawołał:

— Daj mi go!

Wciąż trzymając laser wymierzony w pierś trzeciego wartownika, wyciągnął rękę do tyłu.

Nie mam wyboru, nie mam, muszę to zrobić! Jeśli Kas sądzi, że mnie całkowicie zastraszył... Obróciła wiązacz i, nie tracąc czasu na celowanie, nacisnęła przycisk spustu.

Bicz lepiej przędy przeszył powietrze, odbił się od ściany, uderzył w ramię nieruchomego jeńca, ciągle zastraszonego laserem, przywarł do jego tułowia, aż sięgnął ręki Kasa, w której jeszcze tkwił, owinał jego tułów, drugie ramię i natychmiast przylgnał, zaciskając się, jak zwykle, i przykuwając jeńca do zdobywcy. Kas wiał się w zaciskających się więzach, próbując wymierzyć laser w Tamisan. Nie wiedziała, czy użyłby go, ślepy z wściekłości. Wiedziała jednak, że wiązacz daje jej pewność, że nie znajduje się w zasięgu ognia. Zwiąawszy ich na tyle, by stali się na jakiś czas bezbronni, Tamisan odetchnęła. Musiała jednak zyskać pewność co do Kasa. Zwolniła przycisk wiązacza, gdy tylko unieruchomiła jego ramiona. Teraz

znów uniosła broń i, już bardziej planowo, mocno skrępowwała mu nogi. Mógł stać, ale był równie bezradny, jakby strzelono do niego z oszałamiacza. Ostrożnie podeszła bliżej. Domyślając się jej zamiarów, zaczął się niesłychanie wiercić, starając się dotknąć jej ciała lepkimi linami.

Tamisan jednak przystanąła i oderwała wystrzępiony kraj swojej szaty, szeroki jak jej pas, a następnie owinęła nim dłoń i nadgarstek, aby uniknąć przykrej niespodzianki. Mimo oporu zdołała odebrać Kasowi laser i po raz drugi w krótkim czasie odczuła niezwykle przyływy ulgi. Kas nie odezwał się, jednak oczy miał dzikie, a usta zacisnął tak mocno, że z ich kącika sączyła się na jego policzek strużka śliny. Patrząc na niego teraz bez obawy, Tamisan pomyślała, że jego wściekłość niemal równała się szaleństwu. Ten drugi poruszył się. Przesuwał się oparty o ścianę. Oparcie i nie skrępowane nogi dawały mu pewną swobodę ruchów, mimo lin, które przywiązywały go do Kasa. Tamisan wymierzyła w niego laser i zaczęła rozglądać się, aby sprawdzić, czego tamten tak rozpaczliwie poszukiwał. Znalazła skrzynkę wewnętrznego telefonu. — Nie ruszaj się — rozkazała.

Zastygł na widok lasera. Wciąż trzymając go na muszce, pospiesznie spojrzała przez ramię w kierunku wjazdu. Z wiązaczem wsuniętym luźno za pas, zdołała prześlizgnąć się wzdłuż ściany, zatrzasnąć drzwi wjazdu i zamknąć je, przekręcając koło blokujące. Potem kazała obcemu podejść do intercomu, wskazując go laserem. Nieruchomy Kas okazał się jednak zbyt dużym obciążeniem. Czy powinna oswobodzić tamtego? Nie było innego wyjścia.

Skinęła
dłonią.

— Odsuń się.

Tamten nie odzywał się, ale skwapliwość, z jaką spełniał jej polecenia, świadczyła, że laser w jej dłoni podobał mu się jeszcze mniej niż wtedy, gdy trzymał go Kas.

Odsunął się na tyle, na ile pozwalały mu więzy, a ona przepaliła je, rozdzielając obu mężczyzn. Kas wyrzucił z siebie stek przekleństw, ale dla Tamisan były one nic nie znaczącymi dźwiękami. Dopóki nie zostanie uwolniony, będzie tylko dobrze związanym, ogromnym tobołem. Dla niej liczył się ten z załogi. Sięgnęła po telefon i przywołała go gestem. Jak dotąd, była to najlepsza z jej ról w tej beznadziejnej grze.

— Gdzie jest Hawarel, ten tubylec, który został sprowadzony na pokład? Jasne, że mógł ją okłamać, a ona nie wiedziałaby o tym. Wyglądało jednak na to, że odpowiada z ochotą, być może uznał, iż prawda będzie dla niej gorsza niż jakiegokolwiek kłamstwo.

— Mają go w laboratorium. Jest przystosowywany. — Grymas na jego twarzy był równie nieprzyjazny, jak ten, który widywała u Kasa.

Przypomniała sobie groźbę kapitana — mieli posłużyć się Hawarelem jako bronią przeciwko Królowej Królów i jej wojsku.

Czyżby przybyła za późno? Miała przed sobą tylko jedną drogę i tę właśnie wybrała, gdy przed kilkoma minutami sięgnęła po wiązacz. Odezwała się powoli, jakby mówiła do kogoś, kto z trudem ją rozumie:

— Zadzwonisz i powiesz, że Hawarel ma zostać uwolniony i przyprowadzony tutaj.

— Dlaczego? — odparł mężczyzna wyniośle. — Co mi zrobisz? Zabijesz mnie? I tak nie powstrzymasz kapitana, on spełni swoje zamiary, choćbyś miała mu spalić pół załogi.

— Może to i prawda. — Skinęła głową. Nie знаła kapitana, nie mogła stwierdzić, czy

blefuje. — Ale czy to poświęcenie ocali statek?

— Co ty możesz zrobić? — zaczął i przerwał. Jego grymas zniknął, przyglądał się jej z uwagą. W podartej sukni nie wyglądała na osobę dość potężną, by zagrozić pojazdowi kosmicznemu, ale nie mógł być tego pewny. Wychowana w innym czasie i miejscu, Tamisan wiedziała, że gwiazdnym podróżnikom wcześniej wpaja się jedną zasadę: na nowej planecie niczego nie wolno lekceważyć. Przecież mogła mieć władzę nad jakąś nieznaną siłą.

— Co mogę zrobić? Wiele — postanowiła szybko wykorzystać jego wahanie. — Udało wam się wznieść w górę? — ciągnęła z rozpaczliwą nadzieją, że jej domysły okażą się prawdą. — A może udało wam się skontaktować z tym drugim statkiem, czy też statkami na orbicie, co?

Wyraz jego twarzy był najlepszą odpowiedzią, jej nadzieja zmieniła się w radość. Ten pojazd został naprawdę przykuty do ziemi przy pomocy jakiejś szczególnej siły. — Kapitan nie posłucha — rzucił ponuro.

— Myślę, że posłucha. Powiedz mu, że albo pojawi się tu Hawarel, i to sam, albo pokażemy wam, co naprawdę przydarzyło się tamtemu pojazdowi na skraju pola. Kas nie mówił nic. Obserwował ją, może bez tej podejrzliwości, jaką okazywał człowiek ze statku, ale z jakimś uczuciem, którego nie umiała nazwać. Zaskoczenie? Może.

Choć mógł też ukrywać jakiś podstęp.

— Mów! — Tamisan poczuła, że musi się spieszyć. Tam, na górze, na pewną zaczęli się już prawdopodobnie zastanawiać, gdzie są jeńcy, których nie przyprowadzono przed ich oblicze.

Także strażnicy Królowej zdążyli już donieść, że Tamisan wraz z jakimś żołnierzem weszła na pokład. Wrogowie być może zbliżali się z obu stron. — Nie mogę włączyć nadajnika — oznajmił więzień.

— To powiedz, jak to zrobić.

— Czerwony przycisk.

Zauważyła dziwny błysk w jego oczach. Podniosła rękę i nadusiła zielony guzik. Nie oskarżając go nawet o zdradę, której próbował, odezwała się ostro:

— Mów!

— Tu Sannard. — Przynsunął usta do nadajnika. — Mają mnie; Roos i Cambre zabici.

Chcą tubylca...

— W dobrym stanie — syknęła Tamisan — i to natychmiast! — Chcą go w dobrym stanie i natychmiast — powtórzył Sannard. — Grożą zniszczeniem statku.

Nikt nie odpowiedział. Może była zbyt podejrzliwa i rzeczywiście nacisnęła zły przycisk?

Co teraz będzie? Nie mogła czekać.

— Sannard. — Głos dochodzący z intercomu był metaliczny, jakby nieludzki.

— Sir?

Tamisan odepchnęła Sannarda tak mocno, że osunął się wzdłuż ściany i upadł na Kasa, więzy natychmiast połączyły ich w jeden ruchliwy pakunek. Tamisan zwróciła się do nadajnika:

— Kapitanie, to nie jest zabawa. Przyślij mi więźnia albo popatrz na ten wrak i powiedz sobie: „Oto przyszłość mego statku”. Tak się stanie. Powróciłam na pokład, a jeden z twoich ludzi jest moim zakładnikiem. Przyślij tu Hawarela, samego, i módl się do tych sił nadprzyrodzonych, w które wierzysz, żeby był w stanie tu przyjść! Czas ucieka, jeśli ty nie zaczniesz działać, zobaczysz działanie czegoś, co wcale ci się nie spodoba! Sannard, który wciąż miał wolne nogi, kopniakiem próbował odepchnąć od siebie Kasa.

Jego wysiłki sprawiły tylko tyle, że razem zwalili się na podłogę w płątanie więzów. Ręka Tamisan opadła, dziewczyna oparła się o ścianę, oddychając ciężko. Bardzo chciała panować nad tym, co się działo, jak panowała nad snami, musiała jednak zdać się na los.

VIII

Tamisan oparła się bezwładnie o ścianę i czuła się tak napięta, jakby zamknięto ją w ogromnym futerale z grubej stali. Czas mijał wolno, wolniej niż zwykle, a napięcie rosło.

Mężczyźni przestali się mocować. Twarzy Sannarda nie widziała, a grymas na ustach Kasa budził przerażenie. Było to tak, jakby przed jej oczyma, choć bez jej udziału, zmieniał się i stawał innym człowiekiem. Od kiedy w swoim drugim śnie wróciła do podniebnej wieży, zrozumiała, że tego człowieka należy się bać. I teraz, choć był związany, wołała się trzymać z daleka, jakby siła jego wrogiego spojrzenia mogła stanowić broń przeciwko niej. Nie odzywał się i leżał niezwykle cicho i spokojnie, jakby wiedział z góry, że przegrała. Rozumiałam tak niewiele — myślała o sobie Tamisan, która była dotąd tak dumna ze swej wiedzy, przyswojonej po to, by konstruować sny. Załoga statku mogła znaleźć jakiś sposób — na przykład wpuścić do tego krótkiego korytarza trujący gaz, lub też użyć jakichś promieni sprzężonych ze skanerem. Zaczęła bezwiednie badać ściany i gorączkowo przesuwiała dłonie po gładkiej powierzchni. Chciała odkryć miejsce, którym mogła nadejść — cicha i niewidzialna — śmierć. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się jeszcze jedne masywne drzwi, a kilka kroków od wjazdu — drabinka prowadząca w górę, do zamkniętego trapu.

Spoglądała bez przerwy w stronę każdego z tych wyjść, dopóki nie odzyskała pewności siebie. Wystarczy, że poczekają — pomyślała — i odkryją mój blef... niech tylko poczekają...

Tak! Czekali już dość długo i teraz są... Nagle powietrze wokół niej zaczęło się zmieniać, wokół rozprzestrzenił się jakiś zapach. Nie był nieprzyjemny, ale w tych warunkach nawet perfumy drażniłyby jej nozdrza. Światło, które wydobywało się ze szczeliny pomiędzy dachem a sufitem korytarza, zmieniło barwę. Przedtem przypominało blask słońca w pogodny dzień, teraz było niebieskawe. Jej śniada skóra wyglądała w tym oświetleniu dość niesamowicie. Przegrałam rundę, którą sama rozgrywałam — pomyślała. — Może zdołam otworzyć wjazd i wyjść na świeże powietrze...

Tamisan powlokła się w kierunku wjazdu, chwyciła koło blokujące i natężyła

wszystkie siły. Kas znowu zaczął się wiercić, chcąc uwolnić się od nie chcianego partnera. Dziwne, ale ciało Sannarda leżało bezwładnie, głowa mu opadła, a oczy miał zamknięte. W tym samym czasie Tamisan, oparta o ścianę, usiłowała otworzyć drzwi. Nagle tknęło ją dziwne przecucie. Może to tylko zbyt rozwinięta wyobraźnia sprawiła, że uwierzyła w grożące jej niebezpieczeństwo? Odprężyła się, odetchnęła głębiej... Zaskoczona odkryła, że może głośno krzyczeć, choć przedtem wydała z siebie tylko cichy dźwięk. Nie traciła sił, przeciwnie, czuła, że je zyskuje. Zaczęła głęboko i powoli oddychać tym aromatycznym powietrzem, wciągając je całymi haustami do płuc. Jej ciało wzmacniało się, pragnęło tego powietrza, które przywracało jej życie. Czy Kasowi także? Odwróciła się, by to sprawdzić. Podczas gdy ona oddychała równo, z coraz mniejszym wysiłkiem, on z trudem łapał powietrze, a w zmieniającym się świetle jego twarz wyglądała upiornie. Obserwowała, jak przestaje się ruszać, a głowa mu opada; leżał teraz bezwładnie, jak ten, którego chwilę wcześniej odepchnął. Bez względu na rezultat, jaki wywołała ta zmiana w Kasie i — jeszcze wcześniej — w tym drugim, ona nie odczuwała nic złego. Jej sprawną wyobraźnią dopowiedziała resztę.

Być może nie myliła się aż tak bardzo, grożąc tym ze statku. Wprawdzie nie miała pojęcia, jak to działało, ale mogła to być jakaś dziwna broń z arsenału Królowej Królów. Co z Hawarelem? Chyba nie zamierzali go przysłać. Czy powinnam go poszukać? Zawahała się, wciąż trzymając ręce na kole i popatrzyła w kierunku drabinki oraz drzwi.

Jeżeli cała załoga zareagowała podobnie na to dziwne powietrze, nikt jej nie zatrzyma. Ale gdy ucieknie ze statku, straci możliwość powrotu do swego świata, a poza tym zły los może poprowadzić ją wprost w ręce Królowej. Uciekła z więzienia, na drodze jej ucieczki zostali zabici. Była Głosem Olawy i aż zadrżała na myśl o tym, jak by ją ukarano za to, że wykorzystała swą moc dla niecznych celów. Śmiało podeszła do drzwi na końcu korytarza.

Naprawdę nie miała żadnego wyboru. Musi znaleźć Starrexa i sprowadzić go tutaj, aby spotkali się we troje. Musi zyskać trochę czasu, by przygotować się do przerwania snu, inaczej będzie zgubiona. Rozluźniła nieco pas, aby podciągnąć do góry suknię i zyskać w ten sposób większą swobodę ruchu. Miała przy sobie wiązacz i laser Kasa. Wzbierało w niej poczucie siły, czuła się doskonale, choć jakiś wewnętrzny głos ostrzegał ją, by nie była zbyt pewna. Otworzyła drzwi jednym pchnięciem. Obrazek, jaki zobaczyła, najpierw ją zaskoczył, a potem uspokoił. W korytarzu zebrała się część załogi. Ludzie ci leżeli twarzami do ziemi, jakby przerwano im drogę do włazu. Lasery (nieco inne od tego, który przyniósł ze sobą Kas) powypadały im z dłoni, trzech miało przy sobie wiązacze. Tamisan przekraczała ich ostrożnie, zbierając broń do podwiniętej spódnicy. Wyglądała jak dziewczynka zbierająca na łące wiosenne kwiaty. Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że ludzie ci żyją. Ich równe i głębokie oddechy sprawiały wrażenie, że są pogrążeni w spokojnym śnie. Zabrała jeden z wiązaczy, pozbywając się tego, który miała wcześniej przy sobie. Obawiała się bowiem, że mógł być już na wyczerpaniu. Całą resztę zebranego oręża wyrzuciła w oddalonym kącie korytarza i skierowała nań promień lasera. W efekcie wszystko zamieniało się w nieprzydatną grudkę metalu. Nie orientowała się dobrze w konstrukcji pojazdu. Musiała po prostu szukać, szukać do skutku Starrexa. Zacznie od góry i będzie schodzić w dół. Zanim odnalazła drabinkę prowadzącą na górę, trzy razy ominęła śpiących członków załogi. Za każdym razem rozbijała ich, nim poszła dalej. Niebieskawe światło stawało się coraz bardziej intensywne, twarze śpiących nabrały niesamowitego wyglądu. Sprawdziła, czyjej suknia jest mocno podkasana, i zaczęła

piąć się w górę. Kiedy znalazła się na trzecim poziomie, usłyszała jakiś hałas. W niezwyklej ciszy, jaka ogarnęła statek, od razu zwróciła na niego uwagę. Zatrzymała się, nasłuchując. Dźwięk wyraźnie dochodził z poziomu, na którym się właśnie znalazła.

Trzymając laser w dłoni, ruszyła w jego kierunku. Wprawdzie ślad mógł być błędny, ale wszystko wskazywało na to, że dźwięk dochodził z jednej z kabin. Tamison otwierała wszystkie mijane drzwi. Widziała tam uśpionych ludzi; niektórzy leżeli na kojach, inni na podłodze albo przy stołach, z ułożonymi na blacie głowami. Nie zatrzymywała się jednak, by zbierać ich broń. Pragnęła jak najszybciej wypełnić swoje zadanie. Chęć opuszczenia tego statku dręczyła ją tak bardzo, jak smagnięcia batem po ramieniu niewolnika. Kiedy podeszła do ostatnich drzwi i pchnęła je, hałas stał się głośniejszy. Zobaczyła kabinę przeznaczoną nie tyle do życia, co do umierania. Dwóch mężczyzn w gładkich tunikach leżało w progu.

Wyglądało to tak, jakby — świadomi nadchodzącego niebezpieczeństwa — próbowali uciekać, lecz upadli, nim dotarli do wyjścia. Za nimi stał stół, na którym również ktoś leżał.

Ten jednak nie spał, ale z uporem próbował uwolnić się z krępujących go pasów. Choć jego długie włosy zostały ścięte i zgolone, odkrywając nagość całej czaszki, Tamison poznała w nim Hawarela. Mężczyzna zmagał się nie tylko z pasami i klamrami krępującymi jego ciało, ale także szarpał głową, żeby pozbyć się ułożonych na czole metalowych krążków, podłączonych do jakiegoś urządzenia, które zajmowało jedną czwartą powierzchni kabiny.

Tamison podeszła do obezwładnionego mężczyzny, stanęła przy stole i zerwała z jego głowy połuznione już krążki. Usta leżącego otwierały się i zamykały, jakby wypowiadał słowa, których nie słyszała. Kiedy jednak zniszczyła aparaturę, krzyknął z radości:

— Uwolnij mnie!

Schyliła się pod stół i znalazła mechanizm zamykający pasy i klamry. W kilka sekund wypełniła jego rozkaz. Miał obnażony tors, a kiedy usiadł, zobaczyła, że w miejscu, gdzie leżały jego ramiona i górna część tułowia, znajdowała się skomplikowana konfiguracja metalowych płytek.

Hawarel, zaraz po uwolnieniu, sięgnął po laser, który Tamison położyła na skraju stołu, kiedy go uwalniała. Gest ten oznaczał nie tylko potrzebę pośpiechu, ale także był sygnałem, że — jako uzbrojony — będzie teraz panem sytuacji.

— Wszyscy śpią — powiedziała. — Kas także śpi, jest uwięziony.

— Myślałem, że nie możesz go znaleźć, nie było go wśród załogi.

— Nie było. Jednak teraz go mam i, z nim, możemy wracać. — Jak długo to potrwa?

— Starrex przykleknął na jedno kolano i przeszukiwał kieszenie mężczyzn leżących na podłodze. — Jakie przygotowania musisz podjąć? — Nie wiem — odpowiedziała szczerze. — A jak długo oni będą spali? Ich omdlenie jest, jak sądzę, sprawką Królowej Królów.

— Zaskoczyło ich to zupełnie — przyznał Starrex. — I pewnie masz rację, podejrzewając, że tamci przygotowują się do zajęcia statku. Wiem przynajmniej tyle, że jego urządzenia sterownicze, a także część wyposażenia, zostały uszkodzone i nie nadają się do użytku — twarz Hawarela była groźna w tej niebieskiej, upiornej poświacie. — Gdyby tak nie było, nie żyłbym już.

— Ruszajmy! — Teraz, kiedy jakimś cudem (przynajmniej tak jej się wydawało)

osiągnęła swój cel, Tamisan poczuła się bardziej zaniepokojona. Bała się, że coś przeszkodzi im w ucieczce.

Cały statek był jeszcze pograżony we śnie, gdy odnaleźli drogę do korytarza przy włazie.

Starrex przykleknął obok Kasa i spojrzał na Tamisan ze zdziwieniem.

— Ależ to prawdziwy Kas!

— Owszem, to prawdziwy Kas — zgodziła się — i nie bez powodu. Ale czy musimy mówić o tym teraz? Wierz mi, jeśli ludzie Królowej wtargną na statek, mogą przywitać nas jeszcze gorzej niż zwykle. Tamisan, która jest Głosem Olawy, doskonale o tym wie.

Skinął głową.

— Czy teraz możesz przerwać sen?

Rozejrzała się wokół nieco spłoszona. Koncentracja... nie, nie mogę myśleć dość jasno — stwierdziła. Działanie tego aromatycznego gazu, który przywrócił jej siły, było zbyt silne.

Wysączyło z niej to, czego potrzebowała najbardziej.

— Niestety... niestety, nie mogę.

— No to wszystko jasne. — Zbliżył się, aby zbadać sznury. — Musimy iść gdzieś, gdzie będziesz mogła to zrobić.

Zobaczyła, że ustawił promień lasera na najniższą siłę rażenia i choć przepalił sznury łączące Kasa z Sannardem, nie uwolnił kuzyna z pozostałych więzów. A jeżeli wyjdziemy ze statku wprost na czekających tam żołnierzy Królowej? — pomyślała.

— Mamy jednak przecież wiązacz, laser, a może i ten łut szczęścia. Musimy podjąć ryzyko. Tamisan otworzyła wewnętrzne drzwi kabiny ciśnieniowej. Dwaj zabici mężczyźni leżeli tak jak upadli. Przewyciężając mdłości, odciągnęła jednego z nich, aby zrobić przejście Starrexowi, który szedł wolno, dźwigając na ramieniu Kasa. Więzień owinięty był płaszczem, w celu zabezpieczenia Starrexa przed wszelkim kontaktem z lepкими sznurami. Zewnętrzny właz był otwarty. Uderzyła w nich fala lodowatego deszczu i silny powiew wiatru. Kiedy Tamisan wchodziła na pokład, świeciło, ale dzień nie był wcale jaśniejszy, a pochodnie zgasły. Teraz nie widziała światła, kiedy — zasłaniając oczy przed wiatrem i deszczem — próbowała odnaleźć linię wart. Może spłoszyła ich ta sroga pogoda?

Była pewna, że u stóp pomostu nikt na nich nie czekał, chyba że ukrył się pod statecznikami pojazdu. Powiedziała to Starrexowi, a on skinął głową. — Dokąd pójdziemy?

— Gdzieś z dala od miasta. Potrzebuję tylko jakiegoś schronienia i trochę czasu... — Jeśli Yermer będzie miał nas w opiece, dopniemy swego — rzekł. — Masz, trzymaj to!

Posłał jej kopniakiem jakiś przedmiot przez metalowe płyty pokładu. Był to jeden z laserów należących do członków załogi. Wzięła go do jednej dłoni, w drugiej trzymała wiązacz. Dźwigający Kasa Starrex nie mógł iść pierwszy. Musiała teraz odegrać w prawdziwym życiu taką samą rolę, jaką często grała w swoich snach. Wcale nie było to zabawne. Łudziła się tylko nadzieją, że uda jej się, mimo wiatru i deszczu, dość szybko dotrzeć do jakiegokolwiek bezpiecznego miejsca. Kładka była bardzo stroma. Bała się, że spadnie, musiała więc przytroczyć wiązacz do pasa. Następnie mocno uchwyciła ręką poręcz i schodziła o wiele za wolno — jak jej się wydawało. Obawiała się także, że Starrex może stracić równowagę i spaść na nią, sprowadzając klęskę na nich oboje. Kiedy szczęśliwie znaleźli się już na ziemi,

wichura okazała się tak silna, że każdy krok wymagał ogromnego wysiłku. Tamisan nie była pewna, w którą stronę powinni iść, aby ominąć miasto i zamek. Burza zamroczyła jasność jej umysłu, musiała zgadywać. Musiała także uważać, by nie zgubić Starrexa, bo choć szła wolno, on włókł się daleko za nią. Nagle potknęła się o jakiś wystający kij, wyciągnęła rękę i rozpoznała dotykiem jedną z wygaszonych pochodni. Poczwała ulgę — dotarli do linii wart, ale nie było tu strażników.

Burza ocaliła życie ich trojga. Tamisan zwolniła, aby Starrex ją dogonił. Teraz on oparł się na pochodni, jakby pomagała mu utrzymać równowagę. Wystękał straszliwie zdyszany:

— Jako Hawarel mam wprawdzie mocne ciało, jednak nie jestem androidem przeznaczonym do ciężkich robót. Musimy znaleźć dla ciebie schronienie, zanim się załamie pod tym ciężarem.

Spostrzegła cień po lewej stronie, mógł to być zagajnik. Drzewa, jakieś wyższe krzewy.

— Tam. — Wskazała, choć nie wiedziała, czy zobaczy cokolwiek w tym mroku.

— Dobrze. — Wyprostował się lekko pod ciężarem Kasa i powlókł w kierunku cienia. Musieli przedzierać się przez rośliny. Tamisan miała wolne obie ręce, torowała więc drogę Starrexowi. Mogła posłużyć się przy tym laserem, ale nie potrafiła pozbyć się przekonania, że będzie im jeszcze potrzebny i trzymała go jako ostatnią rezerwę. W końcu, poranieni przez gałęzie i podrapani przez ciernie, dotarli do mniej zarośniętego miejsca.

Starrex zsunął ciężar na ziemię.

— Czy teraz możesz przerwać sen? — Przykucnął obok Kasa, a ona, dysząc, usiadła obok.

— **Tak, mogę...**

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Rozległ się dźwięk, który zagłuszył nawet burzę, a te cząstki ich osobowości, które należały do tego świata, doskonale wiedziały, co on oznacza.

Był to sygnał polowania. Natychmiast oboje zrozumieli, że to polowano na nich.

— Psy Ittera! — Cała groza sytuacji zawierała się w tych dwóch słowach. — Są na naszym tropie! — To, że była Głosem Olawy, nie liczyło się wcale. Nie było ratunku przed psami Ittera. Bestii tych, wypuszczonych na trop ofiary, nic nie mogło zatrzymać. — Zabijemy je.

— Nie bądź taka pewna — odparł. — Mamy lasery, oręż spoza tego świata. Broń, która uśpiła załogę statku, nie pokonała nas, więc oręż spoza tego świata może również nie zadziałać prawidłowo.

— Przecież Kas... — Wydawało się, że znalazła słaby punkt w jego rozumowaniu, bardzo pragnęła, by nie miał racji.

— Kas zachował swoją zwykłą postać, która jest bardziej podobna do tych ze statku niż do nas. A swoją drogą, jak to możliwe, że się nie zmienił? Starła się mówić jak najkrócej, ale opowiedziała mu o śnie we śnie i o tym, jak odnalazła Kasa. Usłyszała jego śmiech.

— A zatem nie myliłem się, sądząc, że mój ukochany kuzyn może stanowić centrum

tej intrygi. On sam jest w nią teraz uwikłany podobnie jak my. Może w roli ofiary będzie bardziej skłonny do współpracy.

— Z pewnością, mój dostojny panie — pomiędzy ich głosy wtrącił się trzeci, dochodzący z mroku.

— Ocknąłeś się, kuzynie. To dobrze, będziemy jeszcze bardziej przytomni. Mamy tu dwa komplety wrogów, którzy koniecznie chcą z nas także uczynić nieprzyjaciół. Najlepiej będzie, jeśli powędrujemy stąd gdzieś, gdzie uda nam się ocalić skórę. Co ty na to, Tamisan?

— Potrzebuję czasu.

— Zdobędę go dla ciebie tyle, ile zdołam — jego słowa brzmiały jak przysięga. — Jeśli lasery zadziałają poza prawami naszego świata, może zdołam powstrzymać psy Ittera. Tylko się postaraj!

Nie miała urządzeń przewodzących, nie miała nic poza wolą i palącą potrzebą. Wyciągnęła ręce, dotknęła nagiego, mokrego ramienia Starrexa i ostrożnie, unikając krępujących go lin, położyła dłoń na ciele Kasa. Natężyła całą wolę i spojrzała w siebie, nie na zewnątrz. Bez skutku: moc ją opuściła. Przez chwilę tylko poczuła się zawieszona pomiędzy światami.

Potem znalazła się z powrotem wśród ciemnych zarośli, których żywe ściany nie chroniły przed deszczem.

— Nie mogę przerwać snu. Maszyna wspierająca nie działa. — Nie dodała, że być może sama ją zniszczyła.

Kas roześmiał się.

— Wygląda na to, że moja konstrukcja nadal funkcjonuje, mimo że próbowałaś się wtrącać, Tamisan. Obawiam się, szlachetny Lordzie, że nie będziesz musiał wcale udowadniać skuteczności swojej broni. Chyba że mnie uwolnicie i dacie mi broń, konieczność sprzyja soюзom!

— Tamisan! — Ostry głos Starrexa wyrwał ją z ponurego przygnębienia po nieudanej próbie. — Pamiętaj o tym, że ten sen może wcale nie być zwykłym snem. Czy nie można otworzyć drzwi do innego świata?

— Do którego świata? — Wspomnienia tego, co widziała na taśmach, co z nich wyczytała, wirowały jej w głowie. Bezgłośnie szczekanie psów Ittera, które Tamisan słyszała, powodowało, że jej ciało kurczyło się i drżało, ale przede wszystkim mąciło jej myśli.

— Którego świata? Któregokolwiek... myśl, dziewczyno, myśl! Jeśli musisz, uchwyc się tylko jednego, ale myśl!

— Nie mogę. Psy, auuu, one tu idą, idą! Jesteśmy mięsem dla tych, którzy błądzą po mrocznych ścieżkach w bezksiężycowe noce. Jesteśmy zgubieni. — Tamisan, twórczyni snów, ukryła się całkowicie w Głosie Olavy, a Głos zniknął. — Pozostało tylko obdarte, bezradne stworzenie, skulone w cieniu śmierci, przed którą nie mogło się schronić. Była... Jej głowa drgnęła, policzek zapiekł od uderzenia, jakie wymierzył jej Starrex. — Jesteś fantazjotwórczynią! — Jego głos brzmiał stanowczo. — Śnij, śnij jak nigdy przedtem nie śniłaś, możesz to zrobić, jeśli tylko zechcesz, możesz! Policzek podziałał tak samo jak tamto pachnące powietrze na statku, jej wola wróciła, myśli uspokoiły się. Twórczyni snów odepchnęła od siebie tamtą, słabą Tamisan. Który świat? Jakiś punkt, potrzebuję jakiegoś punktu w historii! — Yaaah! — Ten krzyk Starrexa nie był już skierowany do niej. Może był to okrzyk bojowy

Hawarela?

Za osłoną krzaków ukazał się blady pysek, fosforyzujący przeraźliwym, obrzydliwym światłem. Poczła raczej niż zobaczyła, że Starrex wystrzelił do niego z lasera. Jakaś decyzja, wybija ją ze mnie woda. Wzmaga się wiatr, jakby chciał wygarnąć nas z tej nędznej kryjówki i uczynić łatwym łupem dla tych bestii. Toniemy, morze, morze, Morscy Królowie Natha!

Gorączkowo uchwyciła się tej myśli. Niewiele wiedziała na temat Królów Morza, którzy władali niegdyś archipelagiem na wschód od Ty–Kry. Stanowili zagrożenie dla Ty–

Kry tak dawno temu, że należeli już właściwie do legendy, nie do historii. Wszyscy zostali zdradzeni, ich władcę i marszałka ujęto podstępem. Trujący Puchar Natha. Tamisan zmusiła się, aby przypomnieć sobie wszystko i zatrzymać tę myśl. Kiedy już wybrała, powróciła jej jasność umysłu. Gwałtownie uniosła ręce, znów dotknęła Starrexa i Kasa, choć o tym drugim nawet nie myślała, chwyciła go bezwiednie, jakby musiała go włączyć, aby się powiodło.

Trujący

Puchar Natha — tym razem nie został wypity!

Tamisan otworzyła oczy. Nie — pomyślała — nie jestem Tamisan, jestem Tam–sin! Usiadła i rozejrzała się wokół. Miękkie, bladezielone okrycie zsunęło się z jej ciała.

Przyglądając się sobie, zobaczyła, że jej skóra nie była już śniada, lecz perłowobiała.

Siedziała na łóżku w kształcie wielkiej, otwartej muszli, jej druga połowa wznosiła się nad posłaniem, tworząc baldachim. Nie była tu sama. Odwróciła się ostrożnie, aby przyrzeć się swemu śpiącemu towarzyszowi. Jego głowa była częściowo odwrócona, zobaczyła więc tylko krągłość ramienia, bladego jak jej własne, i kędzierzawe włosy o rdzawej barwie wodorostów, ściśle przylegające do czaszki. Bardzo ostrożnie dotknęła koniuszkiem palca jego skulonego ramienia i już wiedziała! Westchnął i przewrócił się na drugi bok, twarzą do niej. Tamisan uśmiechnęła się i złożyła dłonie pod swymi drobnymi, strzelistymi piersiami. Nazywała się Tam–sin, a to był Kilwar, który wcześniej był Starrexem i Hawarelem, a teraz został Panem LockNar Bliższego Morza. Był z nimi ktoś jeszcze, ktoś trzeci!

Przypomniała sobie i uśmiech jej przygasł. Kas! Z lękiem rozejrzała się po komnacie, po ścianach z masy perłowej, bladezielonych draperiach, tak dobrze znanych Tam–sin. Kasa tu nie było, co nie znaczyło jednak, że nie ukrył się gdzieś w pobliżu, by niszczyć, zgodnie ze swoją naturą.

Gorące ramię objęło jej talię. Zaskoczona spojrzała wprost w zielone oczy, oczy, które znały i ją, i tamtą Tamisan. Pod tymi znajomymi oczami w kolorze morza zobaczyła uśmiechnięte usta. Jego głos brzmiał i znajomo, i obco:

— Wydaje mi się, że to będzie bardzo ciekawy sen, moja mała Tam–sin.

Osunęła się na posłanie u jego boku. Być może, nie, na pewno miał rację...

CZEŚĆ DRUGA

STATEK WE MGLE

I

Tam–sin, urodzona jako fantazjotwórczyni Tamisan, stała w wąskiej szczelinie skalistej wieży. W dole szumiało morze, bryzgając pianą tak blisko, że wystarczyło się pochylić, aby ująć w dłoń słoń koronkę. Nadchodziła niespokojna sztormowa noc. Fale w dole wściekle smagały skałę, a mimo to nie czuła lęku, raczej ożywienie, mocne niczym cierpkie wino, grzejące jej skąpo odziane, jasnoperłowe ciało. Za nią

znajdowała się ta sama komnata, w której się obudziła, o ścianach pokrytych masą perłową, z łóżem w kształcie muszli i turkusowymi draperiami. Była to część morskiej krainy i, tak jak ludzie z Bliższego Morza, była podobna do strzegącego ich wysp świata, czyli morza. Morze było ich życiem, a ktoś bałby się oddechu życia?

— Pani moja... — Senny, leniwy głos dochodził z posłania w formie muszli — wygląda na to, że szukasz... Odwróciła się powoli, by spojrzeć na mężczyznę, który leżał tam wygodnie, ledwo okryty jedwabną tkaniną.

— Panie mój — odpowiedziała głośniejszym głosem, by nie zagłuszyła jej pieśń fal — przypominałam sobie Kasa.

Jego zielone oczy zwęziły się, zniknął też uśmiech pełen zadowolenia. W jego twarzy, zupełnie nowej twarzy, zobaczyła to, co widziała chyba tylko ona: stoicką obojętność Starrexa, zdziwienie Hawarela — tych, którymi był niegdyś, a którzy wciąż musieli istnieć w jego myślach.

— Tak, Kas. — Jego głos nie był już taki ciepły, raczej zmęczony, jakby został wyrwany z półsnu, aby znów wziąć na plecy jakieś brzemię.

Półsen? To, co otaczało ich tutaj, było czymś więcej niż jakikolwiek sen. Tam-sin dobrze знаła sny, potrafiła je wywoływać i niszczyć zgodnie z własną wolą; wydarzenia i ludzie ze snów byli jak marionetki, którymi bawiła się niegdyś. To skończyło się wraz z wizją, jaką stworzyła dla Lorda Starrexa, wplątując ich oboje w przygodę, nad którą nie panowała. Udało im się uciec tu, gdzie czekały na nich nowe osobowości, nowe przygody i, bez wątpienia, nowe niebezpieczeństwa. Tylko co stało się z Kasem, kuzynem jej Pana, a ich wrogiem, który próbował unicestwić ich równocześnie w dwóch czasach, w dwóch światach — i on przecież musiał znaleźć się w tej krainie, choć niekoniecznie w ich towarzystwie. Mężczyzna usiadł. Miał jasną, bladą skórę, tak jak ona. Miękka, okrywająca go tkanina nadawała jego ciału zielonkawy poblask. Jego włosy, przypominające rdzawo-brązowe wodorosty, były dokładnie tego samego koloru co jej własne, widoczne w wiszącym na ścianie, gładkim zwierciadle z polerowanego srebra.

— Jestem Kilwar, Pan LockNar — rzekł powoli, jakby upewniając się co do własnej osobowości. — Jakież to sen stworzyłaś dla mnie tym razem, moja Tam-sin? — Sen o świecie, w którym Trujący Puchar Natha nie dotknął warg naszych ludzi, o Panie mój.

— Trujący Puchar Natha, zdradzenie Królów Morza. — Lekko zmarszczył brwi, wywołując z pamięci myśli należące nie do Kilwara, lecz do Starrexa. — A zatem zdrada nie dosięgła Natha.

— Tego pragnęłam, Panie. Uśmiechnął się.

— Tam-sin, jeśli potrafisz odwracać drogi historii, jesteś rzeczywiście potężną fantazjotwórczynią. Wydaje mi się przy tym, że LockNar bardziej przypadnie mi do gustu niż świat Hawarela. Choć, jak sama powiedziałaś, wciąż istnieje problem Kasa. Musimy sobie jakoś z nim poradzić, a nie będzie to łatwe. Czy ściągnęłaś go tutaj?

— Jesteśmy ściśle związani. Nie mogliśmy przybyć tu bez niego.

— Choć wygląda na to, że nie znajduje się w najbliższej okolicy. — Kilwar wstał. Jego ciało nie było tak muskularne jak Hawarela, a otwory skrzelowe na szyi otaczała fałda skóry.

Jednak z jego nagiego ciała emanowała ta sama władcza siła, jaką posiadał jako Starrex.

— I — dodał — wcale nie podoba mi się to, że Kasa nie ma tu, gdzie mógłbym go przypilnować. Czy to możliwe, że powrócił?

— Nie — tego Tam-sin była pewna. — Jego twórczyni snów obudziła się tam, zanim wciągnęłam go do naszego snu. Nie, jest zbyt mocno powiązany z nami. — Moja wszechmocna pani! — Stał już przy niej, jej ciało topniało z rozkoszy pod wpływem jego dotknięć. Oboje mieli wrażenia, że budzi się w nich jakaś wrodzona moc. —

Jesteś taka cudowna. — Poczwała ciepły oddech na swoim policzku. — Jesteś tą Tam-sin,

która postanowiła złączyć swoje życie z moim.

Poddała się jego pieśczoście, czując, jak ginie w niej Tamisan, fantazjotwórczyni, a ona

całkowicie poddaje się prawdziwej Tam-sin, tej, której on pragnie. Ogarnęło ją ciepłe

odrętwienie. Jego usta delikatnie muskały jej przymknięte powieki, kiedy nagle w ich

rozkoszną bliskość wdarł się ponury, huczący dźwięk.

— Sygnał muszli... — Wypuścił ją z objęć.

Sięgając po wysadzany muszlami pas i kilt z łusek, w jednej chwili przeistoczył się z kochanka we władcę. Podała mu miecz wykonany z ogromnego dzioba krwiożerczej ryby — piły, jego postrzępiona klinga ukryta była w pochwie z twardej skóry tej samej ryby. Kiedy on przypasywał miecz, ona zawiązała krótką, wąską szatę pozbawioną rękawów, przewlekając sznurki przez perłowe pętelki przy staniku i sięgnęła po sztylet z zakrzywionego zęba taskana.

W czasie ich pospiesznych przygotowań jeszcze dwukrotnie rozległ się ponury dźwięk rogu, odbijając się echem po komnatach wykutych w morskiej skale. Ta cząstka Tam-sin, która należała do tego świata, wiedziała, że takie wezwanie może oznaczać niebezpieczeństwo.

Znowu przypomniała sobie Kasa i zaczęła zastanawiać się, co mógł knuć tym razem.

W

pierwszym śnie z takim uporem usiłował zabić swego kuzyna, że z trudem mu w tym przeszkodziła. Wraz z odejściem Starrexa całe bogactwo i władza przypadłyby Kasowi.

Jednak w poprzednim, wyśnionym Ty-Kry, Kas przegrał. Czy tutaj znajdzie jakąś potężniejszą broń?

Wyszła z komnaty za Kilwarem. Ściany straciły tu tę gładkość, jaką miały w części mieszkalnej; posiadały strukturę właściwą skałom, szorstką i naturalną, przeciętą wąskimi, krętymi przejściami pomiędzy większymi pomieszczeniami. Schodzili schodami wyszczerbionymi od wieków używania. Skała po lewej drżała, obmywana na zewnątrz morskimi falami. Tam-sin wiedziała, że znaleźli się na poziomie morza, postępowała tuż za Kilwarem, który wyszedł przez wygładzony ludzką dłonią portal na osłoniętą przez skalny dach otwartą przestrzeń, w którą wdzierało się już morze, tworząc długą wstęgę pomiędzy dwoma równymi kawałkami lądu, górującymi nad najwyższym punktem przypiływu. Na wodzie kołysał się nieduży statek. Choć woda była domem Ludzi Morza, oni także potrzebowali statków dla swego rybackiego rzemiosła — ten był właśnie jednym z nich.

Członkowie załogi schodzili akurat z pokładu, zeskakując wprawnie na stworzone

przez naturę nabrzeże. Inni mężczyźni, uzbrojeni, choć ich miecze wciąż ukryte były w pochwach, salutowali Kilwarowi, który mijał ich szeregi, zbliżając się do żeglarzy. Wszyscy byli tubylcami. Przybywający tu kupcy z Łądu nigdy nie korzystali z wewnętrznych portów. Ich przywódca podniósł rękę w geście pozdrowienia, które Kilwar odwzajemnił. Było ich zaledwie czterech, za mało jak na całą załogę. Jednak nikt więcej nie wyszedł spod pokładu. Tych czterech zaś było zdenerwowanych tak bardzo, że Tam-sin odebrała ich nastrój równie łatwo, jakby wysyłali sygnały alarmowe. Znała ich kapitana, Pihuysa. Był twardym człowiekiem. Łowca krwiożerczych ryb był mężczyzną, którego nie mogło przstraszyć byle co. Tym razem, wyczuwała to, jego zdenerwowanie podszyte było lękiem.

— Panie... — Pihuys zawahał się, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów dla wyrażenia tego, co miał do powiedzenia.

— Przybyłeś — Kilwar podszedł do niego i położył na jego ramieniu dłoń przywódcy klanu — ze złymi wieściami. Mów, kapitanie. Czy ludzie z Łądu pokazują swoje kły? To nie wstrząsnęłoby kimś, kto przewodził w Bitwie pod Narrows. — Łądowe szczury? — Pihuys potrząsnął głową. — Na pewno nie, Panie. Choć może kryje się za tym wszystkim jakaś ich magiczna sztuczka. Chodzi o to... — Wziął głęboki oddech i dopiero zaczął mówić dalej, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa: —

Sprawdzaliśmy właśnie rafy Lochack, bo doszły nas słuchy, iż ryby wpłynęły na tamtejsze mielizny. Panowała tam mgła, taka jaka zwykle pojawia się, zanim nastanie dzień. W tej mgle natrafiliśmy na opustoszały statek. Był to jeden ze statków tych z Łądu, a jego ładownie były pełne i zapieczętowane. Pomyślałem, że przydryfował tu z terenów wschodnich. Była to cenna zdobycz, bo na pokładzie nie spotkaliśmy ani jednej żywej istoty. Poza tym wszystkie szalupy były na swoim miejscu. A przecież te szczury łądowe nie mogą długo żyć w wodzie, więc zabrałyby je, schodząc z pokładu. Było tam nawet mnóstwo tego pożywienia, od którego ludzie tak szybko rosną. Nie znaleźliśmy natomiast żadnych śladów walki, niczego podejrzanego, żadnych uszkodzeń spowodowanych przez sztorm, nic. Pomyśleliśmy, że Vlasta uśmiechnęła się do nas, bo statek był mocny, a do tego pełen ładunku. Zostawiłem więc na pokładzie czterech ludzi i przycumowaliśmy go do naszego „Talquina”. Mgła gęstniała i, choć trzymaliśmy statek na holu, nie widzieliśmy nic poza liną.

Kazałem

Rikertowi, który miał dowodzić ludźmi na tamtym statku, aby dał w muszlę co klepsydrę.

Wysłał sygnał trzykrotnie, a potem, Panie mój, zapadła cisza. Wzywaliśmy ich, ale nie odpowiadali. Wróciliśmy więc i znów weszliśmy na pokład. Panie, moi ludzie zniknęli bez śladu! Przecież nawet gdyby zmyła ich woda, nie było powodu, dla którego nie mieliby przyplłynąć do „Talquina”. Znaleźliśmy tylko róg z muszli, leżał na pokładzie, jakby ktoś go upuścił.

— A statek?

— Panie, po raz drugi popełniłem błąd. Wund, brat Rikerta, i Yitkor, jego towarzysz broni, prosili, abym pozwolił im przejąć wartę i zbadać, jaką tajemnicę kryje ten dziwny okręt.

Zgodziłem się na to. Znowu otoczyła nas mgła i po raz drugi umilkła muszla. Ludzie znowu zginęli — Pihuys rozłożył ręce w bezradnym geście. — Przysiągłem sobie, że sprowadzę ten statek, aby mogli go sprawdzić w LochNar. Kiedy jednak znaleźliśmy się na pokładzie „Talquina”, a mgła zaczęła opadać... Panie, trudno w to uwierzyć, ale lina straciła napięcie i kiedy wciągnęliśmy ją na pokład, okazało się, że została przecięta!

II

— Statek ludzi z Łądu — powtórzył zamyślony Kilwar. — Wierzę, że dokładnie go przeszukiwaliście za każdym razem.

Pihuys skinął głową.

— Panie, sprawdzaliśmy każde miejsce, w którym mógł zmieścić się człowiek.

Wejście do

ładowni było zapieczętowane nie naruszoną pieczęcią.

— A jednak, kapitanie, istnieje jakieś wyjaśnienie tej twojej tajemnicy! — Głos był wysoki i tak nieprzyjemny, że Tam-sin spojrzała przez ramię na mężczyznę, który wyszedł z portowej jaskini. Poruszał się niezgrabnie, utykając na jedną nogę, na jego twarzy widniał złośliwy grymas. Był jednak podobny do Kilwara. Pochodząca z tego świata Tam-sin znała go. To był Rhuys, brat Kilwara, który po obrażeniach, jakich doznał dwa sezony temu podczas zimowych połowów, stał się złośliwy i zgorzkniały. Poruszyła ją jeszcze jedna myśl: w skalistym zamku Rhuys był jej wrogiem. Nie okazywał tego, ale ona, dzięki wrażliwości (szczególnie rozwiniętej u twórców snów), doskonale wyczuwała jego wrogość. Teraz nawet nie spojrzał w jej kierunku, usiadł u boku Kilwara, naprzeciw kapitana. — Lordzie Rhuys. — Głos Pihuysa był teraz znacznie bardziej oficjalny. — Mogę mówić tylko o tym, co sam widziałem. Przeszukaliśmy okręt od dziobu po rufę, szalupy wisiały na swoich pętłach, na pokładzie nie było żadnej żywej istoty.

— Żywej istoty? — powtórzył za nim Kilwar. — Brzmi to tak, Pihuysie, jakbyś sądził, że

wyjaśnienie tkwi poza światem istot żyjących.

Kapitan zadrzał.

— Panie, od pokoleń żyjemy z morza, w morzu i z morzem. Czy nie natrafiamy na tajemnice, których ani my, ani nasze legendy wyjaśnić nie potrafimy? Są głębokie tak przepastne, że nasz gatunek nie zapuszcza się w nie. Kto wie, co może kryć się w nich? — Ale — upierał się Rhuys — to nie jest bajka o Wielkich Głębinach, lecz o powierzchni i statku pochodzącym z Łądu. Nie ma tu żadnego związku z owymi tajemnicami — oni po prostu chcą nas przestraszyć.

Tam-sin wydawało się, że słyszy w tych słowach ton pychy. Może Rhuys, który stracił już w życiu tak wiele, przywykł do myśli, że ich ludowi zagrażają inni. — Mówię tylko to, co sam widziałem i sam słyszałem — powtórzył z naciskiem Pihuys.

Nie patrzył nawet na Rhuysa, kierując wzrok wprost na Kilwara. Rhuys nie był szczególnie lubiany wśród mieszkańców LockNar, zbyt często pozwalał sobie na irytację. — Podaj mi swoją mapę, Pihuysie — powiedział Kilwar. — Może ten statek wciąż tam dryfuje? Powiedziałaś, że hol został odcięty. Czy nie mogła być to robota morskich drapieżników?

Pihuys odwrócił się lekko i gestem przywołał jednego ze swoich ludzi. Ten wskoczył po chwili na pokład zakotwiczonych statku i wrócił ze zwojem ciężkiej liny,

przewieszonym przez ramię. Kapitan wziął do ręki luźny koniec liny. Nawet Tam-sin, która nie знаła się na wyposażeniu statku, widziała, że cuma została przecięta gładko, co wymagało ostrego noża albo topora. Kilwar przesunął palcami po odciętym końcu. — To wymagało siły — zauważył — oraz dobrego ostrza. Czy lina została przecięta na pokładzie, czy też pomiędzy wami a tamtym okrętem?

— Z długości wynika, że na statku, Panie — natychmiast odparł Pihuys. — Nie było też żadnych wstrząsów, jak przy piłowaniu. Dokonano tego jednym ciosem. Rhuys roześmiał się nieprzyjemnie.

— Mógł uciąć ją człowiek, który uznał, że ładunek wart jest utraty przyjaciół. Jeśli ten statek z Łądu był tak nienaruszony, jak powiadasz, z łatwością mógł pożeglować do Insigal, zamieszkanego, jak wszyscy wiedzą, przez tych, co nie grzeszą uczciwością. Po raz pierwszy Pihuys spojrzał prosto w twarz Rhuysowi. — Panie, jeśli na pokładzie ukryłby się jakiś człowiek, znaleźlibyśmy go z pewnością.

Znamy się na statkach, a ten przejrzelśmy dokładnie. A jeśli sugerujesz, że to moi ludzie próbowali takich sztuczek... — Spojrzenie, które skierował teraz na brata Kilwara, było niemal mordercze.

— To nie tak, Pihuysie — przerwał mu Kilwar. — Nikt nie twierdzi, że ty albo twoi ludzie możecie być odpowiedzialni za statek wyprowadzony do Insigal. — Zmarszczył gniewnie brwi, ale nawet nie spojrzał na brata.

Tam-sin westchnęła w myśli. Czasem Kilwar powinien widzieć w Rhuysie tego, kim był on naprawdę: złośliwego człowieka, który nieustannie wywołuje jakieś konflikty, rozpala wiele ognisk i wymaga od Kilwara, by ten nie dostrzegał jego winy wtedy, gdy ogniska przemieniały się w groźne pożary. Wiedziała, że nie zdoła przekonać o tym swego Pana.

Rhuys potrafił wpłynąć na niego, jeśli chciał, a ją darzył prawdziwą nienawiścią. Nie mogła więc pozwolić na to, by coś ją poróżniło a Kilwarem.

— Przynies mi swoją mapę — mówił dalej Kilwar. — Muszę zapytać Panów Lochriss i Lochak, może zauważyli coś, albo też o czymś słyszeli. Natrafiłeś na ten wrak w okolicy Raf, a ich statki patrolują ten teren.

Na stole w sali narad rozpostarto mapę Raf. Kilwar zauważył, że zebrani tu Starsi znają więcej dziwnych opowieści z morza niż zawierają ich archiwa. Rozkazał Pihuysowi, by przedstawił swoją relację na temat statku w mgłę, a potem popatrzył na starszyznę.

— Czy wiecie coś na temat podobnych zdarzeń? — spytał Pan LockNar, kiedy po relacji Pihuysa zapadła cisza.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Później Follan, który — jak wszyscy wiedzieli

—
wielokrotnie wędrował po wschodnich morzach, wstał i podszedł do mapy. Dotknął wskazującym palcem linii nakreślonej przez Pihuysa.

— Tak, Panie, zdarzyło się coś takiego, ale nie na tych wodach.

— Kiedy i gdzie? — krótko spytał Kilwar.

— Na wschód od Quinquare jest takie miejsce, gdzie widywano okręty, także załadowane, pozbawione załogi. Żadnemu kapitanowi nie udało się zholować takiego statku. W owym czasie stało się to tak wielkim zagrożeniem, że ludzie przestali przyplływać do Quinquare i handel tam zamarł, a jego mieszkańcy uciekli w głąb łądu

albo za morze, miasto zaś zostało zrujnowane.

Mijały lata i nikt więcej nie widział tych upiornych statków. Toteż Qinquare odżyło, choć nigdy już nie powróciło do dawnej świetności.

— Qinquare — zadumał się Kilwar. — Dzieli nas od niego pełne morze. Na tym wybrzeżu nie widywano takich statków?

— Rzeczywiście — odparł Follan. — Panie, nie podoba mi się to. Upiorne statki z Qinquare działały dokładnie w ten sam sposób. Jeśli jakaś siła przygnała je na naszą stronę, oznacza to prawdziwe kłopoty.

— Panie, sokoły... — Opiekun tych śmigłych, szybkich posłańców podszedł do stołu, trzymając dwa ptaki na obu dłoniach. Rozglądały się wokół bystrymi, lśniąco oczami, niecierpliwie przebierając nogami na rękawicach sokolnika. Były prawdziwymi morskimi orłami, przemierzającymi bez zmęczenia przestworza ponad falami, przygotowywanymi do roli posłańców, zapewniających łączność pomiędzy wieżą na skalistej wyspie a siedzibami innych Królów Morza. Kilwar wyciągnął niewielki kawałek wysuszonej skóry morskiego węża i napisał na niej szyfrem kilka słów. Potem wziął po kolei oba ptaki i umieścił swoje listy w rulonikach przywiązanych do ich nóg.

— Wypuść je teraz — rozkazał — i bądź gotów na szybką odpowiedź.

— W tej chwili, Panie.

— Tymczasem — rzekł Kilwar — przygotujmy nasz okręt bojowy. Sami wyruszymy na poszukiwanie tego statku, o ile ciągle pływa niczym zasadzka na ludzi. Pihusie, jaki rodzaj pieczęci widziałeś na luku ładowni? Znasz ten znak?

— Tak wyglądał, Panie. — Kapitan wziął następny kawałek węzowej skóry i upuszczony przez Kilwara patyk do pisania. Naszkicował kilka linii. — Nigdy przedtem go nie widziałem — dodał, odkładając pisak i podsuwając szkic Panu.

Nie zważając na baczne spojrzenie Rhuysa, Tam-sin przysunęła się o krok, aby zerknąć ponad ramieniem Kilwara. Głośno wciągnęła powietrze, kiedy znaczenie tych linii stało się jasne. Tam-sin z LockNar nie rozpoznawała ich, ale Tamisan z Ty-Kry znała je aż nazbyt dobrze... Ujrzała też, a może raczej poczuła, nagle napięcie mięśni Kilwara, który także rozpoznał ten znak.

— Wydaje się, bracie — odezwał się Rhuys — że choć nawet nasz dzielny kapitan nie zna tego godła, zna je ta, która dzieli z tobą łożo.

Sześcioramienna gwiazda z utkwioną w niej, postrzępioną błyskawicą, symbol Starrexa z Ty-Kry, prawdziwego Ty-Kry, z którego przybyli, to mogło być tylko to, tylko to!

III

Tam-sin nie odpowiedziała Rhuysowi, którego słowa zabrzmiały niczym oskarżenie. Była pewna, że i Kilwar od razu rozpoznał herb swego rodu z czasów, nim — za sprawą Kasa — zostali uwikłani w pułapkę snów. Zdała się więc na jego decyzję. Odezwał się jednak Follan, ze zwykłą sobie powagą:

— Pani Tam-sin, czy naprawdę znasz ten symbol? Przyglądała mu się z uwagą, jednak nie wyczuwała w nim tej nienawiści, jaką jej wrażliwość odkrywała w Rhuysie. Jako Tam-sin wiedziała, że Follan był jej przyjacielem od chwili, w której zjawiała się tutaj. Nie urodziła się bowiem w LockNar, przybyła z niewielkiej, skalistej wieży nie mającej większego znaczenia w tej okolicy.

— Znamy go oboje — odparł Kilwar, zanim zdołała znaleźć właściwą odpowiedź. — To herb pewnego rodu z Łądu, w swoim czasie dość potężnego. Teraz może być znakiem wroga.

Wiedziała, że myślał o Kasie. Czy to możliwe, aby w tym śnie Kas był głową rodu Starrex, aby w ogóle istniał tu ten ród?

— To niedobrze, że jest on zamieszany w sprawę okrętu-widma — dodał Kilwar. Odpowiedź Kilwara sprawiła, że Tam-sin przestała być w centrum uwagi. Dostrzegła tylko pełne złości spojrzenie Rhuysa; odpowiedziała na nie stanowczym uniesieniem głowy.

Rhuys nie był w stanie zakłócić jej związku z Kilwarem, bez względu na to, jak dotąd postępował z tą Tam-sin, w której postać się wcieliła.

Pomiędzy nią a Panem Morza istniała więź, której nikt nie zdołałby pojąć, a tym bardziej zniszczyć.

— Ludzie z Łądu — wybuchnął kapitan — zawsze są dla nas zagrożeniem, ale dlaczego?

Nie pragniemy ich lądowych terytoriów, nie bronimy im dostępu do morza, kiedy zdołają zebrać dość odwagi, aby wyruszyć na wodę! Więc dlaczego zawsze są naszymi wrogami?

— Chciwość to ich cecha wrodzona — odrzekł Follan. — Oni nigdy nie mają dosyć, ciągle chcą mieć więcej i więcej. Wielkiej Królowej nie podoba się to, że nasi Panowie nie zginają kolan na jej dworze, nie ślą jej darów. Powiadają także, że dlatego, iż my możemy żyć tu, gdzie oni nie mogą, bo naraziliby swoje życie... — Jego dłonie uniosły się, dotykając zamkniętych teraz skrzeli. — Jesteśmy innym gatunkiem. Oni nienawidzą i boją się tego, czego nie potrafią zrozumieć. My zresztą też nie reagujemy inaczej w takich sytuacjach. Ten statek należał do ludzi z Łądu, skoro nosił piętno jednego z ich rodów. — To pułapka. — Rhuys pokuśtykał kilka kroków do przodu, stając po lewej stronie Kilwara, podczas gdy po prawej stała Tam-sin. — Ten okręt to przynęta, bracie.

Czy nie straciliśmy już ośmiu ludzi, którzy zeszli na pokład i nie wrócili? Oni mogą chcieć, byśmy dalej próbowali i tracili coraz więcej ludzi. Najlepiej użyć morskiego ognia i zmieść ten okręt z powierzchni wody...

— Zyskamy w ten sposób pewność — kwaśno zauważył Pihuys — że niszczymy jedyny sposób ustalenia tego, gdzie są nasi ludzie i czy kiedykolwiek zdołamy ich odnaleźć.

— Czy wydaje ci się, że oni jeszcze żyją? — rzucił Rhuys. — Nie bądźże takim głupcem, kapitanie!

Dłoń Pihuysa zacisnęła się na rękojeści przypasanego noża, a Rhuys uśmiechnął się. Tam-sin nie wątpiła w to, że celowo sprowokował kapitana, choć nie wiedziała dlaczego.

— Cicho bądź, Rhuysie. — Głos Kilwara był opanowany, ale jego ton wywołał rumieniec na zgorzkniałej twarzy brata. — Poczekamy — rozstrzygnął spór — na wieści z Lochak i Lochriss; jeśli tam wiedzą coś więcej o statku, przydadzą się nam ich informacje. Potem, o brzasku, wypłyniemy na okręcie bojowym i zobaczymy, czy

uda nam się cokolwiek odkryć.

Wy, Starsi, i ty, kapitanie, zastanówcie się, czy nie macie jeszcze jakichś pomysłów, przemyślcie je. Wysłuchamy ich, gdy ponownie zbierzemy się na naradzie. Rozeszli się w ciszy, zatopieni we własnych myślach. Kilwar odprowadził ich wzrokiem, jego dłoń wciąż spoczywała na mapie. Został tylko Rhuys. — Nadal twierdzą, że to pułapka.

— Może masz rację, bracie. Jednak zanim spróbujemy ją zniszczyć, musimy przekonać się, co to za pułapka. A kto przed laty zastawił pułapkę pod Quinquare? Nic nas nie łączy z terenami na północnym wschodzie od czasu, gdy zostały one opanowane przez Kamocków, których morze nie obchodzi, i nasi kupcy nie zapuszczają się w tamte okolice. Mogło zdarzyć się tak, że ten, kto postanowił zniszczyć Quinquare, zrezygnował z tego właśnie ze względu na Kamocków i postanowił zacząć działać tutaj. Choć nie widzę powodu, dla którego miałby to uczynić. Ten ktoś nie plądruje statków. Chyba że okręt został opróżniony i zapieczętowany na nowo, w co nie wierzę. Pihuys jest zbyt doświadczonym żeglarzem, by nie odróżnił statku płynącego z balastem od takiego, który jest pełen towarów. Jednak ta pułapka wymagała zbyt wiele wysiłku, jak na to, by złapać tylko kilku śmiazków, którzy zesli na pokład czegoś, co uważali za wrak.

— Sześciu z dziesięciu członków załogi, bracie, to niemały łup — odparł Rhuys. — Nie dla naszych rachunków. Lecz jeśli ta gra przeciągnie się... — Kilwar zmarszczył brwi. — Poczekajmy tylko na wieści z Lochak i Lochriss, może dowiemy się czegoś więcej.

Jeśli nadejdą, będę w naszej komnacie — wyciągnął rękę. Tam—sin lekko położyła palce na jego nadgarstku i odeszli oboje od stołu, zostawiając Rhuysa samego. Nie zamienili ze sobą ani słowa, dopóki nie znaleźli się na powrót w tej samej komnacie, w której się razem obudzili. Kilwar podszedł do wąskiego otworu okiennego i wyjrzał.

— Nadchodzi burza — zauważył — może zdarzyć się tak, że żaden statek nie wypłynie, nawet w najpilniejszej potrzebie.

— Kilwarze.

Na dźwięk swego imienia odwrócił się. Tam—sin pospiesznie spojrzała w lewo i w prawo.

Nie mogła pozbyć się uczucia, że są obserwowani, że ktoś ich szpieguje. Mimo że ta jej część, która dobrze znała wieżę, wiedziała, że to niemożliwe. — Pieczęć... — podjęła.

— Właśnie, pieczęć. — Podszedł bliżej, jakby i on wyczuwał, że są obserwowani. — Powiedziałaś mi kiedyś, że w tych snach stajemy się tymi ludźmi, którymi bylibyśmy, gdyby historia potoczyła się inaczej.

— Tak sądziłam.

— Mówisz „sądziłam”, czyżbyś już w to nie wierzyła?

— Sama nie wiem. Wśród moich przodków nie było ludzi morza. A wśród twoich, Panie?

— Nic o tym nie wiem. Poza tym wygląda na to, że mój ród nadal tu istnieje, choć ja do niego nie należę.

— Kas należy.

— Tak, Kas. Czy to możliwe, że jakimś zrządzeniem losu on stał się głową rodu?

Czy

wiesz, jak mogło do tego dojść, Tam-sin?

Potrząsnęła głową.

— Panie, jak już ci mówiłam podczas naszej pierwszej przygody, to nie są zwyczajne sny, które mogłam kształtować wedle własnej woli. Ja także jestem w nie uwikłana, co się zwykle nie zdarza. Mogę przerwać ten sen, przynajmniej taką mam nadzieję, ale, jak wiesz, aby to zrobić, musimy zebrać się we troje. A Kasa tu nie mamy. — O ile nie jest on zamieszany w tajemnicę okrętu-widma i nie natkniemy się na niego, próbując rozwiązać tę zagadkę — zauważył Kilwar. — Wprawdzie nie jestem człowiekiem o nadmiernie rozbudzonej wyobraźni, jednak wyczuwam tu kłopoty, równe tym, z jakimi musieliśmy się borykać na dworze Wielkiej Królowej.

— Uważaj na Rhuysa — wypowiedziała słowa ostrzeżenia, które wydawały jej się najważniejsze. — To człowiek zgorzkniały i, jak Kasa, razi go, że posiadasz to, czego jemu brakuje. Kas pragnie twojej pozycji, twego bogactwa. Rhuys chce tego samego, ale poza tym niszczy go zawiść, że ty jesteś sprawnym mężczyzną, a on kaleką, odciętym od pełni życia.

— Ta część mnie, która pochodzi stąd — powiedział powoli Kilwar, — nie przyjmuje twoich słów do wiadomości. Ale masz rację. Jak dotąd, powstrzymują go więzy krwi, jesteśmy przecież braćmi. Nienawiść między braćmi może być jednak silniejsza niż każda inna. A ciebie on nienawidzi jeszcze bardziej niż mnie. Nasz związek jest według niego haniebny, gdyż ty jesteś Śpiewaczką Przyptywów i pochodzisz z mniej znaczącego rodu.

Gdyby mógł, pozbawiłby mnie dziedzictwa.

— Śpiewaczka Przyptywów... — wolno powtórzyła Tam-sin i sięgnęła do pokładów pamięci swej osobowości. Tak, rzeczywiście, była Śpiewaczką Przyptywów, świadomość tego powróciła wraz ze wspomnieniami Tam-sin. Była to dziwna, obca jej świadomość.

Będzie musiała dokładniej sprawdzić swoje wspomnienia, aby dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej zdolności, należącej do innego czasu i obcej rasy. Przez szczelinę okienną wdarł się do środka gwałtowny podmuch wiatru i Kilwar szybko zaciągnął okiennicę. — Prawdziwy sztorm — stwierdził.

Tam-sin pomyślała wtedy, że inna, niewiele słabsza burza zbiera się nieuchronnie we wnętrzu strzelistej budowli.

IV

Przez całą noc burza kłębiła się i waliła w skalistą wieżę. Tam-sin spała czujnie, budzona nieustannie przez dudniące wściekle fale. Kiedy tak leżała, napięta i drżąca, dwa razy poczuła na sobie dłonie Kilwara, które ciepłem i dotykiem kołły jej niepokój. Starła się przywołać wspomnienia Tam-sin i odkryć, jakimi siłami dysponuje w swym nowym wcieleniu. Była już fantazjotwórczynią, a potem Głosem Olawy w obcym świecie, gdzie musiała stanąć oko w oko z gniewem Wielkiej Królowej, teraz została Śpiewaczką Przyptywów — kimś, kto śpiewem wabił ryby w sieci, kto „widział” z daleka każdy statek Królów Morza. W każdym wcieleniu dysponowała jakimś niezwykłym darem. Śpiewaczka Przyptywów mogła podążać myślą za statkiem, jeśli była związana z kimś na pokładzie. Nie mogła jednak śledzić

okrętu, jeśli takie więzy nie istniały. Ona sama zaś potrzebuje czasu, by przyswoić sobie umiejętności tamtej Tam-sin, tak, by mogła je wykorzystywać.

— Panie — wyszeptła — jak sądzisz, co się za tym kryje? — Mogę tylko zgadywać, jak wszyscy — odpowiedział tak samo cicho. — Choć niepokoi mnie to, że pieczęć na ładowni jest mi tak dobrze znana. Umilkł, ona także leżała cicho, z głową na jego ramieniu. Wiedziała, że — tak samo jak ona — czuje, że coś im zagraża. Nie rozmawiali już więcej, a kiedy pierwsze, szare smugi światła zaczęły przesączać się przez szczeliny okiennicy, którą zaciągnął na okno, wysunął się z łoża, budząc ją natychmiast.

— Panie, pozwól mi udać się wraz z tobą na poszukiwanie tego wraku. — Wiesz, że nie mogę. Zgodnie z prawem tego ludu, nie wolno mi zabierać kobiety tam, gdzie może rozegrać się bitwa.

Tam-sin również знаła to prawo. Jednak nie mogła znieść myśli, że on mógłby zginąć.

Zostałaby sama... Kiedy podniosła się i spojrzała mu w oczy, wyczytała w jego twarzy, że nie chce sprzeciwić się zwyczajom ludzi morza.

— Wiesz o tym — powiedziała zdrętwiałymi wargami — że jeśli coś ci się stanie, a mnie nie będzie w pobliżu, ten sen nigdy się nie skończy.

Kilwar skinął głową.

— Wiem. Ale nie mam innego wyjścia. Będąc tym, kim jestem, muszę tak postąpić. Jesteś

Śpiewaczką, możesz połączyć się ze mną.

— Co z tego, skoro nie będę miała dość siły, aby ci pomóc, choć moje myśli będą przy tobie i dowiem się, że spotkało cię coś złego.

Odwrociła się, nie chcąc, by wyczytał z jej twarzy to, co mogło się na niej malować. Nie było odwołania od jego decyzji, od zwyczajów ludzi morza. Kiedy skończy się burza, Kilwar wypłynie w morze. A ona zostanie sama... tutaj.

Później, na pozór opanowana i spokojna, stała patrząc na pokład okrętu wojennego, na którym wasale Kilwara w pancerzach z łusek, uzbrojeni w to, co dało im morze, pozdrawiali go, gdy wchodził na mostek. Widziała, jak zwalnają cumy, jak sternik kieruje statek wprost w przesmyk prowadzący na pełne morze. Sztorm rzeczywiście się skończył. Godzinę po wschodzie słońca powróciły także ptaki, każdy z nich przyniósł odpowiedź. Okręt-widmo był widziany przez ludzi z Lochriss i pochłonął tam czterech marynarzy. W Lochack nic o nim nie słyszano. Obaj Lordowie mieli dołączyć do Kilwara przy Rafach. Tam-sin patrzyła, jak statek, który unosił na pokładzie jej Pana, wypłynął przez przesmyk z jaskini. Słabe światło słoneczne dodało blasku zbrojom z rybich łusek, a wiatr igrał z materią sztandaru LochNar, który miał szkarłatną barwę świeżej krwi. Patrzyła, dopóki okręt nie zniknął. Dopiero wtedy spostrzegła Rhuysa, który zwięzonymi oczami patrzył nie na odpływający okręt, lecz na nią. Zuchwale przygwałdział ją wzrokiem, jakby była zapisaną szyfrem księgą, której chce wydrzeć sekrety. Tam-sin odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem. Wargi Rhuysa rozchyliły się i przez chwilę czekała na jakieś słowa. Nic jednak powiedział, przygarbił się tylko, jakby chciał uniknąć ostrego, morskiego wiatru i odwrócił się do niej tyłem, a następnie odszedł, kuśtykając ku któremuś z wewnętrznych korytarzy, pozostawiając ją bez najmniejszego gestu pożegnania. Uniosła głowę, aby żadna z kobiet, które przyszły tu pożegnać mężczyzn

wyruszających w tak ryzykowną podróż, nie pomyślała, że dotknęło ją tak ostentacyjne zlekceważenie jej pozycji w LochNar. W chwilę później, wśród wąskich, skalnych korytarzy odnalazła ten, który piął się w górę wąskimi, stromymi schodami wyciosanymi w kamieniu. Idąc nim, pozostawiała za sobą kolejne poziomy wieży, aż dotarła na sam szczyt. Tam, kryjąc się przed smagnięciami wiatru, osłoniła dłońmi oczy i szukała niktącego w oddali statku Kilwara. Musiał jednak odpłynąć już na tyle daleko, że zasłoniły go skały Lochack, które wznosiły się pomiędzy ich wieżą a Rafą na północy. Wokół niej krzyczały i skrzeczały morskie ptaki, spadające z góry na wodorosty wyrzucone przez sztormowe fale i szukające wśród nich ryby lub innego jadalnego kaska. Kiedy spojrzała w dół, ujrzała gromadę kobiet i dzieci z LochNar, krzątających się również wśród tych wodorostów. Zajęta innymi myślami, Tam-sin nie miała ochoty iść w ich ślady. Usiadła, opierając się o skalne wzniesienie, objęła kolana ramionami i skulona, nadal wpatrywała się w morze. Znowu badała uważnie pamięć Tam-sin, porządkując wszystko, czego mogła się z niej nauczyć. Wiele przy tym ją zaskakiwało. Tak jak objawił się jej dar jasnowidzenia, który posiadała jako Głos Olavy w poprzednim śnie, tak teraz sączyła się w nią, wlewała moc Tam-sin. Niektóre ze swych umiejętności odsuwała na bok, poszukując tych, które mogły być teraz użyteczne. Na razie nie próbowała połączyć się myślą z Kilwarem; wołała dowiedzieć się wszystkiego o swych nowych umiejętnościach, by skorzystać z nich, kiedy wywoła tę wież.

— Pani moja.

Głos, który wyrwał ją zamyślenia, był tak niespodziewany, że głośno wciągnęła powietrze, nim odwróciła głowę. Tym, który przyszedł tu za nią, był Starzec Follan.

Przyglądał się jej badawczo, jak wcześniej Rhuys, ale w jego wzroku nie było wrogości, która pojawiała się w oczach brata Kilwara, ilekroć o niej pomyślał albo na nią spojrzał.

— Follan — zapytała go — co jeszcze wiesz o tych statkach z Quinquare. — O wszystkim, co wiem, powiedziałem naszemu Panu. Nie słyshałem, aby znaleziono rozwiązanie tej łamigłównki.

— Ale jak to możliwe, aby ludzie ginęli z pokładu holowanego statku i nikt nie wiedział, w jaki sposób?

— Nie wiem. Ludzie z lądu... tak, nagle panika, niespodziewany szkwał grozący wywróceniem statku... albo szaleństwo, które ogarnia wszystkich naraz, po zjedzeniu zepsutego ziarna. Można znaleźć różne wyjaśnienia. Tyle, że żadne z nich nie tłumaczy tego, co przytrafiło się ludziom Pihuysa. Sam kapitan to ostrożny i doświadczony mistrz sztuki żeglarskiej. Może na pokładzie była jakaś skrytka, której nie znaleźli... — A w niej co? — Tam-sin ponaglała wahającego się Follana. — Pani, na świecie, a także w morzu, jest wiele rzeczy, o których nigdy nie słysheliśmy.

Ale... — urwał i dodał z ponurą powagą — pani, jesteś wybranką naszego Pana, wierną mu we wszystkim. Dlatego muszę cię ostrzec: stąpaj ostrożnie. — No cóż, starcze, domyślałam się tego. Nie jestem kochana w LochNar. Na jego twarzy pojawił się cień ulgi, jakby cieszył się, że odpowiednio przyjęła jego ostrzeżenie.

— Nie da się uniknąć plotek — rzekł. — Ci, co słyshają ich bezmyślnie, wierzą, że tkwi w nich ziarno prawdy. Ty pochodzisz spoza naszej skały, są więc tacy, którzy sądzą, że nasz Pan mógł dokonać lepszego wyboru i głośno o tym mówią. Do tego jesteś Śpiewaczką Przyptywów, a one zawsze wydają się inne niż wszyscy. — Dziękuję ci Follanie, za twoją szczerść. Wiedziałam o tym, że są tacy, którzy

chcieliby się mnie pozbyć. Choć nie sądziłam, że występują tak otwarcie. Jej dłoń zacisnęła się mocno. Zatem Rhuys miał swoich popleczników, ale czy kiedykolwiek w to wątpiła? Jaką też bajkę wymyśli, by ją zgubić? Co się stanie, jeśli Kilwarnie wróci?

— Zostałaś wybrana przez naszego Pana — odrzekł Follan. — Wystarczy, pani, jedno twoje słowo, a większość z nas podąży za twymi rozkazami. Uśmiechnęła się słabo.

— Starcze, twoje słowa są dla mnie jak tarcza i jak ostrze. Choć mam nadzieję, że nie będę

musiała sięgać po taką broń.

Zmartwiony wyraz jego twarzy nie zmienił się.

— Pani, stąpaj ostrożnie. Zgodnie z naszym zwyczajem, kiedy nasz Pan wyjechał, władzę przejął Lord Rhuys. On jest kaleką, więc nigdy nie zostanie wybrany Królem Morza, ale to właśnie sprawia, że tym goręcej pragnie rozkazywać wtedy, gdy może to zrobić.

V

Tam-sin leżała na łożu w kształcie muszli. Oczy miała szeroko otwarte, ale nie widziała misternej mozaiki z muszli na suficie nad głową. Wpatrywała się w inny obraz – widziała przed sobą Kilwara, stojącego w szerokim rozkroku na pokładzie rozkołysanego statku.

Otaczały go smugi mgły, szarej jak kości człowieka, który zmarł przed wiekami. Jego postać była tak wyraźna, iż wydawało się jej, że wystarczy, by wyciągnęła rękę i dotknęła muskularnego ramienia Króla Morza, żeby odwrócić się i spojrzeć jej w oczy. Dzieliło ich jednak wiele mil — jeśli nawet byli połączeni myślą, to ciała ich były daleko od siebie.

— Kilwar — powiedziała bezgłośnie. Była pewna, że odebrał jej bezdźwięczne wezwanie, gdyż odwrócił lekko głowę, jakby chciał spojrzeć przez ramię. W tej samej chwili drgnął, jego mięśnie napięły się. Tam-sin zrozumiała, że usłyszał coś, czego ona słyszeć nie mogła.

Istotą połączenia poprzez myśl było bowiem przekazywanie obrazu, nie dźwięku. Obrazu oraz specjalnego, pozawerbalnego sygnału, ale Tam-sin wahała się przed użyciem go, aby nie odwracać uwagi Kilwara od tego, co było teraz dla niego najważniejsze. Ze skłębionej mgły wynurzył się inny mężczyzna. Tam-sin rozpoznała Pihuysa, choć jego postać była niewyraźna i zamazana, prawdopodobnie dlatego, że nie istniało pomiędzy nimi duchowe połączenie. Kapitan wyciągnął rękę w lewo, jakby chciał skierować całą uwagę swego Pana w tę właśnie stronę. A kiedy Kilwar wychylił się przez burtę, by zobaczyć coś w gęstej mgle, ona zobaczyła to także... wąski dziób statku, przeszywający zasłonę mgły niczym igła wkluwająca się w materię. Dziwny okręt nie trzymał kursu, dryfował unoszony falami.

Najwyraźniej nie miał sternika. Zobaczyła, że Kilwar znowu odwrócił głowę, dostrzegła też ruch jego warg. Na pokładzie za jego plecami pojawili się ludzie, odwiązano szalupę i spuszczone ją za burtę. A zatem jej Pan rzeczywiście udawał się na pokład upiornego okrętu!

W tej samej chwili ogarnęło ją takie przerażenie, że straciła panowanie nad sobą. Zniknął Kilwar, zniknął statek z mgły, a Tam-sin leżała bez tchu. Dłonie miała wilgotne, a usta zeschnięte. Ten lęk... starała się rozpoznać go jak najlepiej. Nie był to zwyczajny strach osoby, która staje w obliczu nie znanego jej zagrożenia. Nie, taka

panika ogarnęła ją po raz pierwszy w życiu. W sarno sedno jej nadwrażliwych zmysłów uderzyła aura kostnicy, emanująca ze statku-widma. Nie, przecież musi, zobaczyć Kilwara, choć jej ciało kurczy się ze strachu i drży, jakby wystawiono ją nagą na smagnięcia lodowatego, zimowego wiatru.

Kilwar! Jeszcze raz wyteżyła siły, by się uspokoić, wyzwolić z lęku i znów nawiązać z nim kontakt. Czy to była... śmierć? Nie, to coś innego, choć tak samo zabójczego, kryło się w tym ledwie widzialnym statku. Tam-sin była tego pewna, zupełnie jakby zobaczyła potwora wychylającego się przez burzę i wyciągającego szpony po swą ofiarę. Kilwar! Tam-sin natężyła swoje, niemal wyczerpane siły i wyobraziła sobie jego postać. Świat zawirował i znów stanęła obok Króla Morza, choć już w innym miejscu. To, w którym się teraz znalazła, nie mogło być niczym innym jak tylko pokładem okrętu-widma. Był to, o ile mogła ocenić we mgle, statek większy od statku Pihuysa, a mniejszy od tego, którym dowodził jej Pan. Nie miał tych wyrazistych linii, jakie nadają swym okrętom ludzie morza, był bardziej opływowy i przystosowany do przewożenia większych ładunków. Kilwar stał tuż przed lukiem, zamkniętym przy pomocy mocno zaciągniętych lin i zalakowanych pieczęcią wielkości jej dłoni. Kiedy mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, aby przyjrzeć się pieczęci, wcale nie była zdziwiona tym, że zobaczyła ten sam znak, który naszkicował Pihuys. Kilwar machnął ręką i zaczął wydawać rozkazy, których ona nie słyszała. Ludzie z łodzi wspięli się na pokład, wyciągnęli broń i parami rozchodzili się na poszukiwania. Sam Kilwar udał się do kabiny oficerskiej, ściągając tam jej wzrok. Wewnątrz zobaczyła stół przykuty na wypadek sztormu do podłogi, fotel z oparciem, ławkę, a pod ścianą koję pokrytą szkarłatną narzutą, sztywną od słonej wody. Po podłodze toczył się bukłak, którego zawartość dawno już wyciekła, tworząc lepka ścieżkę na deskach pokładu. Był tu również wieszak na miecze — żadnego z nich nie brakowało — a niżej stojak z toporami o dwóch ostrzach.

Jednak poza Kilwarem i przybyłymi z nim, nie widać było śladu życia. Kiedy Król Morza usiadł w fotelu i wysłuchiwał meldunków wchodzących parami ludzi, po wyrazie jego twarzy domyśliła się, że nie dowiedział się niczego więcej niż to, o czym mówił Pihuys:

statek był
pusty.

Tam-sin nie pozbyła się jednak panicznego strachu i tylko niezwykłą siłą woli utrzymywała kontakt z Kilwarem, a mogło to oznaczać tylko jedno: gdzieś ukryte, czyhało na statku zło.

Było niemal nie do uwierzenia, że nie dostrzegła tam nic poza jakimś niematerialnym cieniem. Natężyła wszystkie siły, ale jej wzrok nie zatrzymał się na niczym konkretnym, a wiedziała przecież, że to COŚ tam jest.

Ostatnia dwójka złożyła meldunek. Zamyślony Kilwar siedział przy stole, z łokciami na blacie, podpierając pięścią mocną szczękę. Kiedy wreszcie się odezwał, Pihuys wykonał gest sprzeciwu. Najwyraźniej wybuchł jakiś spór. Kilwar przerwał mu jednym słowem i, patrząc przed siebie, wskazał dwóch ze stojących żołnierzy. Morska Tam-sin wiedziała, że byli to wierni od lat towarzysze broni jej Pana. W odpowiedzi na jego wybór obaj unieśli ostrza mieczy w geście pozdrowienia. Pihuys po raz drugi sprzeciwił się, ale na wyraźny rozkaz Kilwara wymaszerował z kabiny. Razem z nim wyszli wszyscy, poza wybranymi przez Króla Morza. Tam-sin domyśliła się treści jego rozkazów: postanowił zostać na pokładzie upiornego statku, aby wyjaśnić jego tajemnicę. Znów ogarnął ją taki lęk, że utraciła kontakt i znalazła się na powrót w

wieży, aby stoczyć następną bitwę ze swoim strachem. Tym razem trwała ona dłużej. Może jej wola osłabła po pierwszym starciu? Zmagala się ze sobą gorączkowo, zebrała całą siłę, jaka w niej jeszcze tkwiła. Kiedy nareszcie znalazła się znów przy Kilwarze, zobaczyła kabinę pogrążoną w półmroku. Na stole stały dwie lampy o tak bardzo przykręconym knocie, że oświetlały tylko miejsce, na którym je ustawiono. Kilwar wciąż, a może znowu, siedział w fotelu. Na stole przed nim leżał obnażony miecz, a obok dwa topory o podwójnych ostrzach; wszystko w zasięgu ręki. Wieszak na miecze i stojak z toporami były puste. Tam-sin domyśliła się, że zabrał broń, aby nikt ani nic nie mogło sięgnąć po ten arsenał. Nasłuchiwał, choć była pewna, że jeszcze nie stwierdził niczego podejrzanego. Od czasu do czasu otwierał usta, z pewnością wołał do swoich ludzi, sprawdzając, czy czuwają. Czas włókł się niesłychanie. Światło latarni migotało. Kilwar podnosił się i przechadzał ciężko po kabinie, z mieczem w dłoni. Nie chciał, by zaskoczył go nieznany wróg.

Nagle krzyknął, odwrócił się do stołu i lewą ręką chwycił jeden z leżących tam toporów.

Potem odskoczył w cień, poza zasięg światła latarni. Pokład, czyżby tam właśnie się wybierał? Na pewno, bowiem Tam-sin zobaczyła jakby zasłonę z mgły i srebrnego światła.

Wiedziała, że nie była to zwykła mgła, tkwiły w niej okruchy blasku niczym fruujące świetliki. Z trudem przedzierała się przez nią jakaś cienista postać. Mroczny kształt upadł, kiedy w kręgu mgły pojawił się Kilwar. Skoczył w stronę powalonego człowieka z mieczem wzniesionym do ciosu i pochyloną lekko głową, jakby nie dość dokładnie widział. Właśnie w tym momencie znów opanował ją strach, z którym już dwukrotnie miała do czynienia.

Tam-sin została wyrzucona w mrok prawdziwego lęku, uciekając na oślep przed tym, czego nie śmiała ujrzeć nawet w wyobraźni. W końcu nie widziała już nic.

Znalazła się w
pustce.

VI

— Pani!

Wołanie dochodziło jakby z oddali, nie słuchała. Tu było bezpiecznie... tam... —
Pani!

Tam-sin odzyskiwała świadomość, choć wciąż nie otwierała oczu. Powoli wracała jej

pamięć, a wraz z nią ostatni wizerunek jej Pana, ogarniętego mgłą lśniąca niesamowitym blaskiem. Na ramieniu poczuła ciężar czyjejs dłoni i po raz trzeci dotarł do niej ten sam, natrętny głos:

— Pani!

Niechętnie uniosła powieki. Pochylała się nad nią Althama, jej pokojówka. Miała smutną twarz. Za jej ramieniem Tam-sin ujrzała Follana. Pojawienie się Starca w prywatnej komnacie Pani oznaczało jakieś niepomysłne zdarzenie. Tam-sin usiadła.

— Nasz Pan — powiedziała ochryplym, jakby od długiego milczenia, głosem — jest w niebezpieczeństwie.

— Pani — z powagą powtórzył Follan — sokoły przyniosły wieść, że kiedy władcy

Lochriss i Lochack przybyli w umówione miejsce stwierdzili, że nasz Pan wraz z dwoma swymi ludźmi zniknął, a wrak odpłynął bez śladu życia na pokładzie. — On nie umarł!

— Pani, okręt-widmo został przeszukany. Nie znaleźli na nim żadnej żywej istoty, żadnego śladu życia.

— On nie umarł — powtórzyła ostro. — Wiedziałabym o tym. Kiedy dwie istoty połączone są myślą i po którąś przychodzi śmierć, poczucie utraty jest tak wielkie, że nie sposób się pomylić. A ja byłam myślą z Panem, gdy podjął walkę z tym... — Z czym? — natarczywie dopytywał się Follan. — Co tam ujrzałaś?

— Tylko mgłę wypełnioną okruchami światła. Jej źródłem była siła, której nie znam. A

potem zostałam odcięta...

Follan pokręcił głową.

— Wieści były aż nazbyt jasne, pani. Pan nas opuścił, żywy czy martwy, ale przepadł.

Nadszedł dzień Rhuysa, albowiem gdy dotarły do niego wieści, ogłosił regencję.

Człowiek o

niesprawnym ciele nie może władać wiedzą, ale władza będzie w jego ręku aż do chwili, gdy

śmierć Pana zostanie uznana.

— Ależ ja im powiem, że nasz Pan żyje!

— Który z tych, co płaszczą się teraz przez Rhuysem, zechce wysłuchać tego, co masz do powiedzenia, aby — jak sądzą — utrzymać swoją pozycję na dworze? Rhuys wiele mówił przez kilka ostatnich godzin. Według jego opowieści, rzuciłaś na naszego Pana czar podczas waszego pierwszego spotkania i to ten czar sprowadził na niego śmierć. To logiczna historyjka i wielu skwapliwie w nią uwierzy.

Tam-sin zwilżyła językiem usta, które nagle stały się suche. Tak, rzeczywiście, opowieść

Rhuysa brzmiała logicznie, czy mogła jakoś temu zaprzeczyć? Była Śpiewaczką Przyływów,

to prawda, prawda też, że ludzie pozbawieni tego talentu z dystansem odnosili się do tych,

którzy go posiadli, często po prostu z zazdrości.

— Co on ze mną zrobi? — zapytała wprost Follana.

— Przy twoich drzwiach, Pani, już stoi dwóch wartowników. Nie potrafię powiedzieć, jakie są jego zamiary względem ciebie, ale jestem pewien, że nic dobrego cię nie czeka.

— A jednak przyszedłeś tu, aby mnie ostrzec.

— Pani, znam cię od tego dnia, gdy Pan pojechał, by starać się o twą rękę. Jesteś jego wybranką i, według mnie, nigdy nie miałaś złych zamiarów. A teraz twierdzisz, że Pan mój żyje, ale gdzież on jest?

Pochylił się ku niej, patrząc jej prosto w oczy. Jego wzrok był natarczywy, uparty, jak u morskogo orła.

— Tego nie wiem, wiem tylko, że on nie umarł. Wiem jeszcze, że muszę... muszę wyruszyć, by go szukać. Byliśmy połączeni myślą, na pokładzie tego diabelskiego statku musiały zostać jakieś ślady, po których uda mi się trafić do niego. Ale nie zdołam tego dokonać, pozostając tutaj. A powiedziałaś, że pod moimi drzwiami stoją

straże... —

Spojrzała szybko ku pokojówce. — Althamo, na ile jesteś mi oddana? — Pani, należą do ciebie — odparła pokojówka. — Twoje życzenie jest także moim pragnieniem.

— Czy ciebie stąd wypuszczą?

— Tak sądzę, pani. Sprawdzą tylko, czy nie jestem twoim posłańcem.

— Co planujesz? — dopytywał się Starzec.

— To moja jedyna nadzieja. Ty, Follanie, zawsze byłeś wiernym wasalem mego Pana, a jaki jest twój stosunek do mnie?

— Mówisz, że nasz Pan nie umarł, a powiadają, że talent, jaki posiadasz, pozwala odróżnić życie od śmierci. Jestem z tobą, pani. Jaki jest twój plan? — A więc tak — znowu spojrzała na Althamę — mogę użyć swych zdolności i przybrać wygląd Althamy. Ta maskarada nie utrzyma się zbyt długo, ale może dzięki niej uda mi się stąd wymknąć. Żeby Rhuys nie obwinał jej za moją ucieczkę, zostawię ją związaną na łożu.

Co o tym myślisz?

Pokojówka skwapliwie skinęła głową.

— Jeśli możesz tak uczynić, pani, zrób to szybko. Kobiety szepczą sobie na ucho wiele rzeczy, a niektórych z nich aż strach słuchać. Władza jest teraz w rękach pana Rhuysa, a on nienawidzi cię i boi się ciebie. Tylko dokąd się udasz? Nie wyruszy stąd żaden statek bez wiedzy tych, którzy albo mu od razu o tym doniosą, albo nie wypuszczą okrętu. — Nie popłynę statkiem, Althamo. Nie powiem ci również, w jaki sposób stąd odjadę, żeby nie mogli wydobyć z ciebie tej odpowiedzi. Udaj, że mnie nienawidzisz, powiedz, że oszalałam z rozpaczy po śmierci mego Pana i sądzisz, że postanowiłam udać się w Ciemną Drogę samozniszczenia z miłości do Kilwara i strachu przed Rhuysem. Myśl, że bałam się go aż tak bardzo, powinna być dla niego miła.

Wstała z posłania. Follan skrępował ciasno nadgarstki i kostki Althamy, a potem włożył jej do ust knebel ze szmaty, na tyle luźno, by mogła go wyrzucić i przywołać na ratunek straże.

Tam-sin włożyła strój pokojówki i trwając tak przez jakiś czas z zamkniętymi oczami, przywołała swe zdolności fantazjotwórczyni, aby stać się kimś, kim nie była.

Kiedy znów

podniosła powieki, usłyszała westchnienie Follana.

— Pani, gdybym tego nie widział, rzekłbym, że to niemożliwe. — Ten obraz nie utrzyma się długo — odparła. — Zaprowadź mnie na plażę, tam, gdzie zbierają rzeczy wyrzucone przez sztorm.

— Tyle na pewno mogę zrobić — zgodził się bez wahania. Tam-sin jako Althama przeszła korytarzami, z szacunkiem pozostając dwa kroki za Starcem, który minął strażników tak, jakby byli powietrzem. Zeszli w dół najpierw wąskimi, później szerszymi schodami.

Usłyszała nawoływania kobiet zajętych zbieraniem darów burzy na plaży. Gdy wyszli na zewnątrz, Tam-sin pospiesznie wyprzedziła Starca, jakby — zbyt długo trzymana z daleka od polowania na skarby morza — chciała teraz dotrzeć jak najszybciej do miejsc, gdzie mogłaby je znaleźć. Ponieważ jednak wszystko w pobliżu wieży było już wymiecione, musiała pójść dalej, ku cypłowi. Kiedy dotarła tam, pokonała skalne, wymyte wodą wzniesienie, i zeszła do zacisznej zatoczki, gdzie już tylko dwie

kobiety szarpały i rozdzierały nasączone wodą pasma wodorostów. Dogonił ją Follan.

— Pani, stąd nie wypłynie żaden statek. Skinęła głową. — Wiem o tym dobrze. Posiadam jednak pewne umiejętności i one to zanoszą mnie tam, gdzie zaginął mój Pan.

Szła dalej ku bardziej odległym skałom, o które uderzała woda, rozpylając wokół wilgotną mgłę, ściekającą następnie strumieniami po kamiennych ścianach. Tam–sin wspięła się na najwyższą z nich i spojrzała w dół, na Follana.

— Starcze, co robi Rhuys, gdy odkryje, że byłeś mi tak pomocny?

Follan uśmiechnął się cierpko.

— Nic. Dowie się, że byłem świadkiem tego, jak, powodowana szalem, oddałaś swe życie wodzie, Matce Naszej. Możesz być pewna, pani moja, że niełatwo będzie Rhuysowi rządzić w Lochnar, nawet jako regentowi. A ode mnie nie otrzyma żadnej pomocy. — Jesteś dobrym przyjacielem. — Tam–sin uśmiechnęła się trochę niespokojnie. Follan był człowiekiem, którego trudno było przeniknąć, ale to, co zrobił dla niej, było więcej niż tylko życzliwością. — Powiedz, co zechcesz, choć lepiej nie mów prawdy. Zdjęła szaty i stanęła zupełnie naga. Miała na sobie tylko pas, do którego przymocowany był nóż o długim ostrzu, podarunek od Kilwara na dzień wybrania. Potem odwróciła się ku morzu i, układając dłonie wokół warg, wydała dźwięczny okrzyk. Powtórzyła swe Wezwanie trzykrotnie, przy trzecim zauważyła w oddali ciemny kształt, wyskakujący na moment ponad fale, wiedziała już, że została usłyszana i wysłuchana. Zadowolona Tam–sin ześlizgnęła się w skłębioną morską toń, starannie wybierając taki moment, w którym nie mogła zostać roztrzaskana o skałę i zaczęła płynąć.

Nie odpłynęła daleko, gdy ci, których wzywała, otoczyli ją ze wszystkich stron. Ich opływowe, niebieskawe ciała były ledwo widoczne. Wyciągnęła do każdego rękę, czując, jak ściskają jej dłoń, delikatnie, lecz mocno, w pyskach uzbrojonych w ostre zęby. Wiedziała, że nigdy jednak nie użyją swej broni przeciw temu, kto zna tajemnicę i potrafi ich przywołać.

Teraz zostanie przetransportowana z prędkością, jakiej nie osiąga żaden pływak, nawet urodzony w Morskiej Wieży. Z nimi nie potrzebowała statku, by dotrzeć do Raf.

VII

Od czasu do czasu Tam–sin płynęła o własnych siłach, loxsy otaczały ją wtedy, gotowe do pomocy, gdyby poczuła się zmęczona. Tymczasem gasło słabe światło słońca, a niebo przybrało barwę głębokiej purpury późnego popołudnia. Podwodny świat, który właśnie przemierzała, był morskiej Tam–sin znany równie dobrze, jak jej własny pokój w Roju twórczyń snów, z którego pochodziła druga część jej osobowości. Choć przemykały tędy ciemne olbrzymy, żaden nie odwrócił się nawet w jej kierunku, strzegły jej bowiem loxsy.

Były to bardzo inteligentne stworzenia, ale wzory ich myśli były tak obce jej własnym, że porozumiewała się z nimi z ogromnym trudem. Z konieczności więc ich wzajemne kontakty były bardzo ograniczone. Wiedziały, dokąd chce się udać, ale nie chciały wiedzieć po co, bo nie żądały wyjaśnień.

Na niebie pojawił się księżyc, a ona znów była holowana przez swych wyposażonych w płetwy przyjaciół. Wkrótce z głębi wód wyłoniły się jeszcze dwie ryby, aby szybko i ochoczo dołączyć do orszaku, oferując swą pomoc. Była głodna i spragniona, ale na

razie musiała zapomnieć o potrzebach ciała. Niech tylko dotrze do Raf, a tam rozluźni swą żelazną wolę, która trzyma loxsy niczym na uwięzi. Czas przestał się liczyć. Tam-sin czuła się tak, jakby podróżowała już niezliczoną ilość godzin. Wtedy spostrzegła, poprzez lustro wody, czarną bryłę statku. Na moment przyszła jej do głowy myśl, że jest to okręt-widmo, ale usłyszała dźwięk gongu niesiony przez wodę i wiedziała już, że to jeden ze statków ludzi morza patrolujących te tereny. Nie pragnęła jednak widoku żadnego statku, poza tym jednym, złowieszczym okrętem dryfującym w welonie mgły. Gdyby tak się zdarzyło, że wyłowiłby ją statek Kilwara, miałaby wszelkie szanse, by znów znaleźć się pod strażą ludzi Rhuysa. Nie wątpiła przecież w to, że ma on swoich szpiegów na pokładzie. Gdyby zaś pokazała się łodzi z Lochack lub Lochriss, rezultat mógłby być ten sam. Dlatego musiała dotrzeć do samych Raf i tam spróbować odnaleźć tę upiorną pułapkę, która pochłonęła Kilwara i dwóch jego ludzi.

Loxsy skrzyli teraz w lewo, oddalając się od statku. Płynęli pod wodą i w nocy nikt nie mógł ich dostrzec. Wyrosły przed nimi wysokie skały i dziewczyna wiedziała już, że dotarli do podstawy ściany, której postrzępiony szczyt na powierzchni tworzył Rafy. Rozluźniając nieco swą władzę nad loxсами, podpłynęła powoli ku skale, poszukała wsparcia dla dłoni i stóp, i zaczęła wspinać się po ostrej powierzchni. Po chwili wynurzyła się z fal. Nocne powietrze oziębiło jej nagie ciało tak nagle, że głośno się nim zachłysnęła. Przykucnąwszy tuż pod taflą wody, gdzie każde poruszenie jej ciała mogło być widoczne dla obserwatora o bystrych oczach, oddychała głęboko, zwalniając skrzela i przywracając pracę płuc. Z tego miejsca widziała światła trzech statków. Musiały być zakotwiczone z dala od niebezpiecznych Raf. Nie było widać mgły i Tam-sin zaczęła zastanawiać się, czy ten upiorny statek rzeczywiście ma jakikolwiek związek z mgłą, czy stanowi ona zasłonę dla zła, które bez wątpienia go zamieszkuje. Oczy stały się teraz bezużyteczne, musiała użyć swoich talentów, aby przeniknąć przez płaszcz nocy i połączyć się z umysłem tego, którego poszukiwała. Najpierw uchwyciła jakieś migotanie myśli, ale nie próbowała ich przeniknąć.

Były to myśli loxsov, dla niej bezużyteczne. Musi zarzucić sieć dalej, szerzej, miała nadzieję, że pochwyci w nią choćby najmniejsze drgnienie, które mogłoby wskazać jej drogę do

Kilwara. Wydawało się jednak, że nic nie znajdzie...

Osiągnęła już niemal granicę swych możliwości. I wtedy zacisnęła pięści, i zwróciła głowę w lewo, ku północy. Jeszcze raz zebrała całą swoją moc i wysłała ją w tym kierunku. To nie było prawdziwe połączenie, nie. Było to tak, jakby ktoś szukający tkaniny natrafił na splątana nić. Jej jednak wystarczyło, by zyskać pewność, że musi skierować poszukiwania w tamtym kierunku. Tam-sin z otuchą w sercu ponownie zsunęła się do wody, a jej morscy strażnicy otoczyli ją, nie czekając na wezwanie. Eskorta liczyła teraz sześć ryb. Loxsy to ciekawskie istoty, a ludzie interesowali je szczególnie. Wszyscy wiedzieli, że często z dala towarzyszyły ludziom morza, głównie po to, by przyglądać się temu, co robili. Do niej przypląnęły, gdyż użyła starego wezwania. Teraz pędziły tuż obok, a w jej uszach dźwięczał każdy ich przenikliwy odgłos, który jednak — tak jak ich myśli — nie zaprzętał jej uwagi. Ich lśniące ciała, dwa razy dłuższe od ciała Tam-sin, uformowały wspaniałą obronny krąg. Wiedziała jednak, że nie będą mogły jej pomóc, kiedy dotrze do celu swej wyprawy. Płynęły teraz pod wodą, holując jaz maksymalną szybkością, a Tam-sin mogła teraz skoncentrować całą uwagę na odnalezieniu i utrzymaniu właściwego

kierunku poszukiwań.

Wiedziała już, że nie było to prawdziwe połączenie. Wyglądało tak, jakby ujrzała cień w miejscu, gdzie stał żywy człowiek. Była jednak pewna, że się nie pomyliła i nawiązała jakiś szczątkowy kontakt z Kilwarem. Spodziewała się też, że będzie on coraz wyraźniejszy w miarę przybliżania się; tak się jednak nie stało. Czuła się rozczarowana. W końcu rozluźniła więzy loxsom i wypłynęła na powierzchnię... Nagle jej serce zabiło mocniej z obawy i ze szczęścia. Wokół zalegała ciężka i gęsta mgła. Pokrywała ona powierzchnię morza tak, że trudno było określić, gdzie wschód i zachód, północ czy południe. Loxsy, dotrzymujące jej towarzystwa, wysunęły pyski z fal i popatrzyły przed siebie. Znowu spróbowała skontaktować się z nimi i zyskała potwierdzenie. Mgła nie zaniepokoiła morskich istot — była bowiem dziełem człowieka.

To mógł być tylko okręt-widmo! Całą siłą woli Tam-sin wydała polecenie — chce znaleźć się przy tym, co kryje się w mgle. Jednak, ku jej zdziwieniu, zwierzęta po raz pierwszy odmówiły swojej pomocy. Czuła ich sprzeciw, nie słysząc nawet ich ponaddźwiękowych sygnałów i nie kontaktując się myślą z ich myślami. Bały się tego, co kołysało się na falach w oparach mgły. Ona bała się także. Nie mogła jednak zdradzić im swego lęku, śmiało więc popłynęła przed siebie, kątem oka spoglądając na zdenerwowane loxsy, przywołujące ją z oddali. Próbowwały nakłonić Tam-sin do opuszczenia niebezpiecznego rejonu. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi jej woli, ruszyły w końcu za nią.

Nie płynęły jednak już po jej bokach, a trzymały się z tyłu, podążając w pewnej odległości, która stawała się coraz większa. Dobrze wiedziała, że w morzu istoty te nie boją się niczego.

Ich niepokój był więc dla niej ostrzeżeniem przed tym, z czym ona koniecznie chciała się spotkać.

Mgła zgęstniała tak, że wydawała się murem, który bronił przejścia. Zanurzyła się pod powierzchnię wody, aby jej nie widzieć. Z przodu, przed sobą, dostrzegła zarys jakiegoś fosforyzującego przedmiotu, mógł to być tylko kil statku. Jego blask sam w sobie stanowił przestrożę, emanowały go bowiem skorupy stworzeń osadzających się na drewnie długo obmywanym przez słone fale. To, że było ich tutaj tak wiele, mogło świadczyć tylko o jednym — ten statek już od bardzo dawna pływał po morzu i nikt nie dbał o to, by oczyścić jego kadłub... Tam-sin skierowała się w stronę źródła tego nikłego światła. Wiedziała, że loxsy pozostały daleko w tyle, w głębinie, ale myślała tylko o tym, jak dostać się na pokład.

Jeśli nie znajdzie jakiejś pozostawionej liny, może okazać się to niemożliwe. Znowu wynurzyła się na powierzchnię i, jedną ręką rozgarniając wodę, oparła się o zarośniętą wodorostami burtę. Nie zauważyła żadnej liny, ani żadnej porzuconej cumy. Co z łańcuchem kotwicy? Podpłynęła ku sterowi i tam nie tylko zobaczyła, ale nawet usłyszała łańcuch, zgrzytający po nagim drewnie, z którego dawno już zdarł wodorosty i muszle. Kotwica zniknęła, ale łańcuch pozostał, zwieszając się pod własnym ciężarem na tyle blisko, że Tam-sin udało się zahaczyć dłoń o jedno z półotwartych ogniw. Wspinaczka była trudna, pozbawiła ją tchu w piersiach. Mimo to udało jej się dotrzeć do otworu, z którego wysuwał się łańcuch. Był on jednak zbyt wąski nawet dla jej smukłej figury. Poszukała zatem oparcia w górze i, dysząc z wysiłku, w końcu przerzuciła ciężar ciała na drugą stronę zniszczonej burty. Znalazła się więc na pokładzie. Mgła ograniczała pole widzenia już na odległość

wyciągniętego ramienia. Przykucnęła, wyżejając słuch, nie myśl.

VIII

Istniało tu życie, czuła to. Jednak tak obce, jak myślenie loxsów, które nakładało się na ślad Kilwara, niemal go zagłuszając. Tam–sin była pewna jednego: niczego nie znajdzie w kabinach i na korytarzach rozkołysanego statku. Ci, którzy przeszukiwali go przed nią, nie pominęli żadnego szczegółu. Nic tam nie znajdzie. Jednak coś tu tkwiło... Bose stopy dziewczyny stąpały bezszelestnie po deskach, skradała się z nożem w dłoni.

Wyciągnęła broń

instynktownie, choć wiedziała, że kryjący się gdzieś wróg nie ulegnie żadnemu ostrzu, nawet

trzymanemu przez mistrza fechtunku.

Nie na statku, więc gdzie?

Smugi mgły okrywały szczelnie cały pokład, rozstępowały się tylko tam, gdzie się poruszała. Nasłuchiwała, ale docierały do niej tylko uderzenia fal o burty i chrobotanie łańcucha, który kołysał się niczym wahadło. Nagle coś zamajaczyło we mgle tuż nad pokładem. Tam–sin przysunęła się bardzo powoli. To mógł być tylko ten luk, szczelnie zamknięty i opieczętowany. Położyła lewą dłoń na węzłach i przesuwając ręką po linach, zatoczyła koło o szerokim obwodzie. Oto jedyne miejsce, którego nie sprawdzili ci, którzy wpadli w pułapkę. Liny były napięte i wyglądały na nie naruszone, a pieczęć upewniała, że nikt tu niczego nie ruszał. A przecież było to jedyne miejsce, gdzie mogło kryć się to, co zmieniło ten statek w groźną pułapkę. Tam–sin sięgnęła po pieczęć. Była prawie tak szeroka jak jej dłoń i choć w słabym świetle wyglądała jakby wykonana z mgły, zobaczyła znak rodu, któremu Starrex przewodził w prawdziwym świecie. Przykłęła. Po pokładzie ściekały strumyki wody, pochodzącej chyba ze skroplonej mgły. Były tak chłodne, że przeszył ją dreszcz. Podniosła pieczęć umocowaną na ostatnim węźle i mocno pociągnęła. Wydało się jej, że w węźle coś odpowiedziało na jej szarpnięcie. Pociągnęła jeszcze raz, mocniej. Pieczęć zsunęła się dość lekko i końce liny opadły. Wcale nie były zamocowane, ktoś po mistrzowsku stworzył tylko takie wrażenie. Pospiesznie, odrzuciła liny z luku ładowni. Ale czy zdoła podnieść ciężki właz? Wejście było podzielone na dwie części. Chwyciła nóż w zęby, wsunęła palce w szczelinę włazu i szarpnęła z całej siły. Z trudem utrzymała równowagę, kiedy właz otworzył się lekko, jakby miał wmontowaną jakąś sprężynę ułatwiającą otwieranie. Z czeluści emanowało blade, zielonkawe, nieprzyjemne światło. Dolatywał też, odrażający fetor, jakiego nigdy przedtem nie wdychała. Tam–sin odskoczyła, ledwie opanowując mdłości i czekała na coś strasznego, co mogło wyłonić się z otchłani. Nie pojawiło się jednak nic. Dziewczyna zasłoniła nos ręką i pochyliła się nad częściowo otwartym lukiem. Zmusiła się do tego, by spojrzeć w głąb, choć każdy nerw ciała, każda cząstka jej zmysłów sprzeciwiała się temu.

To, co zobaczyła, przejęło ją zgrozą. Tuż pod lukiem stała długa skrzynia trumny. Leżał w niej mężczyzna. Przy jego głowie znajdowała się świetlista kula, z której emanował ów zielonkawy blask. Po obu stronach otwartej trumny piętrzyły się... trupy. Tam–sin zacisnęła dłoń i włożyła ją do ust, aby stłumić krzyk. Niektóre z ciał musiały leżeć tu bardzo długo w stanie rozkładu, bo ich skóra wyglądała jak pergamin naciągnięty na kości — nędzne resztki czegoś, co niegdyś było ludzką istotą. Ten człowiek oparty o trumnę tuż przy kuli... to był przecież Kilwar! Tuż obok leżeli jego dwaj wasale, a niżej trzech z tych, których wysłał na pokład Pihuys. Pozbawieni już

mięśni, wyglądali na dawno zmarłych Kilwar! Wysłała swą badawczą myśl w głąb jego umysłu. Nie, nie był martwy! Tylko jak wyzwoli go z tego morderczego więzienia? Ma przecież liny, którymi związany był luk! Złapała nasączone wilgocią sznury, związała je z trudem. Nie wiedziała, co może oznaczać jej odkrycie, ale była pewna, że Kilwarowi pozostało już niewiele czasu. Tam–sin przywiązała linę do poprzeczki najbliższej burty i wracając wzdłuż tak sporządzonej drabiny ku włazowi, sprawdziła po drodze wszystkie węzły. Czekala ją teraz najcięższa próba: będzie musiała zejść do tej kostnicy i znaleźć sposób na obudzenie Kilwara oraz jego ludzi, o ile ci jeszcze żyją. Zebrała całą swą odwagę i zaczęła zsuwać się po linie w dół.

Stanąła właśnie nad Królem Morza, kiedy spostrzegła, że nieznana moc, która zastawiła tę potworną pułapkę, zaczyna się budzić. Miała wrażenie, że coś okropnie żarłocznego poruszyło się, by przerwać swój nasycony sen. Teraz ona zostanie schwytana... bo jak dotąd sprzyjał jej właśnie ten mocny sen. Pochyliła się i sięgnęła po miecz Kilwara. Był dużo cięższy niż jej nóż. Uniosła go z wahaniem, bo nie umiała posługiwać się taką bronią. Światło stawało się coraz silniejsze. Spojrzała na kulę, głęboko w jej wnętrzu ujrzała jakiś ruch. Tam było... życie!

Kula... Coś zamykało się dookoła niej, owijało ją, jakby chciało zadusić, wysysało z płuc powietrze, pozostawiając w nich tylko ten mdlący, trupi fetor. To... ją... porywa! Wbiła palce w ramię Kilwara, potrząsnęła nim. Wciąż tliła się w nim iskra życia, była tego pewna. Musi się obudzić, musi się ratować. Stanąła w obliczu takiego zagrożenia, jakiego nigdy przedtem nie spotkała, jakiego nawet nie wyśniła.

— Kilwarze — zachrypiała i poczuła, że poruszył się lekko. Nie zdoła przyciągnąć go do liny, jego bezwładne ciało było za ciężkie. Przesunął się nieco w jej kierunku, przyciągając ją bliżej trumny. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła twarz leżącego w niej mężczyzny. Zobaczyła i natychmiast poznała... Kas! Czy był martwy, pozbawiony życia, które wessała w siebie nieznana siła, czy też spał?

Kula pulsowała światłem. Promieniowała agresywną, niezmierną siłą. Ta rzecz nigdy nie doznała klęski, po prostu zabierała upatrzone przez siebie ofiary i nikt dotąd nie zdołał jej w tym przeszkodzić. Tam–sin przysłoniła tę cząstkę siebie, która tworzyła sny.

Pozostała

Śpiewaczką Przyptywów. Rzecz, z którą miała teraz do czynienia nie była istotą ludzką, lecz czymś, co przekraczało całą jej wiedzę o świecie. Ale znaleźć tu Kasa... gorączkowo starała się uspokoić, zebrać siły, aby stać się tą sobą, która także nie poznała jeszcze smaku klęski.

Czy kula żywiła leżącego tu człowieka, który jej strzegł, czy też żywiła samą siebie? Ciało Kasa było w doskonałym stanie. Wydawało jej się nawet, że widzi, jak jego pierś unosi się i opada w płytkim oddechu. Kula... To, co kryło się w niej, stawało się coraz silniejsze, przygotowywało się do ataku. Tam–sin odwróciła miecz, który wciąż trzymała w dłoniach.

Choć ostra, postrzępiona klinga boleśnie wbijała się w ciało, podniosła ją wysoko i uderzyła rękojeścią wprost w kulę. Ta jednak, wbrew jej nadziei, nie rozprysnęła się, a światło zamigotało złowieszczo i Tam–sin zachwiała się rażona mściwym ciosem niewidzialnej siły.

Po raz drugi uderzyła w kulę, krew z poranionych dłoni sprawiła, że ostrze stało się

śliskie.

Nie rozbiła się. Jeszcze oddech, może dwa i zostanie pokonana. Co... Tam-sin jeszcze raz odwróciła miecz, krew spływała jej po nadgarstkach. Pozostała jej tylko sekunda i gorączkowe olśnienie, co powinna teraz zrobić. Chwytając miecz najsilniej jak umiała, skierowała ostrze w dół, wprost w pierś mężczyzny w trumnie. Nie miała już wyboru.

IX

Rozległ się krzyk przypominający skowyt, nie pochodził on jednak z gardła Tam-sin, która nie była w stanie wydać najmniejszego dźwięku. Morderczy cios odebrał jej wszystkie siły. Zachwiała się i upadła pomiędzy skłębione trupy, kurczowo trzymając się iskierki życia, wciąż tłącej się w jej wnętrzu. Ten skowyt był dla niej torturą. Oślepiła ją fala światła. Jęczała cicho. Nie była już w stanie wykrzesać z siebie żadnej siły, przetrwać — to było wszystko, na co mogła się zdobyć. Coś poruszyło się obok niej. Ta rzecz w trumnie... Nie dowiedziała się nawet, czy jej cios zadany ostatkiem sił został wymierzony we właściwy cel. Nie, nie, nie!

Tam-sin zebrała jakoś resztki mocy. Uniosła się z trudem, czując wstręt do tego, co leżało obok niej i pod nią. Światło nie raziło już jej łzawiących oczu. Migotało we wnętrzu kuli, jakby i ono zmagало się ze słabością. Ta straszliwa fala nienawiści, jaka w nią uderzyła... Uwolniła się od niej. Tam-sin położyła rękę na brzegu trumny, zaciskając palce.

Tak

uczepiona zdołała raz jeszcze się podnieść. Coś we wnętrzu kuli zwijało się niczym

śmiertelnie zraniony wąż. Żałowała, że nie ma przy sobie topora, ani dość siły, by uderzyć w

to wprost, bez litości.

— Tam-sin!

Choć wycie ucichło, ledwo usłyszała własne imię. Stała wpatrzona w trumnę. Miecz Kilwara utkwiał pomiędzy żebrami śpiącego. Ten mężczyzna już nie spał... ciało kurczyło się szybko, skóra okrywała już tylko szkielet.

— Tam-sin. — Czyjaś ręka objęła jej ramiona, akurat gdy zmagала się z falą mdłości.

— Kas. — Wskazała drżącą dłonią na to, co tam leżało, a wyglądało teraz jak człowiek, który umarł przed wieloma miesiącami.

Gniew, niewiarygodny, bezsilny gniew. Czuła obejmujące ją ramię, ale nie mogła oderwać

wzroku od trumny, od kuli. Zielonkawy blask wciąż tlił się w jej wnętrzu, ale już coraz

słabiej. Czyjeś dłonie odwróciły ją, twarzą ku linie, i podniosły z cuchnącej mazi okrywającej

podłogę. Tylko częściowo świadoma tego co robi, Tam-sin chwyciła linę. Nie miała jednak

dość siły. Wspiąć się... to było ponad jej możliwości.

— W górę, Tam-sin!

Ostry rozkaz wyrwał ją z oszołomienia. Spróbowała niezdarnie go wykonać. Ten ktoś ciągle był za nią i przynaglał. Cudem znalazła w sobie jeszcze trochę siły i odwagi, aż upadła wreszcie na okryty mgłą pokład. Nie zdołała jednak podnieść się z miejsca, w

którym leżała.

— Zostań tu! — rozległo się następne energiczne polecenie. — Idę po Trusenda i Lothera.

Jej powieki opadły, nigdy jeszcze nie była tak śmiertelnie zmęczona. To, co teraz toczyło jakąś walkę w kuli, wyssało z niej całą energię i wolę. Nic ją już nie obchodziło, wystarczyło, że wydostała się z tej potwornej pułapki, że czuła powiew morskiej bryzy. Po chwili jednak przekreśliła się tak, aby widzieć krawędź włazu. Lina była mocno naprężona i drgała lekko. Z czeluści wynurzyła się głowa mężczyzny i na pokładzie stanął jakiś człowiek. Kilwar. Nawet nie poczuła ulgi na jego widok. Była zbyt wyczerpana. On odwrócił się i zaczął wciągać linę, dopóki w otworze nie pojawiła się druga, bezwładna głowa. Wyciągnął nieprzytomnego na pokład i ułożył tuż przy niej, a sam raz jeszcze przepadł w głębinie. Tylko po to, by pojawić się znów, z następnym, tak samo nieprzytomnym człowiekiem. Chwilę później zobaczyła oślepiający błysk światła. Z czeluści wystrzeliły płomienie, sięgając niemal mężczyzny, który akurat ciągnął drugiego z uratowanych ludzi. — Ogień! — krzyknął Kilwar. — Na twarz Vlasty, nic tego nie pokona!

Skoczył ku Tam-sin i podniósł ją.

— Na dół — popchnął ją na burtę. Przywarła do niej i patrzyła, jak pochyła się nad otwartą częścią włazu i zamyka ją mieczem. Potem przyciągnął paletę z wysuszonego drewna i przerzucił ją przez burtę. Kiedy bale sięgnęły fal, Kilwar odwrócił się i potrząsnął Tam-sin.

— Skacz na dół! Spuszczę ich do ciebie. Utrzymaj ich na tratwie. Udało jej się skoczyć, przeszła taflę wody niezbyt czysto, ale z radością poczuła, jak morze obmywa jej ciało. Dopłynęła do tratwy i wdrapała się na nią. Kilwar spuścił ciała swych wojowników na zalewaną wodą powierzchnię, sam skoczył za burtę i wkrótce znalazł się przy niej, leżącej płasko i trzymającej obu nieprzytomnych mężczyzn za pasy. Mgła za nimi lśniła, jakby i ona zaczęła płonąć. Tam-sin ponuro przypatrywała się płomieniom pełzającym po burcie, którą przed chwilą opuściła. Coś, może ciepło płonącego okrętu, przewyciężyło mgłę, która niknęła, gdy oni, kołyszac się, oddalali się od przeklętego okrętu-widma. Kilwar odgiął jej zaciśnięte na pasach palce, przeturlał ciała na środek prowizorycznej tratwy.

— To — wskazał na płonący statek — powinno skłonić ich do poszukiwań. Poczekamy tu, aż nas odnajdą.

— Ogień... — Tam-sin bez emocji obserwowała śmierć okrętu-upiора. Doświadczenia ubiegłej nocy zupełnie pozbawiły ją uczuć.

— Ta rzecz ukryta w kuli — wyjaśnił — wyrwała się ze swego schronienia i oto mamy rezultat.

Było coś jeszcze, o czym musiała mu powiedzieć, ale jej umysł odmawiał posłuszeństwa.

Coś ważnego, czuła się jednak zbyt zmęczona, aby mogło ją to obchodzić.

— Rrrruuuu!

Gdzieś za płonącym wrakiem ktoś dał w muszlę sygnałową. Kilwar podniósł się, starając utrzymać równowagę na rozkołysanej tratwie. Odpowiedział głosem tak dźwięcznym jak wołanie rogu. Za chwilę rozległ się okrzyk.

— Tam-sin! — Poczuła na ramieniu ciepłą, delikatną dłoń. — Płyną po nas. Nie mogła mu odpowiedzieć, choć uniósł jej głowę i ułożył wygodnie na własnych

kolanach. Zamroczone zmęczeniem dostrzegła jeszcze, że dwaj ocaleni żołnierze odwracają głowy, by spojrzeć na swego Pana. Mgła zniknęła. Widziała nad sobą migoczącą gwiazdę.

Gwałtownie płonący okręt oświetlał nocne morze. W kręgu światła pojawił się dziób statku zmierzającego w ich kierunku.

Półprzytomna została wciągnięta na pokład. Kilwar zaniósł ją na koję i tam owinął miękką kołdrą. Wrócił po chwili, zanim zdołała sobie w pełni uświadomić, że gdzieś odchodził, trzymając w ręce kielich. Podpierając jej ramiona przyłożył naczynie do ust.

Była zbyt słaba,
by zaprotestować, choć węchem poczuła, że wino było bardzo mocne, przełknęła więc ten
płynny ogień.

— Ta...ta rzecz — wyszeptwała — jeśli się uwolniła...

Zmora nie opuściła jej myśli. Co się stanie, jeśli ta rzecz, uwolniona ze swego schronienia, podąży ich śladem?

— Ona umarła albo odeszła — zapewnił ją pospiesznie. — Uśnij teraz moja pani i wiedz, że tu nic nie może nas skrzywdzić.

Pozwoliła, by opuścił ją na koję. Kiedyś będzie musiał dowiedzieć się wszystkiego. Teraz nie martwiła się tym więcej, nadszedł sen.

X

Smuga szarego światła wsączyła się przez jedno z okien kabiny, oświetlając Kilwara, który siedział w fotelu z głową odchyłoną do tyłu, z zamkniętymi oczyma. Tam-sin obserwowała jego twarz, porządkując gmatwaninę wspomnień z najbliższej przeszłości: statek-widmo i jego ładownia. Znowu widziała człowieka, który wydawał się pogrążony we śnie, w zgubnym blasku tej kuli. To był Kas! Dopiero w tej chwili zrozumiała, co może wynikać z jej ciosu wymierzonego w pierś śpiącego. Zostali uwikłani we troje w sen, który wymknął się spod jej kontroli. Jeżeli Kas zginął... Jednak widziała to na własne oczy, ciało, w które wbiła miecz, skurczyło się, zmieniło w ciało osoby zmarłej nie przed chwilą, lecz wiele dni temu, może jeszcze wcześniej... Czy mógł być to ten sam statek, który nawiedzał wybrzeże Quinquare? Jeśli tak, to Kas z tego snu był od wielu lat martwy, czy raczej półżywy dzięki kuli. Jakie to dziwne, przerażające czary kryły się za tym, co znajdowało się w ładowni statku.

Kilwar poruszył się, otworzył oczy i przeciągnął się w fotelu. Potem spojrział na nią i Tam-sin wykrzeszała z siebie dość siły, by się uśmiechnąć.

— Pani moja! — Natychmiast znalazł się przy niej.

— Panie mój! — Rozjaśniła się, jego przywiązanie było dla niej opoką w zamęcie, którego nie zdołała do końca pojąć.

— Odważyłaś się zejść... tam. — Wziął ją za rękę, jego uścisk był może nazbyt mocny, ale takiego właśnie pragnęła.

— Jeżeli było to konieczne, to co innego mogłam zrobić? — spytała. — W końcu to ty ocaliłeś nas swoją siłą, Kilwarze. Czym była ta rzecz? Pokiwał powoli głową.

— Tego nie potrafię powiedzieć. Ona... ona żywiła się... życiem tych, których zabierała.

A ofiar miała wiele.

Tam-sin zadrżała, przypominając sobie to, co otaczało trumnę. Zwilżyła wargi.

Jeśli on nie

wie, musi wyjaśnić mu od razu. To jej ciążyło.

— Kilwarze, czy widziałeś, co leżało w trumnie? — Jeden spośród umarłych... — Niezupełnie... jak sądzę. Zwłaszcza, że zabiłam go twoim mieczem. Kilwarze, tam leżał Kas.

— Kas! — Spojrzał na nią — Naprawdę go widziałeś? — Widziałam go i rozpoznałam. Nie był zmieniony jak ty i ja, lecz miał tę samą postać, w jakiej zobaczyłam go po raz pierwszy. I... czy rozumiesz, Kilwarze... ja go zabiłam! Wyraz zdziwienia nie opuszczał jego twarzy.

— Kas? — powtórzył zamyślony. — Ależ ten statek musiał wędrować już od bardzo dawna.

Nagle pojęła w pełni znaczenie tego, co widziała na statku i poczuła wzbierającą falę mdłości. Kas przetransportowany do tego świata ze snu został uwięziony w ciele swego tutejszego sobowtóra, stał się częścią półczłowieka i półtrupa, pozostającego we władzy kulistego przedmiotu. Czy wiedział, co się z nim działo? Nie, nie mogła, nie śmiała w to uwierzyć!

Poczuła, jak obejmują ją ramiona Kilwara, poczuła ciepło jego tak bliskiego ciała, wydawało się, że chce chronić ją nawet od jej własnych myśli... myśli, które budziły w niej prawdziwe przerażenie.

— Jeśli to był Kas z tego świata, to nie masz się o co oskarżać.

— Panie, to moja wola i moc przywiodły nas tutaj.

— Ratując od niechybnej śmierci — przypomniał jej. — Nie wiem, jaka siła stworzyła ten morderczy okręt. Jeżeli jednak kula starała się utrzymać przy życiu sobowtóra mojego kuzyna, być może to właśnie on był twórcą tej pułapki. Musiał istnieć między nimi jakiś ścisły związek, skoro kula rozpadła się, gdy zabiłam mojego krewniaka. Kimkolwiek była, ta śmiercionośna istota. Ty za nic nie powinnaś się winić, Tam-sin. — Ale to ja sprowadziłam go tutaj... do tego... — Jej głos łamał się i przechodził w szept.

— Sprowadziłaś tu nas wszystkich, przekonana, że zapewnisz nam w ten sposób bezpieczeństwo. Kas z tego świata musiał mieć konszachty z diabłem, bo inaczej nigdy nie związałby się z tym pożeraczem ludzkiego życia.

— Tego nie możemy być pewni. — Pragnęła, by ją pocieszał, chciała uwierzyć, że to on ma rację, ale czy mogli to wiedzieć na pewno?

— Pamiętaj, że ja tam byłem. — Delikatnie odgarnął jej włosy z czoła. — Byłem łupem tej istoty. Jeśli zamierzała zabić pół setki ludzi, ludzi mojej krwi, sam wydałbym rozkaz, który zmiotłby tę podłą rzecz z powierzchni ziemi i morza. Mordowała przez cały czas, bez litości, tak zachłannie, że trudno o tym pomyśleć bez wstrętu. Czy sądzisz, że znajdzie się ktoś, kto uzna, że w tych warunkach Kas nie

zasłużył na śmierć? — Wciąż mnie nie rozumiesz. — Tam-sin usiłowała uwolnić się z jego objęć. — Kas nie żyje... Nie mogę przerwać tego snu! Nigdy nie uda nam się wrócić. Jego twarz spoważniała, nawet oczy zdawały się nie dostrzegać otoczenia. Teraz już wiedział i nigdy nie wybaczy jej tego, co zrobiła. Byli zabłąkani w świecie snów... skąd nie mogli wrócić do Ty-Kry, gdzie był panem królestwa podniebnej wieży. — Jesteś tego pewna? — zapytał spokojnie, głosem tak samo nieprzeniknionym, jak wyraz jego twarzy.

— Jestem pewna — odpowiedziała ponuro. Nienawidziła Kasa za to, co próbował zrobić, za to, że chciał zgładzić Starrexa we śnie, który ona sama stworzyła. Mimo to powinna była próbować go ocalić, wtedy mogliby powrócić.

— Niech więc tak będzie! — Twarz Kilwara promieniała uśmiechem, jakiego nigdy nie widziała na obliczu Starrexa. — Czyżbyś zapomniała, moja Tam-sin? W tamtym Ty-

Kry byłem tylko w połowie człowiekiem, uwięzionym w ciele, które nie było mi posłuszne. Jako Hawarel byłem połową człowieka w innym znaczeniu — nie mógłbym żyć długo w ciele głupiego osiłka. Tutaj — uniósł głowę z dumą — mam wszystko, czego pragnę! Czy uważam, że przeszłość była lepsza od tego, co jest teraz? Wcale nie! Jestem władcą LochNar i mam swoją panią. Jeśli Kas zginął, pogódźmy się z tym i spójrzmy w przyszłość. Patrz. —

Delikatnie uniósł ją wyżej, aż do okna kabiny.

Na zewnątrz słońce złociło grzbiety fal. Jakiś ciemny kształt wyskoczył ponad powierzchnię wody, zawisł na chwilę w powietrzu, zwracając pysk w jej stronę, i Tam-sin nie miała wątpliwości, że loкса spostrzegł ją i rozpoznał.

— Tam-sin, wstał nowy dzień. Wydobyliśmy się z mrocznej mgły nocy wprost w jasny, przeznaczony dla nas dzień... nie zmarnujmy szansy. Żałujesz tego, co minęło? — Nie!

Nie żałowała. Była niegdyś twórczynią snów, ale nie obchodziło jej już, czy świat, w którym się znaleźli, był tylko niematerialną fantazją, bez drogi wyjścia. Może jej ciało leżało wciąż w wieży Ty-Kry, ale nie wierzyła, że tamto zdarzyło się naprawdę... przynajmniej nie teraz. Była Tam-sin i stał obok niej Kilwar, nie Starrex; razem mogli wkroczyć nie na kręte ścieżki snu, lecz wprost na szeroką drogę życia. Roześmiała się radośnie, ale zamilkła, gdy usta Kilwara dotknęły jej warg.

CZĘŚĆ TRZECIA

WYNOŚ SIĘ Z MEGO SNU

Każdy świat ma swoje rytuały, zwyczaje i prawa. Itlothis Sb Nath uważała, że jako agentka-poszukiwaczka przyzwyczaiła się już do wszelkich przeszkód i problemów, jakie stawały przed nią podczas służby. W głębi ducha przyznawała jednak, że nie spotkała się dotąd z takim oporem. Wprawdzie nie posadzono jej w fotelu, który zapewniłby wygodę jej szczupłemu ciału, ale miała nadzieję, że rozmawiając z tą kobietą sprawia wrażenie całkowicie odprężonej i pewnej siebie. Dobrze wiedziała, że ta... Matka Foost jest uparta.

Itlothis była przygotowana do zmagania się z ludzką i nieludzką wrogością. Jednak ta sytuacja zbijała ją z tropu, a nie mogła sobie pozwolić na przeciąganie sprawy. Chyba po raz dwudziesty w ciągu ostatnich dwóch dni wolno i wyraźnie przedstawiała istotę swej misji, nie przestając się przy tym uśmiechać. Cierpliwość była jedną z

najcenniejszych zalet agenta, stawała się zarówno bronią, jak i obronną tarczą. — Widziałas rozkazy, Szlachetna Pani. Przyznasz, że jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Twierdzisz, że Oslan Sb Atto jest w tej chwili jednym z twoich klientów. Zostałam upoważniona do rozmowy z nim. Tu liczy się każda chwila, Oslan musi zostać poinformowany o sytuacji w jego kraju. To sprawa niezwyklej wagi, istotna dla przyszłości jego i innych. Nie wtrącamy się w sprawy innych światów bez akceptacji Zwierzchnika Rady.

Wyraz twarzy tamtej nie zmienił się. Na Dwadzieścia Włosów Inga! Itlothis mogłaby równie dobrze zwracać się do aparatu rejestrującego, czy nawet do zniszczonej czasem ściany za plecami Matki Foost.

— Ten, którego szukasz — głos kobiety brzmiał monotonicznie, jakby była pogrążona w transie, ale oczy miała czujne, żywe, przenikliwie inteligentne — leży w pokoju snów.

Powiedziałam ci prawdę, Szlachetna Pani. Nie wolno przeszkadzać śniącym. To byłoby niebezpieczne i dla przybysza z twojej planety, i dla twórczyni snów. Zapłacił za tydzień snu i przywiózł ze sobą taśmy, aby poinstruować fantazjotwórczynię. Dziś mija dopiero drugi dzień...

Itlothis opanowała ochotę, by uderzyć pięścią w stojący między nimi stół i tylko sapnęła ze złości. Już po raz szósty słuchała tych samych słów, a może tylko tak do siebie podobnych, że wydawały się identyczne. Jeszcze dwa dni zwłoki i jej misja zakończy się niepowodzeniem.

Oslan Sb Atto musi zostać obudzony, poinformowany o sytuacji na Benold, aby znalazł się na pokładzie najbliższego statku międzygwiazdowego.

— Na pewno budzi się na posiłki — rzekła.

— Twórczyni snów i jej klient są odżywiani dożylnie, jak zwykle w podobnych wypadkach — odparła Matka Foost.

Itlothis nie była pewna, czy w jej głosie nie zabrzmiała nutka triumfu. Ona jednak nie poddawała się tak łatwo. Pochyliła się nad Stołem i czubkiem palca dotknęła zielonej płytki, jednej z tych, które rozłożyła na blacie. Jej lśniący paznokcie zastukał o powierzchnię najwyższego pełnomocnictwa, o którym wielu agentów mogło tylko marzyć. Nawet jeżeli ten krążek został wydany przez agencję spoza tej planety, agencję, która z zasady nie łamała lokalnych praw, to jednak jego widok powinien otwierać jej wszystkie drogi w mieście Ty-

Kry.

— Bądź pewna, Szlachetna Pani, że nie prosiłabym cię o nic takiego, co mogłoby być niebezpieczne dla twojej fantazjotwórczyni albo jej klienta. Rozumiem jednak, że istnieje jakiś sposób na przerwanie takiego snu... jeśli ktoś inny zręcznie przeniknie do snu, by dostarczyć klientowi ważną informację.

Po raz pierwszy zmieniło się coś w wyrazie twarzy tej surowej kobiety o twardych rysach, która mogłaby być modelem dla starożytnych pomników, jakie Itlothis zauważyła w starszej części miasta, tam gdzie nie wyrosły podniebne wieże o nieprawdopodobnej wysokości.

— Kto?... — zaczęła i zacisnęła usta.

Itlothis ożywiła się. Znalazła klucz!

— Kto mi to powiedział? — gładko dokończyła zaczęte pytanie. — Czy ma to jakieś znaczenie? Wiedza o takich sprawach jest niezbędna w mojej pracy. Można to zrobić, prawda?

Tamta z ociąganiem nieznacznie skinęła głową.

— Oczywiście — kontynuowała Itlothis — o swoich zamiarach poinformowałam przedstawiciela Rady. Przyśle tu swojego naczelnego medyka, który — zgodnie z regulaminem — będzie nadzorował przebieg akcji.

Matka Foost powróciła do swej niewzruszonej postawy. Jeśli nawet uznała jej słowa za ostrzeżenie czy groźbę, nie dała po sobie poznać, że nieufność Itlothis zrobiła na niej jakiegokolwiek wrażenie.

— Ta metoda nie zawsze przynosi spodziewane efekty — powiedziała tylko. — Annota to nasza najlepsza twórczyni snów klasy A. Nikt nie dorówna jej umiejętnościom. A wolne mam tylko... — Musiała dotknąć jakiegoś przycisku, gdyż z prawej strony ściany rozbłysła świetlista tablica pełna znaków nie zrozumiałych dla agentki spoza tego świata. Matka Foost przyglądała się im przez dłuższą chwilę. — Możesz dostać Eleudd. Jest młoda, ale obiecująca i już raz przenikała do cudzego snu.

— Znakomicie. — Itlothis wstała. — Wezwę medyka i będziemy próbować tego przenikania. Doceniamy twoją pomoc Matko Foost — choć, dodała w myśli, nie zapomnimy też o tym, jak niechętnie jej udzieliłaś.

Była tak zadowolona ze swego sukcesu, że dopiero kiedy przybył medyk i wraz z nim weszła do pokoju snu, uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie stała przed tak niesamowitym zadaniem. Tropić kogoś poprzez światy, wędrować przez nie zamieszkane galaktyki — robiła to już od wielu lat planetarnych. Szukać człowieka we śnie — to było coś zupełnie nowego.

Pomyślała, że nie jest zachwycona tym pomysłem, ale nie mogła się już wycofać. Twórczyni snów z Ty–Kry były sławne. Pochodziły z bardzo starego rodu, a kierowane przez Matkę Foost potrafiły stwarzać fantastyczne światy i przygody, które mogły dzielić z każdym, kogo stać było na dość słoną opłatę. Niektóre z fantazjotwórczyń były stale wynajmowane przez bogate domy multi–kredytowców, zamieszkujących wyższe poziomy podniebnych wież, dostarczały rozrywki wybrańcom albo całemu rodowi. Inne mieszkaly w Roju, a klienci przybywali do nich. Splatając swoje myśli z myślami twórczyni snów, klient wstępował w świat, który wydawał się całkowicie prawdziwy. Fantazjotwórczynie klasy A były modne i bardzo drogie.

Itlothis przyglądała się pomieszczeniu, w którym znajdował się poszukiwany przez nią człowiek pogrążony w głębokim śnie. Stały tam dwie leżanki (Matka Foost nadzorowała właśnie przygotowania do wniesienia kolejnych dwóch, co miało zagrabić pokój do granic możliwości). Na jednej leżała szczupła, bardzo blada dziewczyna, jej głowa była częściowo ukryta w metalowym hełmie, który był połączony kablami z nakryciem głowy, jakie miał na sobie Oslan, leżący na sąsiedniej sofie. Pomiedzy nimi stał aparat, zawieszony butelkami, z których doprowadzano do ich żył odżywcza ciecz. Itlothis nie widziała dokładnie twarzy Oslana, hełm zakrywał ją aż do linii nosa. Poznała go jednak. Właśnie tego mężczyzny szukała. Zapragnęła natychmiast położyć kres swoim rozterkom, zrzucając mu z głowy hełm i budząc go. Opanowała się jednak, dobrze wiedziała, że byłoby to zbyt niebezpieczne.

Pomocnicy Matki Foost ustawili jedną sofę obok twórczyni snów, a technik starannie połączył nakrycie głowy dziewczyny z kablami hełmu, który dopiero miał zostać założony.

Za chwilę obok postania Oslana ustawiono następną leżankę z przygotowanym hełmem.

Itlothis była coraz bardziej niespokojna. Najbardziej nie podobało jej się to, że będzie całkowicie uzależniona od woli innego człowieka. Z drugiej strony, musiała bezzwłocznie sprowadzić z powrotem Oslana. No i będzie jej strzegł ten medyk. Bez ociągania wykonywała więc polecenia Matki Foost: ułożyła się na sofie i pozwoliła, by dopasowano jej hełm, choć w głębi serca czuła paniczny lęk, pragnęła zerwać z głowy wyściełany czepiec i uciec z tego pokoju... Nikt nie wiedział, jakie przygody przeżywał we śnie Oslan. Nie istniały dwa podobne do siebie sny i nawet sama twórczyni nie mogła do końca przewidzieć przebiegu tworzonej przez siebie fantazji. W dodatku Matka Foost mówiła, że Oslan sam przywiózł jakieś taśmy i nie korzystał ze zbiorów Roju. Itlothis nie miała więc pojęcia, do jakiego świata się udaje. Nie wiedziała nawet, jak znajdzie się we wnętrzu snu. Czy nadejdzie chwila całkowitej nieświadomości, niczym w zwyczajnym śnie, i co następnie zobaczy...? Itlothis nagle znalazła się na szczycie skalistego klifu, wśród wysmaganych wiatrem kamieni o dziwnym kształcie, wśród których rozlegało się ponure, monotonne wycie wiatru.

Doleciał do niej także inny dźwięk, w którym rozpoznała dochodzący z dołu huk uderzających fal przypiływu. Znała to miejsce! Była na Yulgreave, w swoim własnym świecie! Wystarczyło, by się teraz odwróciła i zobaczy przed sobą wiekowe, bardzo wiekowe, ponure i przerażające ruiny Yul. Miała zamęt w głowie. Spodziewała się, że znajdzie się w jakiejś dziwnej, wysnionej krainie, a wróciła na planetę, na której się urodziła. Dlaczego... i po co...? Spojrzała na Yul, aby zyskać pewność, co do swego położenia. I... Ruin nie było!

Ciężkie, potężne wieże tkwiły nie naruszone, jakby wyrastały ze skały klifu, tak jak drzewa wyrastają z ziemi, a nie zostały wzniesione, kamień po kamieniu, ręką człowieka czy człekokształtnej istoty. Stara forteca w całej swej potędze była znacznie bardziej imponująca niż znane jej ruiny... była większa i bardziej rozległa, niż sugerowały jej pozostałości w wiele wieków później. W tym momencie Itlothis przypomniała sobie, co sądzono o Yul w jej własnym czasie, wzdrygnęła się i cofnęła, aż oparła się plecami o jedno ze wzniesień klifu.

Nie miała ochoty oglądać nie naruszonego Yul, ale nie mogła oderwać od niego oczu, ciemne ściany i wieże przykuwały jej uwagę.

Kiedy, tysiąc lat planetarnych temu, na Benold przybyły pierwsze istoty jej rasy, Yul było już zrujnowane. Znalezione także inne, rozproszone ślady jakiejś dawnej cywilizacji. Yul było wśród nich najmniej zniszczone. Jednak, choć jej współplemieńcy z pasją penetrowali tajemnice tych, którzy zamieszkiwali przed nimi kolonizowane tereny, osadnicy z Benold niechętnie zapuszczali się do Yul. W jego osypujących się ścianach było coś, co wzbudzało taki niepokój, że każdy, kto tam wszedł, prędzej czy później opuszczał to miejsce w pośpiechu. Dlatego znano je tylko z zewnątrz i z oddali, tak też pokazywały je taśmy tri-dee.

Dlaczego Oslan zapragnął zobaczyć Yul takie, jakie było przed laty? Ta zagadka zepchnęła w cień jej początkowy strach. Domyślała się, że nie zrobił tego bez powodu. To wcale nie miała być przyjemna ucieczka od rzeczywistości. Dziewczyna odsunęła się od chroniącej ją skały i zaczęła nad tym rozmyślać.

Oslan Sb Atto był, zgodnie z prawami Benoldu, spadkobiercą ogromnego dziedzictwa Atto. W związku z tym, ponieważ upłynęło już sześć planetarnych miesięcy od śmierci Atto Sb Natona, powinien przejąć swe obowiązki Szefa Klanu tak szybko, jak tylko było to możliwe. Jego brat, Lars Sb Atto, wynajął więc agencję Itlothis, aby jak najprędzej sprowadziła dziedzica, który wędrował gdzieś po innych światach. Później, gdy przedłużająca się nieobecność spadkobiercy Atto zaczęła ważyć na sprawach politycznych, poszukiwaniami zaczęła kierować Rada.

Po co Oslan przybył na planetę snów, odnalazł Rój i wstąpił w sen o własnej planecie sprzed wieków? Wszystko wskazywało na to, że i on poszukuje czegoś ważnego. Itlothis wierzyła w to, nie wiedziała tylko, co tropi Oslan. Cóż, im prędzej to odkryje, tym prędzej będą mogli oboje powrócić do prawdziwego Benold i obowiązków Oslana. Wbrew własnej niechęci do tego, co musiało nastąpić, dziewczyna ruszyła w kierunku Yul, pewna — jakby dowiedziała się o tym od samego Oslana — że znajdzie tam rozwiązanie tej łamigłówki. Nie zmieniły się przynajmniej zwierzęta i rośliny znane jej z własnego świata. Nad głową pikowały morskie ptaki, ich jękliwe krzyki rozlegały się wśród huku fal, a błyszczące pomarańczowe, błękitne i zielone pióra lśniły mimo pochmurnego dnia. Pomiędzy skałami pięły się niewielkie rośliny o szarobrazowej barwie otaczających je kamieni. Niektóre z nich wypuszczały silniejsze pędy ku następnym skalnym szczelinom wypełnionym pyłem naniesionym przez wiatr.

Itlothis bacznie obserwowała Yul. Chociaż mury były całe, a wieże wznosiły się strzeliście, nie widziała wśród nich żadnych oznak życia. Na wieżach nie powiewał ani jeden sztandar, nikt nie pokazywał się w oknach, które sprawiały wrażenie oczu pozbawionych powiek, obserwujących morze i wysokie szczyty na zachodzie. Yul leżało na skraju posiadłości Atto. Itlothis po raz ostatni widziała Yul, gdy udawała się na naradę z Larsem Sb Atto, przed wyruszeniem na poszukiwania. Przylecieli tu z Killamarsh i minęli ruiny, zmierzając ku dolinie za wzgórzami. Dom Atto, gdyby tylko zechciał, mógł uznać klif i ruiny za część swojej własności. Zła sława Yul nadała mu jednak status ziemi niczyj ej.

Itlothis uparcie przemierzała skalistą drogę, słuchając ptasich krzyków i przypatrując się ponurej bryle Yul. Sądziła, że wdzierając się w sen Oslana, natknie się na niego od razu. Tak się jednak nie stało. No cóż, musiała go odnaleźć, nawet jeśli wszystkie ślady poprowadzą ją do Yul. Chociaż marzyła, żeby znaleźć się gdzie indziej, była przekonana, że musi iść właśnie tam. Kiedy podeszła do nie naruszonego muru zewnętrznego, przeraziły ją olbrzymie bloki kamienia, z którego został zbudowany. Wiedziała, że w murze znajdowała się brama. Dziwne tylko, że nie prowadziła ona na ląd, ale w stronę morza. Jeśli ma do niej dotrzeć, będzie musiała pójść niebezpiecznym, nierównym szlakiem tuż nad krawędzią klifu. Nie było tam drogi, nie było nawet ścieżki. Fakt ten zawsze zaskakiwał współczesnych jej specjalistów.

Dlaczego jedyna brama nie wychodziła na drogę odpowiadającą rozmiarami murom?
Nie

było także żadnych śladów portu w dole.

Itlothis zawahała się, jedno spojrzenie na drogę, którą miała przebyć, odebrało jej całą pewność siebie. Rozpoczynała tę wyprawę pełna wiary w to, że jej umiejętności i doświadczenie przygotowały ją na każdą ewentualność. W końcu była agentką najwyższej klasy, z niezliczoną ilością pomyślnie zamkniętych spraw. Jednak, jak dotąd, zawsze działała w normalnym świecie... to znaczy rzeczywistym. Tu pojawiało się coraz więcej rzeczy stanowiących prawdziwe wyzwanie dla jej wiedzy i bezpieczeństwa. W każdym rzeczywistym świecie... odetchnęła głębiej. Musi

przyjąć, że to jest rzeczywisty świat. Jeśli nie odzyska zaufania we własne siły, będzie zgubiona. Przecież niejedna planeta spośród tych, na których prowadziła swoje akcje, była dziwaczna i niesamowita. Dlatego nie może tego świata traktować jak wymyślnego Benold, ale raczej jak jedną z tych niezwykłych krain.

Jeśli to osiągnie, odzyska panowanie nad sytuacją.

Droga była trudna, a nie wiedziała, czy nie jest pod obserwacją z Yul. Nieustannie spoglądała w górę, w okna, ale nic nie zauważyła. Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że ktoś śledzi każdy jej ruch. Podnosząc wysoko głowę, Itlothis pięła się przed siebie. Przestrzeń dzieląca mur od krawędzi klifu była bardzo wąska, w dole groźnie mruczały fale. Przycisnęła plecy do muru i przesuwała się wzdłuż niego, czuła bowiem, że mogłaby upaść i stoczyć się w dół. Napotykała mnóstwo sterczących skałek i zatrzymywała się przy każdej z nich. Nagle przykucnęła, kryjąc się, usłyszała bowiem coś więcej niż krzyki morskich ptaków. Nie wiedziała co to było — może samolot? — bo nadleciało z nieprawdopodobną szybkością.

Kierowało się do bramy, ku której zmierzała i, niczym strzała wypuszczona z archaicznego łuku, wleciało w nią, nie zmniejszając szybkości. Samolot... czy jakiś latający potwór? Nie miała pojęcia. Pozostało w niej niejasne wrażenie, że dostrzegła skrzydła i zawieszony pomiędzy nimi lśniąco metaliczny korpus. Dzieło człowieka... czy żywa istota? Zaskoczył ją jakiś ruch w górze. Wysoko nad jej głową ktoś, a może coś poruszyło się w otworze okiennym. Itlothis wysunęła się ze swej skalnej kryjówki. Tak, w ramie okna zobaczyła czyjaś głowę i ramiona. Patrząc, dostrzegła zachwianie proporcji, albo okno było zbyt duże i przytłaczało postać swym ogromem, albo było na odwrót. Ten ktoś wspiął się na parapet! Dziewczyna wstrzymała oddech. Chce skoczyć?

Dlaczego?

Jednak nie, poruszał się ostrożnie, przykucnął i przeszedł na drugą stronę. Teraz znalazł jakieś oparcie dla stóp. Skąd ma tyle odwagi? Przyciśnięty do ściany, schodził w dół cal po calu, dłońmi i stopami odnajdując w murze punkty oparcia. Itlothis zastygła i w napięciu obserwowała tę morderczą wędrówkę. To, że znajdował jakąś drogę, graniczyło z cudem. On jednak poruszał się pewnie, choć wolno, wyraźnie przekonany o tym, że odnajdzie potrzebne mu uchwyty. Ten widok spowodował, że Itlothis opuściła swoje płytkie schronienie i stanęła u stóp muru, dokładnie w tym miejscu, gdzie on dokonywał swej ryzykownej wędrówki.

Podniosła rękę i dotknęła kamiennej powierzchni, oczyma bowiem nie zdołała dopatrzeć się żadnych szczerb w kamieniu. Jej palce natrafiły na wyciętą bardzo przemyślnie szczelinę; z pewnością była ona przeznaczona do takich właśnie wspinaczek — była częścią niewidocznej drabiny. Cofnęła się o krok, aby lepiej widzieć człowieka schodzącego po ścianie. Jego głowa wydawała się znajoma, podobnie jak układ ramion. Wprawne oko poszukiwaczki rozpoznało go natychmiast. Oslan!

Itlothis odetchnęła z ulgą. Teraz musi tylko z nim porozmawiać i wyjaśnić mu, dlaczego powinien przerwać swój sen. Potem wrócić do rzeczywistości. Matka Foost twierdziła, że to życzenie Oslana utrzymuje w równowadze pracę fantazjotwórczyni, może on więc obudzić się, kiedy tylko zapragnie. Miała nadzieję, że osiągnął już ten cel, który sprowadził go do dawnego Yul. W każdym razie posłanie, przyniesione mu przez Itlothis, było tak ważne, że z pewnością nie zostanie tu ani chwili dłużej. Upewniwszy się, co do osoby, dziewczyna zauważyła, że był ubrany w jakieś dziwne

szaty. Strój ciasno opinał jego ciało, był niemal elastyczny, gdyż został wykonany z małych łusek, ściśle nakładających się na siebie. Tylko dłonie i stopy miał nagie. Ich skóra była tak brązowa jak kamienie, po których schodził.

Włosy przyczesane gładko, dość ciemne. Itlothis nie widziała jego twarzy, ale znała jej regularne rysy, typowe dla rodu, z którego się wywodził. Gdyby na taśmach tri-dee, na których go jej pokazano, nie miał niezmiennie nachmurzonej, ponurej miny, uznałaby go za przystojnego mężczyznę.

Gdy był na dość znacznej jeszcze wysokości nad poziomem klifu, oderwał ręce od skały i zeskoczył. Stał teraz na ziemi i ciężko oddychał. Itlothis domyśliła się, ile wysiłku kosztowała go ta droga w dół po stromej ścianie. Przez chwilę nie ruszył się z miejsca. Z rękami i nogami opartymi na ziemi, zwieszoną nisko głową, dyszał ciężko, wciągając powietrze w strudzone płuca.

— Przywódco Rodu, Oslanie — Itlothis odezwała się z formalnym szacunkiem. Podniósł głowę gwałtownym ruchem, jakby przemówił do niego jakiś potwór z morskich odmętów. Spojrzał na nią i wstał z trudem, trzymając się muru. Jego dłonie zacisnęły się w pięści, jakby przygotowane do odparcia jakiegoś ataku. Zobaczyła, jak zwięzły się mu błyszczące, zielone oczy. Tym razem jego twarz była pełna wyrazu! Patrzyła na jego wściekłość. Potem przymknął oczy i opuścił pięści, jakby zrozumiał, że kobieta ta nie stanowi takiego niebezpieczeństwa, jakiego się spodziewał.

— Kim jesteś? — Jego głos był niemal taki sam bez wyrazu jak Matki Foost; być może miał kryć uczucia, których nie chciał zdradzić.

— Agentka–poszukiwaczka Itlothis Sb Nath — odparła natychmiast. — Przywódco Rodu Oslanie, jesteś pilnie potrzebny.

— Przywódco Rodu? — przerwał jej. — Więc Naton nie żyje?

— Zmarł drugiego Miesiąca Lodu, wodzu. Jesteś pilnie potrzebny na Benold. — Itlothis nagle pojęła dziwaczność swego położenia. Przecież byli na Benold. Szkoda, że świat snu nie był rzeczywistym światem. Oszczędziłoby to wiele cennego czasu.

— Czekają na ciebie nie tylko sprawy rodowe — ciągnęła — musisz także przygotować nowe porozumienie w sprawie kopalń. Rada naciska, byś zrobił to bezzwłocznie. Oslan potrząsnął głową. Jego twarz znów wykrzywił grymas gniewu zmieszanego z niepokojem.

— Nie ma takiej możliwości, po prostu nie ma, abyś mogła mnie teraz stąd zabrać, agentko! — Zbliżył się do niej.

Wbrew własnej woli, Itlothis cofnęła się o krok czy dwa.

— A teraz — powiedział ostrym, ponagającym głosem — wynoś się z mojego snu! Każde jego słowo ogłuszało ją jak cios pięścią. Jednak jego otwarta wrogość pobudziła ją do działania. Nie cofnęła się już więcej, stała w miejscu, czekając aż się zbliży. Po raz pierwszy spotkała kogoś, kto odmawiał powrotu. Jego niechęć sprawiła, że się opanowała.

— Chodzi o interesy Rady — odparła szybko. — Jeśli nie... Roześmiał się! Odrzucił głowę do tyłu, oparł dłonie na biodrach i śmiał się, choć w jego rozbawieniu pobrzmiwały nuty gniewu.

— Co wobec tego proponujecie, ty i twoja Rada? Wezwiesz jakiegoś uzbrojonego funkcjonariusza, aby cię tutaj bronił?

Przed oczyma Itlothis natychmiast stanął obraz pokoju snów w Roju z jeszcze jedną leżanką, z kolejną fantazjotwórczynią oraz — o ile zdołałoby się jeszcze wtłoczyć do

tego pomieszczenia — następną leżanką z uzbrojonym wojownikiem. To było niemożliwe. W tej sprawie mogła polegać tylko na sobie samej.

— Widzisz — zbliżył się jeszcze o krok — co tu znaczy władza Rady? Rada istnieje gdzieś tam, w odległej o wieki przyszłości.

— Nie chcesz mnie zrozumieć — Itlothis starała się zachować spokój — a to sprawa niezwykle ważna, także dla ciebie. Twój brat Lars i Rada żądają, abyś pojawił się na Benold przed dniem Wysokiego Słońca. Mam upoważnienie, aby przywieźć cię tam najbliższym hiperstatkiem...

— Nie masz niczego! — Oslan przerwał jej po raz drugi. — To mój sen i tylko ja mogę go przerwać. Powiedzieli ci o tym?
— Tak.

— No więc wiesz. Jesteś tu moim jeńcem, mimo całej twojej władzy i wszystkich upoważnień. Chyba że wolisz, abym cię natychmiast odesłał z powrotem. — Nie opuszczę snu bez ciebie! — Wypowiadając te słowa, Itlothis zaczęła się obawiać, czy nie popełniła fatalnego błędu. Jednak nie miała zamiaru poddać się tak łatwo, jak on by tego pragnął. — Czy chcesz, żeby odczytano to jako twoją rezygnację z przewodzenia Rodowi? — dodała pośpiesznie. — Rada ma w tej kwestii nadzwyczajne uprawnienia i... — Bądź cicho! — Lekko odwrócił głowę ku murowi Yul. Nasłuchiwał czegoś uważnie. Czy to głębokie huczenie było dźwiękiem, czy też raczej wibracją przenoszoną przez skałę, na której stali? — Do tyłu!

Oslan chwycił ją gwałtownym ruchem ręki i pociągnął za sobą. Stali teraz oboje razem przyciśnięci do muru. Wciąż nasłuchiwał z uwagą, przekrzywiając głowę, jakby spoglądał w górę, na mury obronne Yul.

— Co to jest? — spytała szeptem, gdy już dłuższy czas trwali tak w bezruchu.
— Całe mrowie macek. Cicho!

Niczego się nie dowiedziała, ale jego napięcie nakazywało jej posłuszeństwo. To był sen Oslana i to on wyłonił się z Yul, z pewnością więc wiedział więcej niż ona. Niespodziewanie pojawił się promień światła, niczym sygnał alarmowy, wymierzony w przestrzeń nad morzem. Potem następny i następny, jeden za drugim, wylatywały z bramy prowadzącej na klif i mknęły nad falami z taką prędkością, że Itlothis zdołała dostrzec tyło świetliste, promieniejące kule. Zniknęły wreszcie gdzieś za linią horyzontu. Wciąż przyciśnięta do ciała Oslana, poczuła, że opuszcza go napięcie. Odetchnął głęboko.

— Zniknęły. Teraz będzie bezpiecznie.

— Bezpiecznie?

Oslan popatrzył jej prosto w oczy. Itlothis wcale nie podobało się to spojrzenie tak przenikliwe, jakby chciał czytać w jej myślach. Spróbowała oderwać od niego wzrok, ale nie mogła. To ją zdenerwowało. Nie czekała na jego odpowiedź i powtórzyła raz jeszcze to, z czym tu przybyła. Tym razem starała się być stanowcza:

— Jeśli natychmiast nie przerwiesz tego snu, stracisz Atto. Rada powoła na Przywódcę Rodu Larsa.

Jego uśmiech podszyty był gniewem, tak jak niedawne rozbawienie.

— Lars jako wódz? Czemu nie... o ile będzie jeszcze istniało Atto, którym będzie mógł włądać.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A po co przybyłem tutaj? Po co przemierzyłem pół wszechświata, aby znaleźć fantazjotwórczynię, która potrafiłaby przenieść mnie do dawnego Yul? No, jak sądzisz? —

Chwycił ją za ramiona i potrząsał, jakby tym gestem chciał podkreślić wagę swoich słów. —

Wydaje ci się, że Yul z naszego świata to rumowisko, bezpieczne miejsce. Tak powiadali ludzie od czasu, gdy po raz pierwszy zbadali Benold. Ale Yul to nie tylko zawalone mury, nie tylko aura niepokoju. Nie, w Yul kryje się coś bardzo starego... i groźnego. Wierzył w to, wyczuła to w jego głosie. Co to było? Itlothis nie mogła zapytać, bo słowa płynęły teraz z jego ust gwałtownym strumieniem.

— Byłem tam. Widziałem... — Przymknął oczy, jakby chciał odpędzić od siebie jakiś obraz. — Nasze Yul na powierzchni jest może w trzech czwartych zniszczone przez czas.

Jednak jego serce wciąż jest żywe. Leży uśpione, ale zaczęło się poruszać.

Uwierz mi, badam

to od kilku lat, przejrzałem wszystkie dostępne archiwa. Rok temu odważyłem się i wziąłem

ze sobą do środka skaner. Dane przesłałem do centralnego komputera. Chcesz wiedzieć, jaką

otrzymałem odpowiedź? Naprawdę chcesz? — Znów nią potrząsnął. — Dobrze, otóż nowe

chodniki kopalni, rozprzestrzeniające się na zachód, zbudziły coś. Ta rzecz jest gotowa do działania...

Itlothis zorientowała się, że jego bezgraniczna wiara w swoją misję wyklucza wszelki spór.

On nie posłucha żadnych argumentów, fantazja opanowała go całkowicie.

— Do działania — powtórzyła. — A więc co to właściwie jest?

— To, co niegdyś żyło w Yul. Właśnie widziałas, jak macki zerwały się do lotu. Cóż, to zaledwie tysięczna część tego, co Yul zdolne jest wyprodukować. Te latające przedmioty to energia, która żywi się także energią. Jeśli znajdziesz się w jej pobliżu, twoje ciało spłonie na popiół. To nie jedyne formy tej istoty. — Znów wyczuła jego napięcie. — Rzecz kryjąca się w Yul może objawiać się pod różnymi postaciami, a wszystkie są nam nie znane i jednakowo dla nas niebezpieczne. Ludzie — a może inne istoty? — wybudowali Yul oraz inne miasta, których ślady zachowały się jeszcze na Benold. Potem... pojawiło się to. Nie wiadomo, skąd się wzięło, może było skutkiem jakiegoś nieudanego eksperymentu, a może przedarło się tu z innego wymiaru, z innego świata? Ci, którzy to znaleźli, uznali je za bóstwo, karmili energią życia, aż stało się ogromne i zapanowało nad całą planetą. I wtedy zniszczyło ludzi, których już nie potrzebowało, albo tylko sądziło, że nie potrzebuje. Kiedy jednak skończyła się energia życia, zaczęło tracić siły. Nie ogarniało już całej planety, musiało wycofać się najpierw na ten kontynent, potem do samego Yul. Przestraszyło się wtedy i przygotowało sobie legowisko. Tam zapadło w sen... i trwało uśpione przez wiele, wiele lat. Jednak ostatnio zostało obudzone przez promienie wycinające nowe tunele w kopalni. One dostarczyły mu energii. Znowu rośnie. Benold zaś jest pełne pożywienia. I... — Musisz ostrzec Radę! Obudź nas. Potrząsnął głową. — Nie rozumiesz. Ta bestia nie może zostać unicestwiona w naszych czasach. Potrafi żywić

się poprzez umysły napotkanych ludzi, pustoszyć ich ciała, odbierać im siły do życia. Nie można schronić się przed nią. Można ją pokonać tylko w przeszłości. Jeśli zanikniemy ją w jej gnieździe, umrze z głodu. Benold będzie wolne.

Itlothis była wstrząśnięta. Oslan oszalał! Musi przecież wiedzieć, że to tylko sen! Co mogą zdziałać we śnie? Może powinna go trochę udobruchać... — Zebrałem wszystkie raporty — ciągnął — i dałem je twórczyni snów. Te fantastki potrafią we śnie powracać do przeszłości. Klienci często interesują się historią. Kazałem jej skoncentrować się na moich zbiorach.

— Ale to jest tylko sen! — wykrzyknęła Itlothis. — Wcale nie jesteśmy na Benold sprzed wieków! Nie możesz zrobić tego...

Tym razem potrząsnął nią brutalnie.

— Nie mogę? No to posłuchaj! Istnieją różne wymiary, światy leżą jeden na drugim.

Wystarczy trochę wiary, by stały się realne. Dla mnie to właśnie jest Benold, które dało początek dzisiejszemu Benold. — Odwrócił się od niej i stanął przodem do ściany. — To wysłało swe macki na polowanie i na nich skupi teraz całą swą uwagę, tylko na nich.

Nadszedł mój czas!

Odnalazł zagłębienie w murze i zaczął wspinaczkę. Itlothis ruszyła się zbyt późno, aby go powstrzymać. Przecież nie może zostawić tu tego szaleńca. Jeżeli pójdzie z nim, sprawiając wrażenie osoby, która uwierzyła jego słowom, może uda się jej nakłonić go do opuszczenia snu? Od chwili, gdy znalazła się w tym fantastycznym świecie, była nieswoja, wytracona z właściwej jej spokojnej pewności siebie. Teraz uczepiła się już tylko nadziei, że jeśli pozostanie z Oslanem, to za jakiś czas zdoła na niego wpłynąć. Usiadła na skale i ściągnęła ciężkie buty. Oswobodziwszy palce rąk i nóg, poszukała szczeliny w murze i zaczęła pięć się w górę po ścianie Yul. Na szczęście nie miała lęku wysokości. Mimo to wołała nie patrzeć w dół. Bała się i nie miała najmniejszej ochoty robić tego, co właśnie zaczęła. Jednak wspiniała się wytrwale. Oslan był już w oknie. Wychylił się, aby jej pomóc. Zeskoczyli z szerokiego parapetu do komnaty o mrocznych zakamarkach.

— Nie mogłaś lepiej postąpić — zauważył Oslan. — W przeciwnym wypadku to mogłoby wyczuć twoją obecność. Zachowuj się cicho, nie wiesz nawet, ile może cię kosztować ten idiotyczny pomysł wtargnięcia w mój sen.

Itlothis stłumiła w sobie gniew. To był szaleniec. Na nic zda się tu sprzeciw, nawet najbardziej subtelny. Nie zaprotestowała więc, lecz skradała się za nim wzdłuż ściany, gdy omijał środkową część pomieszczenia. Pokój, którego ściany, sufit i podłoga zbudowane były z kamienia, okazał się zupełnie pusty. Przez okno za ich plecami sączyło się niewiele światła.

Oslan nie kierował się ku drzwiom, które Itlothis dostrzegła po przeciwnej stronie. Zatrzymał się pośrodku drogi, pod ścianą i wyciągnął ramię, badając dotykiem mur, jakby szukał następnego miejsca do wspinaczki. Jednak, wbrew jej oczekiwaniom, nie podciągnął się, aby zacząć swą drogę donikąd, bo sufit nad ich głowami wyglądał wyjątkowo solidnie. Rozległ się głuchy zgrzyt. Trzy potężne płyty, przed którymi stanął, odsunęły się z łoskotem, ukazując ciemne przejście.

Skąd Oslan o nim wiedział? Oczywiście, we śnie możliwe są różne tajemnicze rzeczy.

Tylko wrażenie realności, jakie sprawiał ten pokój, kłóciło się z logiką. Jak

sen może
wydawać się aż tak rzeczywisty?

— Wchodź — wyszeptał.

Nie ruszyła od razu, więc wciągnął ją do ukrytego korytarza. Próbowwała się uwolnić, kiedy zsuwające się płyty zamykały ich w mroku, który budził w niej przerażenie, wyczuwała w nim nieuchwytną atmosferę zła, tę samą, co w znanym jej Yul. — Tu są schody. — Uchwyt jego dłoni na jej nadgarstku był mocny. — Pójdę pierwszy, a ty trzymaj się ręką ściany.

Puścił ją. Itlothis słyszała tylko stłumione odgłosy jego kroków. Nie mogła wrócić, musiała słuchać jego poleceń. Zaciskając zęby, przestraszona jak nigdy jeszcze w życiu, ostrożnie przesuwiała jedną stopę, aż natrafiła na krawędź pierwszego stopnia. To zejście było niczym zły sen, który osłabił ciało i oblał je lepkiem potem. Niemal nie zwracała uwagi na brak powietrza. Schody ciągnęły się bez końca.

Od kiedy wyszli z pokoju na górze, Oslan milczał, a Itlothis nie śmiała przerywać ciszy.

Nie mogła pozbyć się uczucia, że znajduje się w okolicy czegoś ogromnie niebezpiecznego,
co nie powinno dowiedzieć się o ich obecności. Nagle krzyknęła cicho, czując czyjąś dłoń na swoim ramieniu.

— Cicho!

Przyciągnął ją do siebie. Jej bose stopy utknęły w czymś bardzo miękkim i lekkim, jakby tajemne przejście pokrywał dywan z kurzu liczącego setki lat. Oslan szedł dalej, trzymając ją za rękę. Była z tego zadowolona, bała się nawet pomyśleć, co mogłoby się zdarzyć, gdyby straciła z nim kontakt w tych ciemnościach. W końcu puścił ją i wyszeptał:

— Zaczekaj, muszę otworzyć drzwi.

Itlothis czuła dreszcze. Zobaczyła przed sobą smugę szarego światła. W porównaniu z mrokiem, w jakim dotąd przebywali, wydawało się jej jasnością. Przecinał ją jakiś ciemny kształt. Był to chyba Oslan. Podeszła do niego. Znaleźli się w miejscu, które przypominało pokój na górze, choć jego sufit był znacznie niższy i z lewej strony jedna ze ścian nie była zabudowana. Widzieli za nią rozległą przestrzeń. Nie była ona jednak pusta. W nikłym świetle, a Itlothis nie potrafiła zlokalizować jego źródła, widać było masywne korpusy zaparkowanych tu ciasno pojazdów kołowych.

Oslan zatrzymał się, odwracając głowę w prawo, jakby nasłuchiwał. Potem skinął na nią.

Przy ścianie pozostało wolne przejście, którym ruszyli naprzód. Oslan spieszył się, i tylko od czasu do czasu przystawał, aby zbadać którąś z tych dziwnych maszyn. Za każdym razem był wyraźnie niezadowolony. W końcu dotarli do następnej otwartej ściany. Mężczyzna zatrzymał się nagle, poruszając nozdrzami, jakby dotarła do niego woń wieszcząca zagrożenie. Zachowywał się jak wielkie psy, które widziała podczas polowania.

Tuż przed nimi stał kolejny dziwny pojazd i Oslan wszedł do jego kabiny. Gdy Itlothis ruszyła za nim, zatrzymał ją jednym gestem. Niezadowolona przyglądała się, jak zajmuje siedzenie

kierowcy i bada tablicę rozdzielczą. Surowe rysy jego twarzy złagodniały. Kiwał głową, jakby w odpowiedzi na własne myśli. Itlothis prześlizgnęła się przez ciasne przejście i znalazła obok niego. Fotel, na którym usiadła, był wprawdzie wyściełany, ale niewielki i ciasny; przywarta więc ciasno do niego. Oslan, nie czekając, aż się usadowi, przycisnął dłonią jeden z guzików. Pojazd zatrzęsł się, zawarczał i ruszył do przodu, w otwartą przestrzeń przed nimi.

— Co chcesz zrobić? — spytała Itlothis.

— Zamknąć schronienie.

— Potrafisz to?

— Muszę spróbować. Nie mam wyboru.

Rozsądne porozumienie się z nim nie wydawało się możliwe, był całkowicie zanurzony w swojej fantazji. Musi pozwolić mu doprowadzić ten fantastyczny plan do końca.

Potem, może przerwie swój sen.

— Skąd wiesz, jak to obsługiwać? — spytała.

— To moja druga wizyta w Yul. W pierwszej części mego snu znalazłem się tu dużo wcześniej, kiedy temu służyli jeszcze ludzie.

Gdy go odnalazła, był już od dwóch dni pogrążony w głębokim śnie, a przypuszczała, że we śnie można przeskakiwać lata. Wszystko, co mówił, było jakoś wewnętrznie logiczne.

Pojazd toczył się naprzód. Korytarz zaczął się teraz rozgałęziać, ale Oslan nie zwracał uwagi na boczne przejścia, jechał wciąż przed siebie. Dopiero, kiedy na ich drodze stanęła kamienna ściana, skręcił w lewo. Ta nowa droga była znacznie węższa. Itlothis zaczęła się zastanawiać, czy w końcu nie zatrzymają się, skutecznie zablokowani pomiędzy dwiema ścianami. Od czasu do czasu Oslan przystawał. Podnosił się wtedy na siedzeniu i badał czubkami palców sklepienie. Przy trzecim takim zatrzymaniu krzyknął cicho. Usiadł, ale nie ruszył już maszyny z miejsca. Pochylił się tylko nad tablicą, przypatrując się przyciskom.

— Wysiadaj! — rozkazał, nie podnosząc wzroku. — Uciekaj, biegiem! Siła jego polecenia była tak wielka, że posłuchała, nie zadając już żadnych pytań. Kiedy zeskakiwała na posadzkę, zauważyła tylko, jak jego dłonie wybierają jakąś skomplikowaną konfigurację na tablicy rozdzielczej. Pobiegła z powrotem korytarzem. Nagle usłyszała za sobą zgrzyt maszyny. Kiedy zatrzymała się i obejrzała za siebie, zobaczyła pędzącego za nią Oslana i maszynę poruszającą się bez operatora. Szczęśliwa, że nie została sama, znowu zerwała się do biegu. Oslan dogonił ją i zmusił, by przyspieszyła. Warkot maszyny był już słabiej słyszalny. Dotarli do wylotu głównego tunelu. Oslan wepchnął ją do środka i, nie zwalniając szaleńczego biegu, ruszył tą samą drogą, którą tu przybyli. Kłębiący się w nim strach udzielił się jej, choć nie знаła jego źródła, i biegła z całych sił, jakby sama śmierć deptała im po piętach. Dotarli do jaskini, w której stały pojazdy, kiedy ściany i sufit zatrzęsły się. Huk, jaki temu towarzyszył, ogłuszył ją. Potem zapadł mrok... Coś tropiło ich w ciemności... coś bardzo wściekłego. Itlothis skuliła się. Drżąc ze strachu, otworzyła oczy.

Tuż obok swej twarzy zobaczyła inną twarz, ledwo widoczną w mroku. Zwilżyła wargi, a

własny głos wydał jej się bardzo słaby i daleki.

— Przywódco Rodu, Oslanie...

Przybyła tu, aby go odnaleźć. Teraz ktoś, jakaś rzecz, tropiła ją! Zamrugła powiekami i

otworzył oczy. Popatrzył na nią. Na jego twarzy malował się ten sam lęk, jaki prawdopodobnie i na jej. Zobaczyła, że jego wargi poruszają się. Z trudem rozumiała jego

słowa.

— Już, wie! Szuka nas!

Ta jego szalona obsesja. Może przyda się, aby ich ocalić? Wzięła jego głowę w obie

dłonie, zmuszając go, aby na nią popatrzył. Jakże chciałabym, aby tliła się w nim jeszcze

iskierka rozsądku, pomyślała. Powoli, wymawiając osobno każde słowo, mobilizując całą

swoją wolę, zażądała:

— Przerwij sen!

Strach ją obezwadniał. To, co ich szukało, zbliżało się. Uciec w szaleństwo, ten strach był

gorszy od każdego bólu. On musi! On... To było...

Itlothis zamrugnęła. Światło, dużo więcej światła niż w lochach Yul. Spojrzała na szary sufit. Nie czuła zapachu kurzu ani starości. Wróciła! Zerwała z głowy hełm snu.

Usiadła,

wciąż nie wierząc w to, że wygrała, że oboje zwyciężyli. Szybko spojrzała na sąsiednią

leżankę. Pomocnicy zdjęli już mu hełm, ręce bezwiednie uniosł ku głowie, ale oczy miał

otwarte. Zobaczył ją i otworzył je jeszcze szerzej.

— A więc byłaś prawdziwa!

— Tak. — Czy rzeczywiście wyobrażał sobie, że stanowiła część jego snu? Itlothis poczuła się dziwnie dotknięta tą myślą. Ona naraziła się na tak wielkie ryzyko ze względu na niego, a on sądził, że była fragmentem jego wyobrażeń. Oslan usiadł i rozglądał się dokoła, jakby nie wierzył, że powrócił. Potem roześmiał się, bez gniewu, jak w Yul, raczej triumfalnie.

— Dokonałiśmy tego! — Uderzył płaską dłonią w sofę. — Gniazdo się zawaliło, dlatego ta rzecz była tak wściekła. Yul przepadło!

Wciąż żył swoją fantazją, szaleństwo go nie opuściło. Itlothis poczuła się źle.

Jednak Oslan

Sb Atto był wciąż jej klientem. Nie mogła mu współczuć. Pomyślnie zakończyła swoją misję, teraz musi się nim zająć rodzina. Zwróciła się do medyka:

— Przywódca Rodu jest wyczerpany.

— Wcale nie jestem wyczerpany! — odparł różnym głosem Oslan. — Poczekaj a zobaczysz, Szlachetna Pani, poczekaj!

Była niespokojna podczas ich hiperskoku na Benold, ale Oslan nawet nie wspomniął

o swoim śnie. Nie szukał też jej towarzystwa, pozostawał w swojej kabinie. Jednak gdy tylko znaleźli się na aerodromie ich ojczystej planety, przejął dowodzenie z taką stanowczością, że nawet nie śmiała mu się sprzeciwić. Jeszcze zanim zdołała złożyć meldunek, zabrał ją na pokład samolotu oznaczonego insygniami Atto. Bardziej ją to zaniepokoiło niż rozzłościło.

Miała już bowiem nadzieję, że wyzwolił się spod wpływu tego snu. Zrozumiała jednak, że tak się nie stało, choć znaleźli się na Benold, które nie pochodziło z wyobraźni fantazjotwórczyni.

Kiedy skierował samolot na północ, rzucił jej krótkie spojrzenie.

— Sądzisz, że powinienem dać się reprogramować, prawda Itlothis? Nie odpowiedziała. Będą śledzeni. Udało jej się nadać sygnał, zanim opuścili port.

— Mam ci udowodnić, że nie jestem szalony? Świetnie, zrobię to — samolot osiągnął największą prędkość. Co on chce zrobić?

Nie minęła godzina planetarna i Itlothis poznała odpowiedź. Mały samolot przelatywał nad ruinami. Ale nie było to już to samo Yul, jakie widziała podczas swej pierwszej podróży do Atto. Stała już tylko część murów obronnych. Pomiedzy nimi widać było potężną wyrwę, w której leżało kilka skalnych bloków. Oslan wyłączył silnik i wylądował na samym środku płytkiego zagłębienia. Szybko wyskoczył z kabiny i pomógł jej wysiąść. Nie puszczając jej dłoni, zapytał:
– Widzisz?

To jedno słowo odbiło się głuchym echem od resztek murów.

— Co... — Itlothis musiała przyznać, że było to już inne Yul. Tylko jak uwierzyć w to, że dzieło, którego dokonali we śnie, wiele lat planetarnych temu, spowodowało tu takie zniszczenie...

— Ładunek dosięgnął kryjóWKi! — powiedział z entuzjazmem. — Nastawiłem moc spychacza na maksimum. Kiedy zetknęła się ona z niebezpiecznym punktem, wybuchła. To nie miało już miejsca, gdzie mogłoby ukryć się bezpiecznie i spać! Itlothis trudno było uwierzyć, chociaż zobaczyła wszystko na własne oczy. Kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem. Ślady wybuchu, jaki tu nastąpił, nie wyglądały na świeże; wszystko wskazywało na to, że ta katastrofa wydarzyła się przed wiekami! Rzeczywiście cofnęli się w czasie o całe wieki? Itlothis wydawało się, że to był tylko sen, nocna zmora.

Oslan mówił dalej:

— Czujesz? To zniknęło. Nie ma tu już innego życia!

Stała w jego objęciach. Kiedyś, jako dziecko, gdy dopiero przygotowywała się do służby, była w Yul. Przekroczyła wówczas mury, za które niewielu odważyło się wejść, a już nikt nie pozostał tu dłużej. Doskonale to pamiętała. Oslan miał rację! Zło, które tu tkwiło, przepadło.

Pozostał tylko krzyk morskich ptaków i odległy szum morza. Yul było martwe,

martwe od wieków.

— Ale to był sen! — zaprotestowała oszołomiona. — Tylko sen!

Oslan powoli pokręcił głową.

— To była rzeczywistość. Teraz Yul jest wolne. Jesteśmy tu, aby się o tym przekonać. Powiedziałem ci kiedyś: „wynoś się z mojego snu”, myliłem się — ten sen należał także do ciebie. Teraz to jest nasz świat... puste Yul, wolny świat. A, za jakiś czas, może jeszcze coś... Jego ramiona objęły ją mocniej. Nie ze strachu ani z gniewu. Itlothis spoglądając wprost w lśniące, zielone oczy, wiedziała, że sny, niektóre sny, nigdy nie opuszczają tych, którzy w nich raz zamieszkali.

CZĘŚĆ CZWARTA

SENNA MARA

I

— Ale ja nie znam tego sektora. — Najmłodszy spośród siedzących w pokoju mężczyzn wiercił się w miękkim, komfortowym fotelu, tak jakby okazał się on nagle okropnie niewygodny.

— 1 właśnie dlatego jesteś niezastąpiony w tej akcji — odpowiedział mu chłodno jeden z trzech siedzących naprzeciw mężczyzn, Trystian, na którego pierzastej czuprynie pojawiły się już nikłe ślady upływającego czasu.

— Terrianin z bogatego rodu — wtrącił ten, który siedział po lewej stronie Trystianina — zwiedzający te okolice może zatrzymać się w Ty–Kry i zamówić sobie tam sen, bez wzbudzania podejrzeń czy przymusu odpowiadania na kłopotliwe pytania. Doskonale wiadomo, że bogacze z klasy kredytowej zawsze poszukują nowych przeżyć.

Oczywiście,

będziesz miał nieskazitelną przeszłość.

Burr Neklass wzruszył ramionami. Nigdy nie miał żadnych konfliktów z tym departamentem. Dane, jakich dostarczają, były przygotowywane bez żadnych usterek, doskonale przystosowane dla tego, kto z nich korzystał. Zostanie wyposażony w szczegółową historię swego życia od chwili urodzenia i będzie ona bezbłędnie przygotowana. Nie to było przyczyną jego niepokoju. Zgodnie ze swoją naturą przedstawił zastrzeżenie wprost:

— Nie jestem Esperem.

— I właśnie dlatego zostałeś wybrany — odparł Hyon. — Espera każdy może sprawdzić, a możesz być całkowicie pewny, że oni sprawdzacie bardzo dokładnie, żaden Esper nie miałby więc najmniejszej szansy.

— Jestem zatem przynętą — Burr rozparł się w miękkim fotelu — a wszystko wskazuje na to, że bardzo łatwą przynętą.

Grigor Bnon, jedyny człowiek w składzie wewnętrznej rady, uśmiechnął się. Burrowi wydawało się, że w uniesionych kącikach ust tamtego kryje się szyderstwo. Bnon cieszył się reputacją osoby, która w akcji bywa całkowicie nieludzka i podobno cenil sobie tę sławę.

— Bardzo dobrą przynętą — powiedział łagodnie. — Według danych, jesteś idealnym typem do zastawienia tego rodzaju pułapki, cokolwiek ona oznacza i jakkolwiek zadziała.

— Wielkie dzięki Komandorze! — warknął Burr. — A jeśli powiem nie? Bnon wzruszył ramionami.

— Oczywiście, może stać się i tak. Pamiętaj jednak, że to wyróżnienie. — I chcecie, żebym to zrobił — rzekł cicho Burr. — Czekaliście dość długo, aby postawić mnie w sytuacji bez wyjścia, bo czy powiem „tak”, czy „nie”, będziecie mnie mieli. — Poczul kwaśny smak w ustach, który mógł pochodzić z uświadomienia sobie tej gorzkiej prawdy. —

Jeśli mam wyruszyć zupełnie sam, to co się stanie, jeśli zginę? Dowiecie się czegokolwiek więcej ponad to, co już wiecie? Przecież nie udało się wam zarejestrować tych snów... —

Ton jego głosu podniósł się nieznacznie, tworząc z ostatniego zdania niemal pytanie. Gdyby mogli to obserwować i wydostać go stamtąd w krytycznej sytuacji, cała operacja zyskałaby zupełnie inne oblicze.

— Wprawdzie nie takie, o jakim myślisz, ale wsparcie otrzymasz. Bezsensowna śmierć kolejnego człowieka nie przyniesie nam żadnych korzyści. — Po raz pierwszy odezwał się trzeci spośród obecnych. Miał tak ludzki wygląd, że Burr mógłby uznać go za kolonistę z Terrana. Tylko brak źrenic i tkanina, okrywająca widoczne fragmenty jego skóry, zdradzały jego prawdziwą naturę.

— Cieszę się, Mistrzu Illan, że to usłyszałem. — Burr starał się, by jego odpowiedź zabrzmiała dość ironicznie.

Illan zdawał się nie zwracać uwagi na jego słowa.

— Dostarczymy ci twórczynię snów. Wiem, że zostałeś szczegółowo poinformowany i doskonale ci wiadomo, że fantazjotwórczynie są wynajmowane albo sprzedawane przez Rój.

Jeśli właściciel umrze, twórczyni musi zostać zwrócona; rodzinie właściciela zwraca się wtedy połowę ceny. Jeśli jest ponownie wynajmowana, to tylko na określony czas. Przed dwoma laty Osdeve, Pan Ulay, zakupił fantazjotwórczynię o randze dziesięciu punktów. Był już ciężko chory na gorączkę kaffar. Umarł przed dwoma dniami. Ta fantazjotwórczyni, Uahach, musi teraz wrócić do Roju. Panuje taki zwyczaj, że jeśli twórczyni wraca, przynajmniej przez rok nie jest sprzedawana, gdyż każdy właściciel czy wynajmujący dostosowuje jej umiejętności do własnych upodobań, musi więc odpocząć, zanim będzie można zaprogramować ją ponownie. Jednak Matka Foost z Roju nie zniosłaby tak długiej bezczynności. Zgodzi się więc na to, by Uahach śniła w Roju, jeśli ten, kto zapłaci za czas tej dziewczyny, zaaprobuje każdy sen i nie będzie przedstawiał własnych wymagań. Będziesz zatem turystą, który chce po prostu popробować snu jako atrakcji w podróży. Dlatego Uahach będzie ci odpowiadała tak jak każda inna dziewczyna. Słyszałeś o niej kiedyś i właśnie dlatego prosisz o nią... —

Hyon zamilkł, aby zacerpnąć tchu i Burr wtrącił pytanie:

— Jak mogłem o niej słyszeć, jeśli nigdy przedtem nie byłem wTy–Kry? — Trzy lata temu Osdeve wyruszył w podróż. Odwiedził Melytis. Ten, którym będziesz w Ty–Kry, poznał go tam. Właściwie to jego opowieści o snach zwabiły go do Ty–Kry. Burr lekko zmarszczył brwi. Nie miał wątpliwości co do ich spotkania na Melytis, będzie ono tak fachowo udokumentowane, że starczy za prawdę. Niepokoiła go inna kwestia.

— Ta Uahach, czy mogę być jej pewny?

— Jest agentką... a raczej będzie nią, gdy wróci do Roju — wyjaśnił Bnon. — Dzięki

wbudowanej masie plastycznej, zamieni się w Uahach; ona jest Esperką i od jakiegoś czasu trenowała sztukę snu. Była przygotowana na długo przedtem, nim komputer wybrał ciebie.

Ta nieznajoma „ona”, stwierdził Burr, ryzykuje o wiele więcej, niż oczekiwano od niego.

Twórczynie snów miały talent wrodzony, choć przechodziły surowy trening, zanim zyskiwały status twórczyni snów klasy A lub E. Dopiero wtedy mogły poprowadzić kogokolwiek przez wymaginowany świat.

— Tak, jest jedną z nas — znów podjął wątek Hyon. — Zebraliśmy się tu właśnie dlatego, że ona została zwolniona. Musieliśmy poczekać na takie okoliczności. Pięć śmierci i żadnej odpowiedzi! — Trystianin po raz pierwszy uzewnętrznił swoje uczucia. — Tworzą też jakiś wzór: dwóch dyplomatów, inżynier, który dokonał ostatnio ważnego odkrycia i stał się tak bogaty, że zamierzał założyć własne laboratorium, dwóch posiadaczy tak wielkich majątków, że ich senna śmierć narobiła niezłego zamieszania w całej galaktyce. Ktoś maci morskie wody, by zbierać resztki statków rozbitych podczas burzy. — Może wszyscy oni mieli słabe serca... Słyszałem, że przygody we śnie wymagają niekiedy mocnych nerwów — zauważył Burr, choć sam nie wierzył w to, co mówił.

Bnon warknął:

— Nie będziesz śnił w Roju, jeśli nie przedstawisz Matce Foost świadectwa zdrowia.

Mogą nie wiedzieć, co dzieje się z właścicielem fantazjotwórczyni, ale jednorazowa wyprawa w sen w Roju jest zawsze nadzorowana, po to, by nic takiego się nie zdarzyło. Nie chcą, żeby padło na nich podejrzenie, iż zabijają swoich klientów. To zrujnowałoby całe przedsięwzięcie.

— A jednak zdarzyło się — zauważył Burr. — Pięć razy.

— Pięć razy w ciągu jednego roku planetarnego — potwierdził Hyon. — Jeżeli te wypadki zostały z góry zaplanowane, to są dość lekkomyślne — mruknął Burr bardziej do siebie niż do pozostałych. — Sądzę, że musiały się spodziewać, że władze przeprowadzą jakieś śledztwo.

— Władze planety — odrzekł Hyon — zrobiły już wszystko, co mogły. Nie mogą jednak zamknąć Roju, nie wolno im nawet przesłuchiwać twórczyń snu, gdyż miałyby to fatalne skutki. Ty–Kry jest dumne ze swoich snów. Wszyscy zmarli byli spoza planety, więc ich śmierć nie wywołała poruszenia wśród jej mieszkańców. Poza rym Yilland i Wyvid podróżowali incognito i prywatnie. Władze są jednak na tyle zaniepokojone, że wezwały nas — co, jak na nie, jest i tak rewolucyjnym posunięciem, zważywszy na ich niechęć wobec oficjalnych kontaktów z innymi światami. Zastrzegły sobie jednak, że nie będziemy działać jawnie, a one oficjalnie nie będą nam pomagały w naszych badaniach. Burr uśmiechnął się niewesoło.

— Czy wiedząc podstawionej przez was fantazjotwórczyni? — Nie. I nie mają się dowiedzieć. Rój ma monopol na sny. Jeśli dowiedzą się, że twórczynię snów można wyprodukować sztucznie, będziemy mieć przeciwko sobie całą planetę. Istnienie tych dziewcząt ma tu wartość niemal religijną i nie powinniśmy się w to mieszać.

— Co uczyni mnie na tyle ważnym, że może spróbują swojej gry po raz szósty? — dopytywał się Burr.

— Burr Neklas został właścicielem asteroidu, który jest niemal czystym Byolitem

—
odparł Hyon.

Burr uniósł brwi z niedowierzaniem.

— Istnieje coś takiego? — zapytał z powątpiewaniem. — Owszem, istnieje. Jest kontrolowane przez siły Patrolu. I zarejestrowane na twoje nazwisko. Nie masz bliskiej rodziny, więc... — Hyon zawiesił głos, jakby pragnął nadać szczególne znaczenie temu, co zamierzał powiedzieć — jeden z twoich partnerów z Neklass Enterprise wyjawiał, z najwyższą ostrożnością, ale i na tyle jasno, by zostać dobrze zrozumianym, że w wypadku twojej śmierci Bylotite zostanie włączone do twego majątku.

Nie wątpię, że w kartotekach, może jeszcze nie w Ty-Kry, bo byłoby to zbyt nachalne, znalazł się już testament, w którym zapisujesz swój majątek temu, kto zaoferuje najwyższą cenę za twoje życie.

— Świetnie, znalazłem się między młotem a kowadłem, co? — Zachmurzył się Burr.

—
Jestem świetną przynętą dla mordercy. Więc dobrze, kiedy mam złożyć sam siebie jako ofiarę na ołtarzu Roju?

— Natychmiast zostaniesz wyposażony w nowy życiorys — powiedział Hyon. —

Potem

polecisz prywatną rakieta do Ty-Kry. Tam postarasz się, aby zauważono cię jako bogacza,

który chętnie spróbowałby czegoś niezwykłego. Myślę, że nie będziesz miał trudności w

dotarciu do Roju, a tam poprosisz o Uahach...

— I zapadnę w miły, śmiertelny sen — dokończył Burr. — Dziękuję wam wszystkim za to wspaniałe zadanie. Będę o was pamiętał w swoich snach!

II

Jej figura ginęła w ponurym, szarym worku szaty, włosy miała obcięte tak krótko przy głowie, że nie miały nawet pół palca długości, ułatwiało to dopasowanie hełmu snu; szczupłe ciało, wyłaniające się z transportowego fotela, mogło należeć zarówno do dziewczynki, jak i do staruszki. Jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Gdy szła, zachowywała się jak ktoś, kto nie opuścił jeszcze świata snu, w którym żył. Strażnik otworzył przed nią drzwi i wsunęła się w bezszelestne, dyskretne zacisze Roju. Idąc głównym korytarzem, nie zmieniła skupionego wyglądu, choć chłonęła obraz, którego nigdy przedtem nie widziała, a który był jej doskonale znany dzięki przesłaniu wiadomości z umysłu do umysłu. Nie była już LudiąTanguly, stała się Uahach, fantazjotwórczynią klasy A, z dziesięciopunktową rangą. Z górą dwa lata temu opuściła Rój, do którego dziś wraca. Na szczęście zdołali dotrzeć do myśli twórczyni i teraz rozpoznawała wszystko, co niegdyś widziała jej poprzedniczka, znała też dobrze rytuał powrotu. Stała przed drzwiami po prawej stronie i czekała bez ruchu, aż wykryje ją badawczy promień. Kiedy brama rozsunęła się na dwie strony, weszła. Pokój był mały, stały w nim dwa krzesła, nie miękkie fotele, ale meble starego typu, z twardymi siedzeniami. Wyglądało na to, że Matka Foost nie dbała o wygodę tych, którzy przybywali tu, aby z nią rozmawiać. Pomiedzy krzesłami, w zasięgu ręki przywódczyni Roju, stał kontroler pamięci. Na jednej ze ścian widoczny był duży ekran. Matka Foost siedziała, oczekując przybycia Uahach. Nie powitała jej żadnym słowem, podniosła tylko rękę na znak, że fantazjotwórczyni może usiąść na drugim

krześle.

— Nie spieszyłaś się — zauważyła. — Twój ostatni pan umarł cztery dni temu — ciągnęła monotonnym głosem. Jeśli jej słowa miały być pytaniem, zabrakło w nich intonacji. Jeśli miały być wyrzutem za opieszałość, trzeba było się tego domyślić. — Następca mego pana zwolnił mnie zaledwie przed godziną. Natychmiast użyłam przesyłacza obrazu. — Głos Uahach był tak samo pozbawiony wyrazu. Jej ręce opadły bezwładnie na kolana i siedziała w pozycji osoby, która całe życie słuchała cudzych poleceń.

— Racja. Rój był zmuszony przypomnieć panu Ylph, że zawarliśmy kontrakt z jego poprzednikiem. Ta opieszałość w zwolnieniu cię została już odnotowana w naszych kartotekach. Może sądził, że uda mu się coś wytargować... masz wysoką rangę i twój pan był zadowolony z twoich usług. My się jednak nie targujemy. Wróciłaś więc. Twoje sny zostały już wciągnięte do archiwum. Teraz nie będziesz tworzyć. Ten Osdeve wymagał od ciebie wielu poszukiwań, może się nawet okazać, że musisz być poddana wymazaniu. — W oczach Matki Foost pojawił się teraz cień emocji. — Musimy jednak zbadać do końca twoje nagrania, nie chcę nakazywać niepotrzebnych wymazań. Uahach pozostała na pozór niewzruszona, ale w jej wnętrzu odezwał się instynkt samozachowawczy. Czy Corps Master to przewidział? Poddanie się wymazaniu oznaczałoby zniszczenie wszystkiego, do czego została przygotowana. Gdyby tak się zdarzyło, zostałyby prawdziwą Uahach.

— Bo widzisz — wąskie usta Matki Foost wyrzucały każde słowo, jakby wycinała je nożem — przybywa do nas coraz więcej klientów nowego typu, wędrowców z innych światów, którzy poszukują nowych doznań. Materiał, jaki dostarczałaś Lordowi Osdeve, to głównie sny–przygody. Mogłabyś zostać w Roju bardzo długo i obsługiwać tych przybyszów.

To, co masz do zaoferowania, byłoby dla nich zupełnie nowe.

— Mam dziesięć punktów — odezwała się Uahach.

— Jesteś za dobra do pracy w Roju? — Matka Foost skinęła głową. — Prawda. Musisz się jednak oczyścić, zanim znów zostaniesz wynajęta na zewnątrz. Bądź pewna, że zostaniesz należycie doceniona.

— Ta decyzja, jak i wszystkie inne, pozostaje w twoich rękach — odpowiedziała zgodnie ze zwyczajem. Bnon miał rację, pierwszy ruch w tej grze został już wykonany. — Jesteś prawdziwą fantazjotwórczynią. — Matka Foost sięgnęła po słowa konwencjonalnego pożegnania. — Przydzieliłam ci komnatę Pancernego Suxsux. Zamów wszystko, czego możesz potrzebować. Twój kredyt nie jest ograniczony. Uahach wstała i podniosła dłoń do czoła, Matka Foost odpowiedziała jej dokładnie tym samym gestem. Przydzielenie jej nieograniczonego kredytu w Roju oznaczało, że była bardzo cennym towarem. Idąc korytarzem i wspinając się po dwudziestu schodach na następne piętro, zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Ponieważ Matka Foost powiedziała, że będzie na razie służyć w Roju, ma pełne prawo dowiedzieć się wszystkiego, czego potrzebowała.

Kolekcja taśm znajdująca się w bibliotece Roju stanowiła najznakomitszy zbiór wszelkich informacji pochodzących z całej galaktyki z wyjątkiem miejsca, w którym znajdował się sztab Patrolu. Opowieści podróżników z tysięcy światów, historia, najdziwniejsze zdarzenia, wszystko to, co mogło wzbogacić wizje, jakie twórczynie snów wysnuwały dla swoich klientów, pozostawało do dyspozycji mieszkańek Roju. Czy jednak istniała jakaś metoda, aby odnaleźć te taśmy, z których korzystały obie podejrzane twórczynie snów? Tego nie zdołano sprawdzić. Znała jednak ich imiona:

Isa i Dynamis. Obie tworzyły sny o przygodach, ale chyba żadna nie osiągnęła rangi dziesięciu punktów, żadna z nich nigdy nie była zatrudniona poza Rojem. We wspomnieniach Uahach, przeniesionych tak dobrze jak tylko pozwoliła na to nauka na usługach Patrolu, majaczył mglisty obraz Isy. Dynamis nie znała zupełnie. Była to młoda stażem fantazjotwórczyni, jedna z Późnych — jej talent objawił się dopiero kiedy była już dorosła, a nie we wczesnym dzieciństwie, jak u większości z nich, odkrywanych i szkolonych od dziecka.

Isa przeżyła obydwa sny, które zabiły jej klientów, jednak z trudem. Jej egzystencja, według wszystkich oglądających ją specjalistów, przypominała byt rośliny. Dynamis miała więcej szczęścia. Niemniej Matka Foost uznała, że będzie musiała przejść powtórny, długi trening. Procedura snu, jaka odbywała się w tym świecie, nie należała do zbyt skomplikowanych. Maszyna łączyła klienta i twórczynię snów poprzez nakrycia głowy, dziewczyna popadała w stan wizjonerskiego transu, a jej klient przeżywał tam niesłychane przygody, których rodzaj określał wcześniej. W ten sposób mógł cofnąć się w przeszłość, badać obce światy, wędrować po wymyślonych drogach przyszłości. Jeśli życzył sobie długiego snu, mogli spać tak cały tydzień, odżywiani dożylnie. Klient mógł jednak przerwać sen w każdej chwili. Mimo to pięciu ludzi wyśniło własną śmierć i nigdy się już nie obudziło.

Jeden taki wypadek, może dwa, mógł zostać spowodowany przez błąd maszyny, słabe serce, albo jakiś inny nieszczęśliwy przypadek, ale pięć — to było zbyt wiele. Uahach wiedziała, że Matka Foost osobiście sprawdzała maszynę wtedy, kiedy śnić miał ktoś znaczny. Żądała także od każdego potencjalnego klienta, i władze wspierały ją w tym żądaniu, świadectwa zdrowia. To zaś wydawano tylko po badaniu, którego nie dało się sfalszować. Ty–Kry nie życzyło sobie skandalu, który już i tak stał się zbyt głośny. Z usług twórczyni snów od dawna korzystali mieszkańcy planety, ostatnio jednak stały się one najważniejszą atrakcją turystyczną, a ci, którzy władali miastem, w pełni doceniali jej wartość. Pomimo tych środków ostrożności jedna z fantazjotwórczyni popadła w obłęd, a pięciu ludzi nie żyło. Pięciu takich, których śmierć mogła przynieść korzyść komuś innemu.

Było to ciężkie podejrzenie, ale wciąż brakowało dowodu. Podeszła do drzwi, na których widniało namalowane to samo opancerzone stworzenie, o którym wspominała Matka Foost. Wiedziała, że znajduje się za nim jeden z najbardziej pożądanых w tym mrowisku, pojedynczych pokoi. Rzeczywiście, mogła być pewna, że jej wartość dla Roju pozostała niezmiennie wysoka. Choć tym, które nigdy nie znalazły się w podniebnej wieży swego pana, pokój ten mógł wydawać się luksusowy, w rzeczywistości był on niewielkim, skromnym pomieszczeniem. Stała w nim leżanka, uformowana ze stosu miękkich poduszek, obleczonej w ponure, ciemne szarości i zielenie; nic nie mogło rozpraszać uwagi twórczyni snów, odrywać jej od pracy. Na jednej ze ścian znajdował się ekran z blokiem odtwarzacza, w który można było wpasować każdą żadaną taśmę. Na przeciwległej ścianie widniała niewielka tablica z rzędem przycisków. Służyły one do zamawiania słodkawych, niemal pozbawionych smaku, posiłków bogatych w białko i inne składniki odżywcze, stanowiących zwyczajne pożywienie twórczyni snów. Za zasłoną znajdowała się mała łazienka. Była także szara, wyłożona miękkim dywanem. Uahach usiadła na posłaniu, zastanawiając się, czy Matka Foost ma jakieś metody kontrolowania pomieszczeń swoich dziewcząt. Z pewnością i o tym nie zapomniła, przecież nigdy nie spuszczała ich z oczu.

Panowała tu niezwykła cisza, nie dochodził żaden dźwięk z zewnątrz, choć Rój pełen był ludzi. Fantazjotwórczyni, w jej komórce, nic nie może przeszkadzać w pracy. Dla niej cisza na pewno nie jest uciążliwa. Jej życie stanowią sny, a świat spoza nich

wydaje się mroczny i nieciekawym.

Podeszła do tablicy i wybrała wzór napoju. Po chwili sięgnęła po mały kubeczek gorącego płynu. Usta miała spieczone, jak zwykle w obliczu nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Suchość języka i warg, wilgotne dłonie stanowiły znak, by sięgnąć po wyuczone techniki.

Czekanie jest zawsze trudne. Kiedy od razu przystępuje się do akcji, można zapomnieć o sobie, zagubić się w działaniu. Jednak siedzieć i czekać... Ile czasu upłynie, nim przybędzie tu drugi gracz wystawiony przez Hyona? Nie wiedziała nawet, kim on był, ani na ile może na nim polegać. A nie lubiła pracować po omacku. Ta nie przypominała żadnej z akcji, w których dotąd uczestniczyła. Z każdą upływającą minutą coraz mniej jej się to wszystko podobało.

III

— Więc proszę o tę Uahach.

Dłonie Matki Foost spoczywały na krawędzi tablicy kontrolera pamięci. Zaszczyciła Burrę nieruchomym spojrzeniem tak pozbawionym wszelkiego wyrazu, że zaczął się zastanawiać, czy zwierchniczka Roju sama nie przebywa w jakimś śnie. Potem odezwała się głosem wypranym z emocji:

— Mówisz, że opowiadał ci o niej Lord Osdeve. Tak, wynajmował ją. Musisz jednak zrozumieć, panie, że ona nie może jeszcze przyjmować nowych zamówień, wróciła do Roju zaledwie dwa dni temu. Nie będziesz miał możliwości wyboru przedmiotu swego snu... Burr otworzył sakiewkę umocowaną przy pasie i wyciągnął srebrną płytkę kredytu. — Nie zależy mi na serii stworzonej tylko dla mnie. Tak naprawdę, to jestem po prostu ciekaw, jak wyglądają te słynne sny Ty–Kry. To, co wymyśliła dla Lorda Osdeve, będzie dobre i dla mnie. Chcę zyskać jakieś nowe doświadczenie, to wszystko. Wzrok Matki Foost przez dłuższą chwilę zawisł na płytce kredytu. Burr nigdy przedtem nie trzymał takiego w dłoni: nie ograniczony kredyt, waluta przyjmowana na każdej planecie, gdzie znajdowały się poselstwa Rady.

— Pojedynczy sen — powiedziała Matka Foost — kosztuje więcej, ponieważ twórczyni nie ma zabezpieczenia na przyszłość.

Burr wzruszył ramionami.

— Cena nie gra roli. Ale chcę Uahach. Osdeve tyle mi opowiadał o jej snach, kiedy widziałem go po raz ostatni.

Matka Foost znów obrzuciła go tym spojrzeniem bez wyrazu. Równocześnie jednak sięgnęła do przycisków na małej tablicy i nacisnęła dwa z nich. Na ekranie pojawił się jakiś wzór. Przyglądała się mu przez chwilę, a potem zacisnęła dłoń na płytce kredytu. — Jeszcze nie zaczął się proces rozprogramowania. Doskonale, jeśli zgadzasz się na serię Osdeve'a, można to zrobić. Czy masz świadectwo zdrowia i równowagi psychicznej? Wyjął kolejną perforowaną płytkę. Wzięła ją i wsunęła do otworu w tablicy rozdzielczej kontrolera. Rozległo się kilka stuknięć i wzór na ekranie zmienił się. — Czym grozi taki sen? — Postanowił przejść od razu do rzeczy. Jako przybysz z innego świata, nie znający zwyczajów Roju, mógł przecież zadać takie pytanie. — Dziesięciopunktowa fantazjotwórczyni klasy A — odpowiedziała Matka Foost — tworzy sny tak żywe, że klient ma wrażenie, iż znajduje się w prawdziwym świecie. W takiej sytuacji napięcie, obciążające serce i umysł, może prowadzić do poważnych

następstw.

Oczywiście, pragniemy tego uniknąć. Mamy również medyka, który stoi obok.

Ostateczna

decyzja, co do przerwania snu, należy jednak do klienta. Jeśli sen mu nie odpowiada, może z

niego zrezygnować. Będiesz połączony z umysłem fantazjotwórczyni, która natychmiast

odbierze twój sygnał i uwolni cię.

— Ryzyko jest zatem nieznaczne — mruknął Burr.

— Oczywiście. — Matka Foost najwyraźniej nie zamierzała wspominać o ostatnich wypadkach w Roju. — Kiedy chciałbyś skorzystać z usług Uahach? — Może od razu? — zaryzykował Burr. — Pozostałe pięć dni mam spędzić u Lorda Erlvina.

Sądzę, że poczynił on jakieś przygotowania, których nie będę mógł zmienić.

Matka Foost trzymała srebrną płytkę kredytu między kciukiem a palcem wskazującym.

Znowu wbiła w niego wzrok, ale tym razem Burr był przekonany, że stara się przeniknąć nie jego, lecz raczej własne myśli.

— Uahach jest wolna, to prawda. Potrzebne są jednak pewne przygotowania. W tej chwili wszystkie pokoje snu są zajęte. Jeżeli zgodzisz się, aby powrócić po południu, wszystko będzie gotowe.

— Świetnie. — Burr pochylił się do przodu i wyjął z jej dłoni płytkę kredytu. Trzymała ją wciąż, jakby nie miała zamiaru oddać. Przez chwilę usiłował zgadnąć, ile widziała takich płytek. Całkowite kredyty podróżne nie mogły zdarzać się zbyt często w galaktyce.

Udał się na obiad do najlepszej restauracji w Ty-Kry. Jadł niewiele, dokonując starannego wyboru z przedstawionej mu listy dań i korzystając z płytki, która tak zauroczyła władczynię Roju. Zrobiono wszystko, aby zapewnić mu bezpieczeństwo (poza, oczywiście, odwołaniem akcji). Miał jednak zmierzyć się, z przerażającym nieznanym. Kiedy powrócił do Roju, zaraz zaprowadzono go do pokoju zastawionego niemal całkowicie przez dwie leżanki. Pomiędzy nimi stała maszyna, a na sofie po prawej stronie leżała już jakaś dziewczyna, z twarzą osłoniętą hełmem aż po linię nosa. Identyczne nakrycie głowy czekało na niego. Fantazjotwórczyni oddychała powoli i głęboko, Burr zastanawiał się, czy dziewczyna już śpi.

Dwóch pomocników, jeden ze znakiem służby medycznej, przywitało się z nim i w mgnieniu oka ułożyło na drugiej leżance, zakrywając mu oczy miękkim wyściełanym hełmem. Głęboko wciągnął powietrze. Teraz nie miał już odwrotu, stało się! Pogrążył się w mroku, czuł się tak, jakby kręcił się i kołysał w powietrzu. Potem ogarnęła go struga światła, jakby, pozbawiony hełmu, leżał w ciepłym słonecznym blasku. Usiadł powoli i rozejrzał się wokół. Tego się nie spodziewał... czuł się swobodnie, świat dokoła wydawał się całkowicie rzeczywisty. Na próbę pociągnął kępkę szarozielonej trawy. Najpierw oparła się, potem poddała temu pociągnięciu i korzenie oddzieliły się od czerwonej ziemi. On... to... wyglądało tak prawdziwie!

Wokół wznosiły się niewielkie wzgórza i pagórki, tworzące obramowanie dla kotliny, w której się znalazł. Na szczycie każdego wzniesienia widniał pionowy kamień, wygładzony wiatrem i deszczem, ale na pewno nie ustawiony siłami przyrody. Nigdy przedtem Burr nie widział podobnego krajobrazu. Powoli wstał. Sen kategorii A zwiastował przygody. Ta pęsejna okolica stwarzała wrażenie niebezpiecznej, choć w

zasięgu jego wzroku nie było widać nikogo, nie spostrzegł też żadnych oznak życia. W górze nie krążyły ptaki, w powietrzu nie było słychać ani widać żadnych owadów. To miejsce opustoszało jeszcze, zanim kurtyna została podniesiona i rozpoczęło się przedstawienie.

Zwrócił uwagę na najbliższe z okrągłych wzgórz. Uznał, że z jego szczytu na pewno zobaczy coś więcej niż z tego zagłębienia. Zaczął się wspinać ku ukoronowanemu skałą wierzchołkowi. Wysoką górę porastała ta sama szarozielona trawa, której kępkę wyrwał.

Zbocze było strome i śliskie, potykał się więc i musiał czepiać się trawy, aby nie ześlizgnąć się z powrotem w dół, do miejsca, w którym rozpoczął swą wędrówkę po tym sennym świecie. Kiedy znalazł się na szczycie, obrócił się powoli, obserwując okolice. Wzgórza z utkwionymi na nich kamiennymi kolumnami ciągnęły się bez końca w kierunku, który uznał za północny. Jednak na południe było ich już tylko kilka, a dalej rozciągała się szeroka równina, wysadzana licznymi kamieniami, które były tak zgromadzone, że sprawiały wrażenie ruin jakiejś starożytnej budowli — a może kilku? — dawno już przemienionej w gruz za sprawą czasu, czy też jakiejś odległej katastrofy. Nad tym nieruchomym światem zalegała potworna cisza. Nagle dotarło do niego jakieś drżenie, raczej wyczuwalne niż słyszalne. Tak, jakby sama ziemia oddychała, powoli i z trudem. Burr poczuł ochotę, by krzyknąć, wydać z siebie jakiś dźwięk, który przerwałby tę okropną ciszę. Nie ufał temu, co zobaczył, a jego nieufność wynikała nie tylko z otrzymanych wcześniej ostrzeżeń. To naprawdę było... groźne, choć nie potrafił określić, na czym polegało. Sięgnął dłonią do pasa, czy raczej do miejsca, w którym powinien znajdować się jego pas, instynktownie poszukując oszałamiacza, który każdy rozsądny człowiek ma przy sobie w nieznanym terenie. Jego palce musnęły nagą skórę i po raz pierwszy przyjrzał się samemu sobie. Nie nosił już tego dziwaczного stroju, jaki zaprojektowano dla Burra Neklassa — kredytowego krezusa. Jego skóra była wyraźnie ciemniejsza. Miał na sobie spodnie z tkaniny w stalowym kolorze, wyglądały na elastyczne i opinały go ściśle niczym druga skóra. Na nogach miał coś tak miękkiego, jakby również wykonanego z tkaniny, ale solidnie podbitego grubym, czerwonym materiałem. Wierzchnia część tych niby-butów była obszyta lśniąca czerwona nitką, dokładnie obrysowując każdy ukryty w nich palec. Nad talią znajdowały się dwa szerokie pasy materiału nie opasujące go jednak, lecz biegnące jeden przez prawe, drugi przez lewe ramię. W miejscu, gdzie krzyżowały się na piersi, były połączone broszą wielkości dłoni, wykonaną ze srebrnego metalu i wysadzaną kamieniami o różnych odcieniach czerwieni — od głębokiej po jaskrawą barwę pomarańczy. Na każdym barku nosił osłony z tego samego metalu, ale jedna była wysadzana kamieniami w różnych odcieniach czerwieni, druga — żółci. Ten strój wydawał się Burrowi ubiorem jakiegoś barbarzyńcy z innego świata, choć przyznawał, że wykonany był po mistrzowsku. Nigdy przedtem nie widział czegoś podobnego.

Nagły ruch pomiędzy zwalonymi kamiennymi blokami gruzów spowodował, że przykucnął ostrożnie, kryjąc się za głazem, wznoszącym za jego plecami na szczycie wzgórz. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak głupio postąpił, nie ukrywając swej obecności tutaj. Coś przemykało, kryjąc się pomiędzy kamieniami, tak szybko, że dostrzegał tylko sam ruch. Nie był nawet pewny, czy miał do czynienia z istotą ludzką. Ten paradny strój z pewnością nie zapewni mu bezpieczeństwa. Klęcząc za kamieniem, rozejrzał się dookoła za jakimś uzbrojeniem. Wypatrzył wreszcie kamień, który wziął do ręki. Zwykle klient wie, czego ma się spodziewać we własnym śnie, sam go przecież zamawia.

Burr musiał przyjąć świat zgodny z życzeniami Osdeve'a, przeniesiony do umysłu pseudo-

Uahach. Nie miał pojęcia, czego ma się spodziewać poza kłopotami. A te chyba właśnie teraz zmierzały w jego stronę.

IV

Było ich więcej... Burr odetchnął głęboko, zaciskając palce na kamieniu tak mocno, że szorstka powierzchnia raniła mu opuszki. Coś kryło się za dwoma kamiennymi blokami, wciąż jeszcze ułożonymi jeden na drugim; nieco na prawo coś innego poruszyło się, z tą samą błyskawiczną, płynną prędkością i ukryło, nim zdołał zobaczyć cokolwiek poza czystym kolorem — ostrym błękitem, który przemknął wśród kamieni. Nie miał pojęcia skąd, ale wiedział, że polują właśnie na niego. Może Osdeve lubił ten typ emocji... ucieczka, tropienie; może z powodu choroby dręczącej go przez ostatnie lata wybierał sny, w których sprawdzał swą siłę w walce. Burr spojrzął przez ramię na pasmo wysokich wzgórz, ciągnących się za nim aż po linię horyzontu. Może mógłby uciec, spróbować czegoś, co nie musiało zamienić się w morderczą zabawę w chowanego wśród wzgórz. To jednak odwlekłoby tylko zdarzenia tego snu. Nie, zostanie tu, gdzie jest, dopóki nie okaże się, że niebezpieczeństwo stało się już tak wielkie, że nie może mu stawić czoła.

Chyba straciły go z oczu, a niecierpliwość wywabiła je z ukrycia. Ciągłe się przesuwają, ale tym razem były już widoczne. Potem, w pewnej odległości od siebie, trzy dziwadła zastygły niczym kamienne figury, jakby nieruchomiejąc również próbowały ukryć swoją obecność. Burr, który przewędrował wiele światów, dawno już przestał się dziwić czemukolwiek, co różniło się od jego przyzwyczajęń. Te stwory były jednak na tyle dziwaczne, że przykuły jego uwagę. Z tej odległości trudno było określić ich wielkość, ale był przekonany, że wszystkie trzy są od niego wyższe. To były ptaki, a może istoty podobne do ptaków. Ich korpusy, osadzone na długich, cienkich nogach, były pokryte jaskrawym, niebieskim lub zielonym pierzem (jeden był zielony, dwa niebieskie), które na ogonach przechodziło w puszyste pióra. Miały ogromne głowy uwieńczone pierzastymi czubami, wielkie oczy i dzioby o przerażającym wyglądem, ostre niczym krótkie miecze Harkimana.

Te nieproporcjonalnie duże głowy sterczały na długich, niezwykle giętkich szyjach, zupełnie pozbawionych upierzenia, odsłaniających szerokie pasmo łuskowatej skóry. Nie wyglądały przyjaźnie. Burr wiedział, był pewny, że to on jest celem tego polowania, a te ptaki to śmiertelni wrogowie jego gatunku.

Teraz nie były już spokojne. Ten zielony uniósł troszeczkę głowę, wyprostował szyję.

Kierował się wprost na Burra. Mężczyzna zaczął podejrzewać, że pozostając tutaj, mimo wszystko dokonał złego wyboru. Choć prędkość, z jaką te ptaszyska przemieszczały się wśród ruin upewniła go, że ucieczka skończyłaby się dla niego fatalnie. Czy tak właśnie umarli tamci? Czy zostali upolowani, niekoniecznie zresztą przez stojące przed nim pierzaste potwory? Przypomniał sobie przestrożę Matki Foost: może się obudzić... Zielony wykonał potężny skok, który przeniósł go spomiędzy kamiennych bloków. Przesunął się niczym figura w szachach na szczyt pobliskiego wzgórza, nieco niższego od tego, na którym schronił się Burr. Nie ma co udawać bohatera, nadszedł czas, by się obudzić.

W odpowiedzi na jego żądanie, przeraźliwe polowanie wcale się nie zakończyło, za to powietrze przeszył błysk. Tuż obok chroniącego go głazu tkwiła wbita głęboko w

ziemię dzida, wciąż jeszcze lekko rozedrgana od impetu, z jakim ciśnięto jaw przestrzeń. Ręka Burra instynktownie zacisnęła się na drzewcu. W tej samej chwili zaskoczył go jakiś krzyk dochodzący z północy. Głowa zielonego ptaka obróciła się w tym kierunku. Burr wyciągnął ostrze z ziemi. Jego umysł opanowała w tej chwili tylko jedna myśl: sen nie został przerwany, mimo jego żądania! Zważył w dłoni broń. To było to! Teraz może tu pozostać. Pseudo—

Uahach, która zdołała wprowadzić go do tego świata, nie może go z niego oswobodzić.

Odezwała się w nim uparta wola, nigdy przecież się nie poddawał. Ktoś rzucił mu broń, choć wydawała się ona bardzo mała w porównaniu z wielkością i szybkością wrogów. Ktoś odwrócił uwagę ptaka... Burr przesunął się, usiłując nie spuszczać ptaków z oczu, a równocześnie sprawdzić, kto go uratował. W tej samej chwili zielony ptak po raz pierwszy wydobył z siebie głos — przenikliwy, raniący uszy wrzask. Potem skoczył w przestrzeń.

Pozbawiony skrzydeł, wydawał się niezdolny do lotu, ale ten fantastyczny skok przeniósł go prosto na następne wzgórze, równe temu, na którym kulił się Burr, choć dość oddalone. Nie patrzył już w jego stronę, skierował wzrok na północ. Burr czuł, że nie powinien tracić z pola widzenia jego dwóch towarzyszy, wciąż pozostających wśród ruin, ale musiał dowiedzieć się, komu, a może czemu, grozi teraz atak tego stwora. Ciało ptaka napięło się, jego długie nogi zgięły się nieznacznie. Burr był pewny, że przygotowuje się do trzeciego wspaniałego skoku.

Jeśli tak, to zdecydował się o ułamek sekundy za późno. Coś zawirowało w powietrzu.

Obciążony koniec długiego sznura smagnął nogi ptaszyska tuż pod jego brzuchem. Siła uderzenia była tak duża, że lina ściśle skrępowwała jego kończyny. Ptak zaskrzeczał z wściekłości, jego głowa podskakiwała do góry i w dół, gdy próbował rozedrzeć krępującą go linę swym ostrym dziobem. Kiedy upadł na ziemię, zawirował następny obciążony powróż, okręcając się wokół jego szyi. Burr obrócił się, aby spojrzeć na pozostałe dwa ptaki.

Zniknęły, choć może ukryły się za płaszczem wzgórz, aby niebawem przybyć swemu skrępowanemu towarzyszowi z pomocą.

— Chodź!

To nie był krzyk ptaka, ale słowo wypowiedziane w najzwyczajszym Basicu. Burr znów się odwrócił. Dwa szczyty dalej zobaczył jakąś, machającą do niego postać. Osoba ta owinięta była płaszczem, jej głowa kryła się w kapturze tak szczelnie, że udało mu się tylko rozpoznać ogólny zarys ludzkiej sylwetki. Nie miał wyboru, posłuchał więc, zbiegł ze wzgórz i wbiegł na następne tak szybko, jak tylko potrafił, wciąż przy wtórze wrzasku skrępowanego ptaka. Dyszał ciężko, gdy dotarł wreszcie do ostatniego wierzchołka. Spod płaszcza wysunęła się dłoń, uchwyciła ramię i pociągnęła za tkwiący na szczycie głaz.

— Ta pętla nie przytrzyma kwakera zbyt długo. — Burr patrzył prosto w dziewczęcę oczy.

Strząsnęła z głowy kaptur, odsłaniając włosy ściągnięte na czubku głowy kłamrą i spływające swobodnie na ramiona. Miały barwę granatu. Jej skóra, odsłonięta, gdy odrzuciła płaszcz na plecy, by uwolnić ramiona, była ciemna jak u Burra. Pod granatowymi łukami brwi lśniło pomarańczowe światło oczu. Zamyślony Burr

balansował dzidą. — To chyba także nie jest zbyt skuteczne — zauważył sucho. — Co teraz, uciekamy? Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta kobieta. Wyglądało na to, że uratowała mu życie, przynajmniej tymczasem. Potrząsała głową, a upięte pod górę włosy muskały z szelestem jej okryte ramiona.

— One właśnie tego pragną. Potrafią poruszać się szybciej od każdego z ludzi.

Nie,
zmienimy...

— Co zmienimy? — wtrącił pytanie.

— Zmienimy położenie naszego snu. Daj mi rękę! — Jej palce zacisnęły się na jego dłoni bez żadnej delikatności. Drugą ręką wykonała zamaszysty gest. Świat zawirował i Burr zamknął oczy, aby przemóc mdłości, nigdy bowiem nie znajdował się w tak rozkołysanym stanie. Kiedy znów odważył się je otworzyć, stał na plaży pokrytej złotawym piaskiem, a przed nim falowała łagodnie wypukła wodna przestrzeń, która sprawiała wrażenie spokojnego morza. Jego dłoń wciąż była uwięziona w uścisku jej palców, usłyszał obok siebie westchnienie ulgi. Wtedy puściła go i odsunęła się nieco. — A więc... — powiedziała jakby do siebie — tego jeszcze nie zmienili. — Co to wszystko ma znaczyć? — Burr ocknął się na tyle, by żądać wyjaśnień, a jego głos zabrzmiał zbyt głośno na tle cichego poszumu fal.

— Posłuchaj! — Odwróciła się lekko, aby spojrzeć mu prosto w oczy. — Oni nas tu jakoś zamknęli. Kiedy chciałeś przerwać sen, nie udało mi się tego zrobić. Rozumiesz? Jesteśmy oboje uwięzieni w tym śnie, który tylko częściowo pochodzi z pamięci Uahach. Ruiny były jej... Kwakery też. One naprawdę istnieją, a raczej istniały za Altara IV. Tyle, że nie są agresywne.

— Pamięć Uahach — Burr nareszcie coś zrozumiał — czyli ty jesteś... Roześmiała się szorstko.

— Jestem twoją pomocnicą, twórczynią snów. I jestem zaplątana w swoim własnym śnie.

Dałeś znak, że chcesz się obudzić, a ja próbowałam spełnić twoje polecenie. Coś mi jednak przeszkodziło. Jednak nie udało się im, przynajmniej na razie, uniemożliwić nam poruszania się w obrębie snu. Teraz jesteśmy tu — wskazała na plażę — zamiast ścigać się tam z kwakerami na wzgórzach. Nie wiem, czy oni mogą nami manipulować, czy tylko zamknęli nas we śnie. Tak czy owak, nie powinniśmy czuć się bezpiecznie. Burr mocniej uchwycił drzewce dzidy. Zrozumiał ją aż za dobrze. Zostali uwięzieni w tym nazbyt realnym śnie, z którego nie było ucieczki.

— Czy możesz nadal przenosić nas, jeśli coś nam zagrozi? Wzruszyła ramionami. — Do pewnego stopnia. Mogę korzystać z pamięci Uahach. Jeżeli jednak zmuszą mnie, bym dotarła do jej krańca... — Potrząsnęła głową. — Nie mogę rozwijać snów poza jej pamięcią. Znałam to morze, bo istniało w tym śnie. Pozostały nam jeszcze cztery punkty, do których możemy się przenieść.

— A potem — dokończył za nią — znajdziemy się w potrzasku? Powoli skinęła głową

i
powtórzyła za nim:

— W potrzasku.

V

Burr przyglądał się ostrzu dzidy, którą wciąż trzymał w ręce. Matowy metal składał

się z trzech warstw. Uczono go posługiwania się dawną bronią — mieczem, sztyletem i prymitywnym narzędziem, które wystrzeliwało pociski. Nigdy jednak nie trzymał w dłoni włóczni.

— Znasz ten sen — odezwał się powoli. — Jak zaprojektowała go Uahach dla Osdeve'a?

Czy możesz przewidzieć, co nastąpi, abyśmy wiedzieli, czego się spodziewać?

— Jak dotąd, wygląda tak samo co do scenerii, nawet jeżeli chodzi o kwakery. Choć jest trochę zmieniony. Kwakery miały być częścią polowania, ale jako zwierzyzna, nie myśliwi.

Osdeve uwielbiał polowania. Tu... — Zawahała się. — Lepiej, żebyś wiedział, w swoim śnie Osdeve spotykał się tu z Wędrowcami Morza i wyruszał wraz z nimi na wyprawę na dawne morza Panów Wysp. W tym śnie były trzy takie wątki: polowanie na ptaki, morska wyprawa i, na końcu, podróż do Wieży Kiln–nam–u. W każdym z nich tkwi jakieś niebezpieczeństwo, jeśli sen nie potoczy się tak, jak powinien. Czuję jakiś nacisk i nie rozumiem go... — Mówiła wolno, lekko marszcząc czoło. — Wiesz o tym, że jesteś teraz kimś zupełnie innym.

Nazywasz się Gurret i jesteś Wojownikiem Prawych.

Burr nachmurzył się.

— Ile z tego... — zaczął.

— Fantazjotwórczyni stwarza jakąś formę rzeczywistości — wtrąciła się, zanim zdążył dokończyć pytanie. — Ty stałeś się częścią tego świata, starożytnego świata Altara IV, no może niezupełnie, ponieważ twórczyni snów dodała mu własne rysy. Ja jestem Kaitilih, Bojownica Lewych. Zgodnie z tradycją, powinniśmy być wrogami. Wygląda jednak na to, że i tu wtrąciła się Uahach. Według jej planu, wyruszymy razem na wyprawę, podczas której — jak to w legendach bywa — musimy zdobyć jakieś przedmioty. Kiedy już to osiągniemy, mamy wrócić do Trzech Wież i tam... — Uśmiechnęła się lekko. — Z myśli fantazjotwórczyni wnioskuję, że nagroda, która nam przypadnie, będzie wspaniała. Oczywiście, choć w przebiegu tego snu kryły się najrozmaitsze niebezpieczeństwa, Osdeve nigdy nie był poważnie zagrożony, lecz tylko na tyle, by zaspokoić jego potrzebę przyciągnięcia.

Teraz jednak, po tamtych zmianach, nie potrafię przewidzieć, co naprawdę kryje się za zasłoną snu.

— Jeżeli jesteśmy wojownikami — zapytał Burr — to dlaczego nie mamy prawdziwej broni?

— Ponieważ ta wyprawa miała być próbą. Ja niosłam dzidę i sznur, ale żadnego z nich nie użyłam. Ty miałeś iść z gołymi rękami.

— Wyrwałeś nas stamtąd w ostatniej chwili. Czy nie mogłabyś wyśnić jakiegoś oszałamiacza albo czegokolwiek lepszego niż to? — Potrząsnął drzewcem. Wolno pokręciła głową.

— Sama nie potrafię nic dodać, mogę tylko korzystać z tego, co przechowuje pamięć Uahach. Wiesz, że nie jestem zbyt wprawną fantazjotwórczynią. I — odwróciła się, by popatrzeć na bezludną plażę — coś wywiera na mnie nacisk. Jest ktoś, kto wtrąca się i wprowadza zmiany tak sprytnie, że nie mogę natrafić na ich źródło. Dlatego odwróciły się role podczas polowania na wzgórzach. Myślę, że wkrótce nastąpią kolejne zmiany. — No, znakomicie! — warknął Burr. — Najlepiej będzie, jeśli przeczekamy tu, aż będziesz mogła spróbować przerwać sen.

— Nie możemy zatrzymać biegu akcji — odparła dziewczyna — musimy odegrać swoje role aż do końca wątku.

Burr wiedział, że mówiła z pełnym przekonaniem. A zatem role we śnie zostały odwrócone. Może powinni je po prostu przyjąć?

— Zostały jeszcze dwie przygody. Jakie?

— Ty masz zapalić stos sygnalizacyjny na brzegu. — Kaitilih, jak sama siebie nazwała, wskazała na wyrzucone przez morze drewno o barwie kości, uwięzione pomiędzy nadmorskimi skałami. — To powinno się stać o zmroku. Wtedy przybędzie tu łódź z korsarskiego statku, zwanego „Erne”. Ty, a raczej Gurret, skontaktowałeś się już z jego kapitanem, przyrzekając mu bogate łupy z Morskiej Wieży na Wschodnim Vur. Jedyne, czego stamtąd pragniesz, to Puchar Krwi Śmiertelnej, trzymany tam w ukryciu. Wyprawa okaże się niezwykle ryzykowna, ale „Erne” będzie miał sporo szczęścia i wyjdzie cało z tarapatów. Posiadając Puchar, będziesz mógł rozpocząć targ z gospodarzem Kiln-

nam-u...

Burr roześmiał się szorstko.

— To brzmi jak bajka dla dzieci! Chcesz mi powiedzieć, że Osdeve pragnął przeżyć właśnie te niesamowite bzdury?

— To nie bajka, lecz legenda i tkwi w niej ziarno prawdy — poprawiła go dziewczyna. —

Przeprowadzono wiele badań legendarnych wątków i szczegółów zawartych w tych opowieściach. Są po części historią. Gurret istniał rzeczywiście i był pierwszym Najwyższym Wojownikiem tej połowy świata. Zdobył swoją pozycję właśnie dzięki takiej wyprawie.

Fantazjotwórczynie z dużym sprytem przywracają przeszłość nie tylko własnego świata, ale i każdej planety, której historię mogą obejrzeć na taśmach. — Ale... jeżeli to jest właśnie... historia, to jak można ją zmienić? Domyślam się, że ja nie miałem uciekać przed tymi kwakerami, tak jak to się stało. — To prawda. Miałeś złapać dwa z nich, a później uwolnić je w okolicy gniazda. Tam, w ruinach, znalazłbyś bardzo stary, metalowy cylinder, a w nim mapę Vur... — To bez sensu! — przerwał Burr. — Nie wierzę, że dorosły człowiek mógł traktować coś takiego poważnie... nawet jeśli miałyby to być historia! — Zapewniam cię, że Osdeve traktował to poważnie. Był człowiekiem; który niemal stracił władzę nad swoim ciałem i pragnął tych przygód, jak ktoś uzależniony od narkotyku tęskni do „prochów”, które pozwolą mu przenieść się na chwilę w inny świat. To był jego ostatni sen przed śmiercią, najstaranniej przygotowany i najbardziej skomplikowany z tych, jakie Uahach kiedykolwiek stworzyła. Wiedziała przecież, że koniec był już bliski.

— Wydawało mi się, że ludziom słabego zdrowia nie wolno śnić — zauważył Burr.

— Przybyszom. Nie dotyczy to mieszkańców Ty-Kry. Niektórzy z nich nawet decydują się na śmierć we śnie.

— Ale... Myślałem, że to niemożliwe. Przecież jesteśmy tu właśnie z powodu śmierci ludzi we śnie.

— To zupełnie co innego. Tu ofiarami byli przybysze z innego świata, ludzie cieszący się dobrym zdrowiem, nie pragnący pożegnać się z życiem. Sny, które wybrali, wcale nie były

niebezpieczne.

Burr pokiwał głową.

— Ale człowiek może zaśnić się na śmierć?

— Jeśli taka jest jego wola i zostanie ona zarejestrowana. Musi też wyrazić na to zgodę Rada, a także głowa rodu. Pozwolenia tego rodzaju nie dotyczą przybyszów spoza Ty–Kry.

— W porządku. — Burr nie wątpił, że dziewczyna została dobrze wyszkolona w sennym przedsiębiorstwie. — Jednak ten sen już został zmieniony. Nie zdobyłem mapy, czy co tam jeszcze Gurret miał zdobyć. Co się stanie, jeśli nie zbuduję stosu i korsarze nie przybędą? Czy sen zostanie przerwany?

— Nie wiem. Może zostaniesz zmuszony do następnego kroku. Burr osunął się na piasek.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, umieszczając dzidę na kolanach.

— W to już nie wierzę.

Usiadła nieco dalej i zsunawszy kaptur, wystawiła głowę na powiew morskiej bryzy, która plątała jej długie włosy.

— No, dobrze. Sprawdźmy siłę tego, z czym walczymy — odpowiedziała spokojnie.

Po chwili zapytał:

— Wciąż nie możesz się obudzić?

— Nie. Ale to nie wszystko — zawahała się, jakby nie była pewna, czy powinna mu to powiedzieć — przestałam panować nad snem.

— Co to znaczy?

— Dokładnie to, co mówię. Przedtem wiedziałam, co nas czeka. Teraz — podniosła garść piasku i przesypywała go przez palce — nie mogę być już pewna przyszłości.

Wszystko się...

zamgliło... inaczej nie potrafię tego określić. Tak, jakby na jeden obraz nałożył się drugi i

teraz oba zmagają się, który ma zwyciężyć.

— Ktoś jeszcze śni nasz sen? — zapytał Burr.

— Nie jestem pewna. Wiem tylko, że mój sen został przykryty przez jakiś inny i... Zniknęła. Burr wlepił wzrok w miejsce na piasku, na którym siedziała. Widział tam jeszcze lekkie wgłębienie. Jednak Uahach czy Kaitilih (kimkolwiek była) zniknęła wprost spod jego badawczego spojrzenia! Podniósł się, nie odrywając wzroku od tego miejsca i delikatnie dotknął dzidą nieznacznego śladu na piasku. Nikogo... niczego tam nie było! Nie przypuszczał, by zrobiła to z własnej woli. Ten nowy wzór, który wyczuwała we śnie Osdeve'a... czyżby był na tyle silny, by ją wymazać i pozostawić go tu samego? Ocaliła go przed kwakerami. Może nie miał już ujść z życiem z kolejnej próby dawnej legendy? Mówiła, że powinien wzniecić ogień, aby sprowadzić statek. Postanowił zatem odejść stąd natychmiast! Wprawdzie nie mógł zniknąć jak Uahach, ale mógł opuścić ten zdradziecki brzeg i ruszyć w głąb lądu; dać sobie czas, aby znaleźć jakiś sposób pokonania tej nieznannej fantazjotwórczyni, skoro nie miał żadnej nadziei, że na jego chęć obudzenia się odpowie mu ktoś... chyba, że odmownie.

VI

Burr odwrócił się gwałtownie od morza. Zobaczył przed sobą ląd zarośnięty niskimi,

lecz gęstymi zagajnikami czegoś, co mogło być wysokimi krzewami albo skarłatymi drzewami.

Gęste, ciemne liście zmieniały każde skupisko w jednolitą plamę. Było coś złowróżbnego w tym krajobrazie. Pagórki wydawały mu się obce i niesamowite, ale ta okolica sprawiała wrażenie przerażającej, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. W dodatku musiał przemóc rosnącą w nim chęć, by nie kierować się w stronę łądu. Może to wzór nowego snu próbował skłonić go, by wrócił, rozpalił ogień i — jak planował to pierwszy sen — ruszył do Vur. Burr wahał się, nie mogąc podjąć decyzji. Rosła tu ta sama gęsta trawa, która pokrywała zbocza wzgórz, a jej długie, ostre źdźbła oplątywały mu nogi, niemal wytrącając go z równowagi, jakby starały się utrudnić mu wędrówkę. Nie wiedział wiele, choć był świadomy, że idzie wbrew nakazowi, który pragnie go pokonać i przez chwilę miał nadzieję, że tak się stanie.

Ogarnęły go złe przeczucia. Spodziewał się, że za moment coś straszliwego wypełźnie lub wyskoczy spośród ciemnych drzew i go zaatakuje.

Z trudem łapiąc oddech Uahach–Kaitilih–Ludia (którą z nich była naprawdę?), osunęła się na jakieś oparcie, którego nawet nie widziała, ale czuła pod plecami, i starała się odzyskać świadomość. Nie była już nad morzem. Nie wróciła także na swą leżankę w Roju. Nie, znalazła się z powrotem na wzgórzach, z którego rozpoczął się sen. Widziała za sobą mężczyznę skulonego pod głazem, kwakery gotowe do sięgnięcia po swą zdobycz. Jej ręka powędrowała już do pasa, aby uwolnić linę. Tylko... coś się nie zgadzało! Nie mogła uporządkować myśli. Musi ocalić tego człowieka. Obraz, jaki miała przed oczyma, zamigotał.

Pozbawiony był on tej głębi realności, jaką posiadał za pierwszym razem. Opanowała wolę i jej umysł wreszcie odzyskał trzeźwość. Nie działać instynktownie... To nie był jej sen, tylko tej drugiej. Mężczyzna, którego widzi, nie jest jej towarzyszem, ale senną symulacją. Kwaker skoczył, uderzył dziobem, przebił pierś mężczyzny, który bezskutecznie próbował się bronić.

Usłyszała jego jęk i triumfalne skrzeczenie ptaszyska. Jednak ona toczyła własną bitwę, o to, by zniszczyć ten fałszywy sen. Cały obraz zafalował, a potem rozdarł się, jak sparciała tkanina, od góry do dołu. Przez ułamek sekundy widziała przed sobą cień dalekiego, realnego świata, który musiał znajdować się gdzieś na bardzo odległym planie. Zobaczyła twarz wroga, nie mogła jej jednak zidentyfikować, ani nawet rozpoznać miejsca, w którym się znajdowała.

Umierający człowiek i kwaker zniknęli, góra rozplynęła się we mgle, która owinęła ją tak ciasno, że oddychała coraz szybciej i szybciej, z trudem łapiąc haustami powietrze.

Wydawało się jej, że została uwięziona w przeogromnym płaszczu z pary. Jeśli nie będzie walczyła... nie przywoła swoich wrodzonych zdolności Esperki oraz tych umiejętności, których nauczyła się od Uahach, ujrzy przed sobą widmo śmierci. To był sen, iluzja. Ten, kto tworzy sen, nie może zostać bezwolnie zaplątany w cudzą fantazję. Dlatego nie może zginąć, dopóki nie wierzy w tę wizję. Zmusiła się do kilku głębokich oddechów i powoli przewycięzała obraz, jaki stanął przed jej oczami. Nie była uwikłana w sen tamtej, stanowiła część tego, który zrodził się w jej własnych myślach! To jedyna prawda! Mgła odpływała. Poczowała radość, którą jednak szybko w sobie stłumiła. To zdarzenie nie wynikało z jej wiedzy, wygrała dzięki Uahach, zacerpnęła je z tego, czego nie zarejestrowała żadna taśma. Wiedziała teraz, że bez względu na wysiłki swojej przeciwniczki, halucynacja nie może nad nią zapanować,

jeżeli ona zna naturę tego widzenia. To była jej broń, ale co z Burrem? Rozdzielono ich celowo, ona zaś wiedziała, że mimo całej jego siły woli, tamta zdoła go opanować. Nie miał talentów Espera, bo inaczej nie zostałby wybrany; brakowało mu więc nawet tej broni. Pozostała im tylko jedna szansa, ale musiała go odnaleźć.

Tylko razem mogli wyjść z przygody bez szwanku.

Mgła odpływała, jednak nie ustąpiła na tyle, by mogła zobaczyć, gdzie się znalazła.

Pozostawała tylko pewność, że jej natychmiastowa obrona, to, że nie dała się schwytać na wzgórzu, zniszczyły wzór stworzony przez tamtą. Burra mogła znaleźć w jeden tylko sposób — koncentrując wolę. Byli na plaży... Zamknęła oczy i skupiła się na obrazie wybrzeża, tak jak wtedy, gdy tak prędko wyrwała ich z jednego miejsca przemienionego snu i przeniosła w drugie. Odwracając uwagę od wszelkich obrazów, od kryjącego się w niej lęku, wyobraziła sobie plażę, dokładnie tak samo, jak widziała ją ostatniej chwili i z całej siły zapragnęła tam się znaleźć. Poczowała lekkość i ostry ból. Rozejrzała się wokół. Tak, piasek, wezbrane fale odpływu, skały... Plaża wyglądała dokładnie tak samo. Burra jednak nie było. Spodziewała się, że zobaczy go wznoszącego stos. Była pewna, że ta druga fantazjotwórczyni wciąż próbuje poruszać się w granicach snu Osdeve. Jego jednak tu nie było. Spojrzała w stronę lądu. To nie była miła okolica. Zmroził ją widok niskich drzewek, dziwacznie prezentujących się na tle jaśniejszej trawy. Wyglądały tak, jakby na życzenie mogły zmieniać swą naturę i przyjmować inne, przerażające kształty. Nigdzie... Czowała jednak... Co właściwie czuła?

Jakieś nieznaczne przyciąganie, jakby lina, lekka jak nić, wychodziła z jej ciała i przywiązywała ją do jakiegoś niewidocznego przedmiotu, tkwiącego gdzieś pośród zdradzieckich drzew. To musiał być Burr, który sam zdołał podjąć walkę ze snem i wyruszył dokładnie w przeciwnym kierunku niż ten, który został mu zasugerowany. Zaskoczyła ją jego moc. Była przecież przekonana, że sen o takiej sile, która przeniosła ją stąd do początku przygód, bez trudu nakłoni Burra do podjęcia nowego wzoru. Było to oczywiste, choćby z tego powodu, że odgrywał w tym śnie rolę klienta, skłonnego do zaakceptowania dawnego wzoru. Może pomogła mu jej walka, która odciągnęła od niego sporą część woli owej nieznannej dziewczyny? Dzięki temu mógł zmienić kierunek. Tak czy owak, koniecznie muszą się odnaleźć. Twórczyni snów i jej klient byli połączeni nierozzerwalnym węzłem i mogli rozpocząć lub zakończyć sen razem albo wcale. Przede wszystkim powinna teraz odpowiedzieć na to nikłe przyciąganie. Śmiało więc ruszyła w głąb lądu. Niebo ciemniało. Wiedziała, że nadchodzi noc. W prawdziwym śnie spędzili tę noc na pokładzie „Erne”. Ten sen był jednak nowy, a w ciemności mogły czaić się najrozmaitsze niebezpieczeństwa, groźne dla nocnego wędrowcy. Zerwał się zimny wiatr, dziewczyna szczelniej owinęła się płaszczem i szła dalej, z nadzieją, że przecucie jej nie zwodzi.

Ściemniało się. Burr ominął rozproszone zagajniki, nadkładając drogi tak, by nie natknąć się nawet na ich długie cienie. Był ogromnie zmęczony, nie samym marszem, ale nieustanną walką z własnym pragnieniem, by powrócić nad morze i rozpalić tam ognie. To uczucie ogarniało go teraz silnymi falami, które były jeszcze bardziej niepokojące niż wcześniejszy, stały nacisk, napływały bowiem z przerwami, jakby chciały go przekonać, że już je zwalczył, a potem powracały nagłym, jeszcze ostrzejszym szarpnięciem. Jego przeciwnik był niezmordowany i Burr zaczął zastanawiać się, ile to jeszcze potrwa, zanim powróci nad morze, wzniesie stos z drewna, podpali go i sprowadzi na siebie jakieś nieszczęście, które — był tego pewny — czekało na niego w odmienionym śnie. Kwakery niemal go zabiły, pomyślał

zatem, że równie dobrze może spodziewać się nie przyjaznych Morskich Wędrowców, ale ludzi uzbrojonych w żelazo i pałających chęcią pozbawienia go życia. Na razie wciąż jeszcze i mimo wszystko trzymał się na nogach. Potem uniósł głowę i dokładnie przyjrzał się zagajnikowi po lewej stronie. Jego zarys trochę się zmienił... Coś ogromnie go zaniepokoiło.

VII

Jakaś postać, dotąd niewidoczna na tle krzewów i skarłałych drzew, nagle wyłoniła się z cienia. Rozmiarami przewyższała człowieka, ale otoczenie zagajnika było tak mylące, że Burr nie wiedział, czy stoi przed nim jakaś ogromna bestia, czy jakaś przeciętna istota. W szybko zapadającym mroku widać było tylko majaczący kształt. Dziwiło go jednak to, że kiedy się zbliżał, postać zdawała się kurczyć, tak że po jakimś czasie wydawała się nie większa niż on sam. Burr mocno zacisnął dłoń na włóczni. Ta rzecz, która stanęła mu na drodze, nie poruszyła się. On jednak nie miał wątpliwości, że zesłały ją wrogie moce. Przynajmniej nie był to kwaker. Nie miał jednak odwagi zgadywać, co go może teraz spotkać. Nieraz już ryzykował, ale to, co przeżywał tym razem, nie przypominało żadnej z wcześniejszych przygód. Tamte rozgrywały się w realnym świecie, a on potrafił z grubsza ocenić zagrożenie.

Ta kraina stworzona została przez wolę i imaginację... czyją wolę i imaginację? Sama pseudo-Uahach zapewniła go, że nie tylko przez należąca do niej. Teraz jednak nie próbował unikać spotkania z tym, co stanęło mu na drodze. Lepiej było spojrzeć niebezpieczeństwu prosto w twarz, niż wypełniać je wytworami niespokojnego umysłu. Postać poruszyła się nagle, strząsając z ramion czarne fałdy płaszcza.

Było jeszcze na

tyłe jasno, że wyraźnie dojrzał rysy twarzy. Wróciła! Już zamierzał wykrzyknąć słowa

powitania, kiedy raptownie zwolnił. Choć widział przed sobą tę samą twarz, głowę unoszoną

tym samym ruchem, to jednak...

Dziewczyna wysunęła rękę i przyjaźnie pomachała. Burr przypomniał sobie, gdzie jest.

Zmienił się tylko ten dziwny nacisk, z którym walczył od momentu opuszczenia plaży. Teraz ogarnęło go nieodparte pragnienie, by podejść do Uahach. Właśnie ta zmiana nieznanej woli stanowiła dla niego ostrzeżenie.

— Chodź — wypowiedziała to samo słowo, jakim przywitała go po raz pierwszy. Jeszcze raz skinęła dłonią i zmarszczyła brwi, co mogło oznaczać zniecierpliwienie.

Wbił ostrze dzidy w ziemię i zacisnął obie dłonie na drzewcu, jakby musiał się na czymś

oprzeć.

— Kim jesteś? — spytał.

— Jestem Kaitilih. — Tembr głosu był ten sam, niczym nie różnił się od tego, jaki pamiętał z ich rozmowy na plaży. Niepokoiło go tylko to silne pragnienie, a w tej krainie nie lekcewał żadnego ostrzeżenia, nawet najbardziej błahego. — Nie jesteś nią!

— Jestem Kaitilih... chodź — odezwała się, jakby nie słyszała jego słów. — Zapada noc, a tu grasuje coś, co nam zagraża. Musimy znaleźć jakieś schronienie. Chodź! — Jej rozkaz został wzmocniony nagłym przypływem woli, tak silnym, że bliski był

ustąpienia i — wbrew sobie — niemal dał się ponieść w przód.

— Nie jesteś nią — powtórzył. Co jednak się stanie, jeśli nią jest w istocie? Burr nie był niczego pewny, polegał tylko na wskazaniach siły, której nagłe zwroty traktował jak wskazówkę.

— Jestem Kaitilih! — Podniosła obie ręce, aby zdjąć kaptur. — Popatrz na mnie, ty głupcze!

Burr uspokoił się. Popełniła błąd. Na krótką chwilę ukazała swoje prawdziwe oblicze, mimo tej sennej maskarady. To nie była dziewczyna z plaży. — Nie jesteś Kaitilih — powiedział pewnie.

Popatrzyła na niego, a potem zareagowała tak szybko, że niemal go zaskoczyła. Podniosła prawą rękę i rzuciła czymś w jego kierunku. Zauważył tylko błysk światła, ale ten wysniony świat nie pozbawił go znakomitego refleksu. Upadł na ziemię, przekulnął się i znów wstał błyskawicznym, wytrenowanym, płynnym ruchem mistrza walki wręcz. Coś uderzyło w ziemię za jego plecami i wzniciło płomień. Burr skoczył, jednak nie ku niej, ale po to, by uniknąć kolejnego pocisku, gdyż jej ręka uniosła się po raz drugi. Tym razem płonący przedmiot musnął go w locie. Wtedy jej twarz zmieniła się w obrzydliwą maskę, splunęła w jego stronę. Fałdy płaszcza zawirowały, jakby materia ożyła albo poddała się jej woli.

Okrycie owinęło ją szczelnie, zmieniając w ciemną kolumnę, która zaczęła szybko zanurzać się w ziemi. Trawa obok Burra uległa zwęgleniu, a wśród czerni tliły się czerwone iskierki.

Cierpki odór wypełnił wieczorne powietrze. Wyglądało na to, że został sam wśród drzew.

— Gurret?

Odwrócił się z dzidą przy gotowaną do obrony. Zbliżał się do niego kolejny cień. — Gurret. — W głosie brzmiała ulga. Nie oszuka go jednak. Czy sądzi, że może po raz drugi zagrać tę samą sztukę? Burr widział wyraźnie jej twarz. Nawet w ciemnościach jej rysy promieniowały oświetlającym blaskiem. Przygotował się do odparcia kolejnego ataku.

— To nie ma sensu — powiedział — ty nie jesteś Kaitilih.

— Nie — zgodziła się — jestem tą, która śni.

Burr przyglądał się jej ostrożnie. Rzeczywiście, widział jakąś nieuchwytną różnicę (której nie potrafił nazwać nawet w myślach) pomiędzy tą dziewczyną, a tamtą, która zniknęła w ziemi otwartej pod jej stopami.

— Jeśli jesteś... fantazjotwórczynią, udowodnij mi to.

— W jaki sposób?

— Powiedz... dokąd poszłaś... i dlaczego? Nie próbowała zbliżyć się do niego. — Gdzie byłam? Wróciłam do początku naszego snu. Dlaczego? Tego nie wiem, wiem tylko, że ta, która chce zakłócić naszą wyprawę, starała się, bym uwierzyła w to, że nie żyjesz.

— Co niemal stało się prawdą. O ile oczywiście można zabić człowieka wysnioną bronią.

— Dotknął ostrzem dzidy zwęglonej trawy. Zagrożenie, które odczuwał, kiedy stał

twarzą w twarz z tamtą, znikło. — W jaki sposób wróciłaś?

— Siłą woli. — Uahach była pewna tego, co mówi. — Ale nie była to zwykła ucieczka.

Burr potrząsnął głową.

— Sny i cienie... jak mam z nimi walczyć? Twój sobowtór miał przynajmniej jakąś broń.

— Znowu rozgarnął spaloną trawę. Potem opowiedział jej o dziewczynie, która przybrała jej postać.

— To ta druga fantazjotwórczyni — odparła Uahach. — Nie poddałeś się wzorowi snu i teraz... — głęboko wciągnęła powietrze — teraz będzie musiała zastąpić zniszczony wzór własnym wątkiem.

— Więc nie wiemy, czego możemy się spodziewać? — Wyłowił sens jej niepokoju. — Chyba nie. Pozostała nam tylko jedna rzecz, której możemy spróbować... udać się jak najbliżej końca snu, przyspieszyć jego finał. Zanim zbierze siły i stworzy sen, nad którym w pełni zapanuje, może zdołamy wyrwać się stąd.

— Potrafisz to zrobić?

— Nie wiem. Ale nie udało jej się zamknąć mnie w swojej iluzji, kiedy przeniosła mnie z powrotem na wzgórze. Może, jeśli razem zapagniemy się obudzić, nie zdoła powstrzymać nas obojga? Utrzymanie wątku nie jest takie łatwe, choć nie wiem, czy kiedyś zdarzył się przypadek, by klient samodzielnie zmienił przebieg snu. Ja śnię dla ciebie i dlatego jesteśmy ściśle połączeni... jeśli spróbujemy razem, możemy być dla niej zbyt silni... — Myślisz, że możemy... ruszyć? — dopytywał się Burr. — Spróbujemy. — Wyczuł w jej głosie ton wahania.

— Co wybrałaś?

— Wieżę Kiln–nam–u.

Wyciągnęła rękę, dokładnie tak jak tamta. Identyczność tego gestu była tak uderzająca, że przez ułamek sekundy zawahał się... Bał się, że spróbowano oszukać go po raz drugi. Nie czuł jednak tamtego nacisku, wybierał sam. Podszedł dwa kroki ku niej i poczuł uścisk jej dłoni. Była chłodna, a dotykając jej ciała, poczuł jak bardzo jest spięta, jak mocno stara się skoncentrować.

— Myśl — odezwała się ostro — o wieży nad morzem, nad tym samym morzem, które już widziałeś... myśl o niej!

Nie znał sztuczek i nie miał zdolności umysłu Esperów, ale jeśli mogłoby to pomóc, pomyśli o wieży. Wyobraził ją sobie na tyle, na ile potrafił... starożytną budowlę, pasującą wyglądem do ruin, które widział ze wzgórza. Burr zamknął oczy, aby lepiej widzieć obraz zbudowany przez swoją imaginację i przestał odczuwać dotyk jej dłoni. Czuł tylko w sobie coś, co tliło się z wielką, niemal niszczącą siłą. Miał wrażenie, jakby w połączenie ich rąk uderzyła jakaś ogromna moc.

VIII

Stała przed nimi wieża, Uahach zdołała zatem przenieść ich do końca snu. Burr spojrział na wysoki gmach. Przez dłuższą chwilę obraz zrodzony w jego wyobraźni nakładał się na rzeczywisty, niczym zamglona wizja. Później rozplynał się i zobaczył przed sobą miejsce zrodzone we śnie. Wieża była tak usytuowana, że wznoszące się

ściany klifu osłaniały dwie ściany budowli od strony morza, tworzyły one zaciszny zaułek, chroniąc starożytną budowlę tak, że nawet czas nie mógł jej zniszczyć. Wieżę tę otaczała atmosfera wiekowości tak wyczuwalna, że niemal kładąca się na niej widocznym cieniem. Aż do wysokości mniej więcej dwóch pięter w skale nie było żadnych szczelin, żadnych otworów. Powyżej znajdowały się trójkątne okna, ułożone w kształcie diademu, ziejące całkowitym mrokiem; nie docierał bowiem do nich żaden promień słońca. Zaszła jeszcze jedna zaskakująca zmiana.

Dzięki podróży, w którą wyruszyli, zjednoczywszy swoją wolę, noc pozostała za nimi. Teraz zbliżało się południe.

Wieża była zbudowana z ciemnoczerwonego, matowego kamienia, a otaczające ją skały klifu były jasnobrązowe. Surowo ociosana powierzchnia skalnych bloków była wysadzana drobnymi kryształkami, które lśniły w słońcu tak, że wieża wyglądała jak zdobiona drogocennymi klejnotami.

— Kiln—nam—u. — Uahach puściła jego dłoń. — Na razie dobrze nam idzie.

— Co miał tu robić Osdeve? — dopytywał się Burr.

— Miał skropić tę skałę — dziewczyna wskazała na jeden z kamiennych bloków w podstawie wieży, sięgający niemal ramienia Burra — wodą z Pucharu Krwi. Wtedy powinno pojawić się coś, co tutaj mieszka, i od tego... miał wytargować Róźdzkę Ara... symbol władzy.

— Skoro nie mamy Pucharu — zauważył Burr — może moglibyśmy po prostu przerwać sen?

Nie odpowiadała, odwrócił więc wzrok od wieży i spojrzał na nią. Miała skupioną twarz i nie patrzyła ani na niego, ani na wieżę, raczej gdzieś w przestrzeń, jakby przenikała wzrokiem wszystko, co ich otaczało.

— Nie... nie... mogę... — wyszeptwała chrapliwie, ciężko dysząc, jakby wracała z dalekiego, męczącego lotu.

— Jeśli dotarliśmy niemal do końca snu... i nie możemy się obudzić, to co teraz nastąpi?

— Prawdopodobnie będziemy zaraz zmuszeni do przyjęcia jej snu — wyznała z gorzką szczerością.

Burr przyznał jej rację. No tak, skoro nie mogą opuścić snu (wymyślonego przez Osdeve'a), to coś jeszcze musi się zdarzyć...

— Wiesz wszystko to, co wiedziała Uahach, tak zostałeś zaprogramowana — ciągnął —

czy wcześniej zdarzyło się już coś podobnego?

Odwróciła lekko głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— O ile wiem, to jest o ile wie Uahach, takie przeniesienie nie jest znane. A ona jest fantazjotwórczynią z dziesięcioma punktami... Rój nie zna lepszych według tej skali... — A jednak musi istnieć przynajmniej jeszcze jedna, bo inaczej nie znaleźlibyśmy się w potrzasku. Czy jest jakiś sposób, abyś zlokalizowała źródło tych zmian? Z jej twarzy zniknął wyraz lekkiego oszołomienia. Zastąpiło go zamyślenie, jednak nie tak nieobecne, jak przed chwilą.

— Mogę spróbować. Oni... ona... zechce dosięgnąć nas tutaj prędzej czy później. Sen musi się skończyć, bo inaczej medyk w Roju zorientuje się, że coś się stało.

Oni... Matka

Foost, o ile jest w to zamieszana, nie ośmiela się przeszkodzić jego interwencji. Z pewnością leżymy tam prawidłowo uśpieni. Jednak czas naszego snu jest odmierzany i dlatego ta, która chce stworzyć nowy wątek, musi działać szybko. Opuściliśmy przygody Osdeve'a w samym środku, znaleźliśmy się tuż przy końcu. Nie mogę zrobić nic więcej, tylko czekać na następny ruch, a ten należy do niej.

Burrowi nie podobało się to. Cierpliwość była narzędziem, którym posługiwał się dość często w różnych akcjach. Rozgrywały się one jednak w realnym świecie, gdzie przyszłość dawała się przewidywać. Wiedział, co oznacza oczekiwanie na atak, ale dotąd walczył zawsze z przeciwnikiem, którego rozumiał. Niejasność tej rozgrywki, na którą miał teraz czekać, drażniła go.

— Czy możemy się jakoś przygotować do obrony? — pytał dalej. Nie odpowiedziała mu, podniosła tylko dłonie w geście ostrzeżenia. W sekundę później zachwiał się pod ciosem, który nie był fizycznym uderzeniem, choć odczuł go tak, jakby jakaś gigantyczna pięść opadła pomiędzy jego łopatki, odrzucając go ku wieży. Uahach uniosła ręce do głowy i krzyknęła z bólu. Burr ciągle odczuwał napór tej siły, pchającej go ku kamiennym blokom. On jednak miał już swoje sposoby — wbił włócznię w ziemię i trzymał się jej. Jego ciało kołysało się do przodu i do tyłu pod niewidzialnymi ciosami, ale trzymał się mocno, zaciskając zęby.

Jego towarzyszka upadła na kolana, rękami wciąż zatykała uszy, z kącików oczu płynęły jej łzy. Jęczała, a odgłos ten odbijał się od otaczających ich skał. Doskonale wiedział, że tak jak i on, zмага się z naciskiem niemal niemożliwym do zniesienia. Wieża znajdująca się przed oczyma Burra zachwiała się. A może poruszył się kamień, który wcześniej wskazała Uahach? To, co starało się nad nim zapanować, chciało teraz wrzucić go do otwierającej się ciemnej szczeliny. Jeśli była to brama, to jej obrys, bardzo nierówny, zachowywał naturalną linię kamienia. Burr stał w miejscu. Nie miał zamiaru posłuchać tego rozkazu. Uahach mówiła, że dotarli do końca właściwego snu, nie pozwoli, aby narzucono mu kolejny porządek. Przywołał na pomoc całą swoją siłę woli, cały swój upór. Postanowił uczynić z nich broń w tej walce.

Dziewczyna podnosiła się powoli. Jej mokra od łez twarz miała ten sam co jego (choć podobieństwa nie dostrzegał) wyraz determinacji. Brama o nieregularnym wykroju była już całkowicie otwarta. Uahach mówiła, że we właściwym śnie coś — jak to nazwała — wychodziło stąd, aby targować się z panem Osdeve. Cóż, Burr nie miał tajemniczego Pucharu Krwi, na którym temu zależało. Poza tym, popychająca go siła żądała, by wszedł do środka, a nie czekał tutaj. Podobnie jak przez okna na górze, słońce nie docierało przez bramę do wnętrza wieży, było więc ono całkowicie niewidoczne. Ciemność za progiem wydawała się niemal dotykalna i nie przepuszczająca światła. Czy to coś wyjdzie teraz? I jak zareaguje na fakt, że Burr nie zdobył przedmiotu, którym posługiwał się Osdeve? Znowu postąpił krok do przodu, na skutek wyjątkowego impetu kolejnego uderzenia. To coś pragnęło, aby wszedł do środka. I właśnie dlatego nie pójdzie! Po raz pierwszy podczas tych zmagania odezwała się Uahach:

— Musi być jej bardzo trudno walczyć z nami dwojgiem. — Odzyskała panowanie nad sobą, a wraz z tym powróciła jej stanowczość. — Kiedy podniosę rękę, postaraj się cofnąć... postaraj się ze wszystkich sił!

Znów wpatrywała się czujnym wzrokiem w wieżę. Po chwili uniosła dłoń, a Burr rzucił się do tyłu, wkładając w ten ruch całą posiadaną siłę woli. Wieży puściły. Burr upadł na ziemię z siłą, która niemal go ogłuszyła, potem potoczył się do przodu. Dziewczyna stała wyprostowana, jak opoka pomiędzy nim a otworem, który musiał być pułapką. Poczul ulgę i ogarnęła go słabość.

Nagle Uahach zachwiała się. Znowu upadła na kolana, jakby przytłoczona jakimś mściwym ciężarem. Burr nie zdążył nawet pomyśleć, rzucił włócznie, zerwał się i jednym skokiem znalazł się przy niej. Objął ją mocno i pewnie w momencie, gdy zaczęła osuwać się bezwładnie na ziemię.

IX

Powietrze wokół nich wypełniała gniewna, złowieszcza wściekłość. Burr nie potrafił powiedzieć, skąd czerpie pewność istnienia tego bezcielesnego uczucia, wiedział tylko, że na pewno się nie myli. Ten ponury gniew dawał mu także odrobinę poczucia pewności siebie.

Tamta nie spodziewała się takiego oporu ze strony ich dwojga, toteż została pokonana — na chwilę. Tego także był pewien. Demonstracja nieznanego woli skończyła się nagle, przepadł także jej gniew. Uahach wciągnęła głęboko powietrze. — Odeszła — powiedziała zdartym, wyczerpanym głosem.

— Czy znowu będzie próbować? — spytał Burr.

— Kto wie? W każdym razie ma dość siły, by trzymać nas tutaj.

— Jesteś tego pewna?

— Sądzisz, że nie sprawdziłam? Tak, jesteśmy uwięzieni w śnie Osdeve'a. Nie umiem przewidzieć, jaki nowy sen dla nas stworzy.

Burr popatrzył na nieregularną bramę w murach wieży. Miał nadzieję, że teraz, kiedy nacisk przestał działać, zamknie się i ona. Pozostała jednak otwarta, a zło czało się w jej nieprzeniknionej ciemności. Zaprzagnął tam podejść i wbić głęboko w mrok ostrze dzidy. Coś w jego wnętrzu wzdrygnęło się jednak na myśl o zbliżeniu się do tej tajemniczej twierdzy.

— Czy istnieje jakiś sposób na to — próbował dalej szukać wszelkich możliwości ucieczki albo obrony — abyś rozwijała ten sen dalej, rozpoczynając od końca snu Osdeve'a? Potrząsnęła głową.

— Nie jestem prawdziwą fantazjotwórczynią. Jako Esperka mogłam przejąć doświadczenia Uahach i wykorzystać je. Twórcynie snów z Ty-Kry mają wrodzone talenty, doskonałe od chwili, gdy tylko zostaną odkryte. Wiele z nich żyje tylko swoimi snami. Ja wiem jedynie to, co zdobyłam, przejmując przeszłe doświadczenia Uahach. — A zatem nie mamy wyjścia. — Jednak Burr nigdy się nie poddawał. Nie będzie tu pokornie czekał na kolejne, nieznanne zagrożenie.

— Nie wiem... — Początkowo jej słowa nie przedarły się przez gmatwaninę jego myśli.

Kiedy jednak pojął ich znaczenie, zapytał z wyrzutem:

— Może i nie wiesz, ale zastanawiasz się nad czymś... Nad czym? — Jest chyba jeden sposób, ale na granicy ryzyka. Ona wkrótce wykona kolejny ruch, musiałeś przecież czuć jej gniew, kiedy nie udało się jej skłonić nas do tego, czego chciała.

Jeżeli pozwolimy, aby następny atak, jaki przeprowadzi, rozwinął się w pełni, pojawi się wówczas szansa, że zdołam połączyć się z wątkami snutego przez nią wzoru. Sen

musi być jej, nie mój, nie może to też być hybryda złożona po części z mojej, po części z jej woli.

— Może zdołasz się z nią połączyć... i co wtedy?

— Wtedy, jeśli mocno wpasuję się w jej wątek, będziemy mogli przerwać sen. Fantazjotwórczynie są doskonale wyszkolone pod jednym względem... muszą przerwać sen na żądanie klienta. Ja nie mogę tego zrobić dla ciebie, ponieważ zostaliśmy tu zamknięci. To sen niejako z drugiej ręki, a w dodatku, nim zdażyłam spróbować, nałożył się na niego inny sen, tłumiący mój wzór siłą innej, potężnej fantazjotwórczyni. To, co mówiła, wydało się Burrowi nawet sensowne. Choć nie bardzo mu się podobało.

— Do jakiego stopnia musi rozwinąć się nowy sen, zanim uda ci się to zrobić?

Nie spojrzała mu w oczy.

— Obawiam się, że na tyle długo, by sytuacja stała się niezwykle niebezpieczna. Będziesz musiał stawić czoło temu, co ona stworzy, i wytrwać, dopóki nie zlokalizuję sennego wątku i nie będę mogła włączyć nas do wzoru.

Kryła się w tym wszystkim jakaś rozpacзлиwa logika. Burr rozumiał jej sugestię, choć znacznie przekraczała jego doświadczenia. Nie wątpił w to, że rezultaty tej próby były wysoce ryzykowne. A z drugiej strony wiedział, że nie ma żadnego wyboru. — Zaczekamy więc... na jej ruch. — Nie było to pytanie, lecz postanowienie. Pytanie zadał dopiero po chwili: — Czy domyślasz się, kim „ona” jest? Matka Foost? — Nie. Ona kształci twórczynie, ale sama nie jest znana jako fantazjotwórczyni. Widzisz, większość z nich jest zupełnie wyłączona z realnego życia, trzeba je prowadzić jak niemowlęta. Ci, którzy je chronią i opiekują się nimi, sami nie śnią. W Roju są dwie fantazjotwórczynie, których sny zabiły klientów. Jedna z nich została okaleczona we śnie i wprawdzie żyje, ale jej umysł... albo jest już martwy, albo po prostu nie może normalnie funkcjonować. Druga jest wyjątkowa, ponieważ jej zdolności zostały odkryte dopiero wtedy, gdy była już dorosła. To zdarza się czasem, ale naprawdę bardzo rzadko. Każda rodzina, w której kiedykolwiek przyszła na świat twórczyni snów, doskonale zna objawy tego daru, widoczne już we wczesnym dzieciństwie, i z radością wita utalentowaną dziewczynkę. To zapewnia jej ogromną ilość kredytów. Dlatego takie późne odkrycia zdarzają się rzadko.

— Myślisz, że to ona?

Uahach wzruszyła ramionami.

— Co mam na to odpowiedzieć? Dwóch ludzi zmarło podczas snów, które ona stworzyła; sama zaś wyszła z nich nietknięta. Podaję ci tylko fakty. — Widziałas ją? Rozmawiałaś z nią? — naciskał Burr.

— Nie. Rój trzyma wszystkie fantazjotwórczynie wyższej rangi osobno. Twórczyni, która nie jest zajęta, powinna doskonalić swoje zdolności i zbierać informacje z taśm, potrzebne do budowania snów. Te, które nie śnią, prowadzą bardzo samotne życie.

— Każdy z tych zabitych mężczyzn był atrakcyjnym łupem — zauważył Burr. — Był bogaty albo na stanowisku. Jeżeli ktoś manipulował fantazjotwórczynią, może dostarczył

odpowiednie taśmy...'

Dziewczyna kiwała głową.

— Tak, to możliwe. Każdy z nas przechowuje w swoim umyśle jakiś własny, prywatny strach. Jeżeli istota tego lęku zostanie odkryta, można go zmaterializować i pogłębić... — I w ten sposób zabić lub doprowadzić do obłądzenia! Jednak taką informację może dostarczyć tylko ktoś dość bliski.

— Co z twoim strachem? — spytała.

— Dostarczyli mi osobowość w szczegółach — mruknął Burr — ale niczego takiego nie pamiętam.

Zaczął chodzić w tę i z powrotem, zastanawiając się, czy fantazjotwórczyni potrafi samodzielnie odkryć największy lęk tkwiący w człowieku i zmaterializować go? Kiedy po chwili spojrzął na dziewczynę, zobaczył, że utkwiała wzrok w czarnym otworze bramy. Cała jej postać zdradzała napięcie. Nie potrzebował już innego ostrzeżenia. Coś nadchodziło, ich wróg znów się poruszył. Jak dotąd jednak Burr nie widział niczego poza gęstą ciemnością we wnętrzu otworu. Podbiegł do Uahach. Chciał ją poprosić o jakąś wskazówkę, ale nie przerywał jej skupienia. Wyjaśniła mu przecież wcześniej, że będzie musiał znieść wszystko, co ich czeka, do chwili, gdy ona zdołała włączyć ich w sen tamtej. W mrocznym cieniu coś się poruszyło i zaczęło pełznąć. Wysuwało się niczym czarny, natrętny jęzor, przecinający światło i powietrze długą, cętkowaną wstęgą ciemności. Burr cofnął się instynktownie, ciągnąc za sobą dziewczynę. W tej dziwacznej formie życia było coś, co wywołało u niego skurcze żołądka i drżenie całego ciała, jakby przewiał go mroźny wichur. Zaostrzony łeb stworza podniósł się z ziemi niczym łeb jakiegoś gada. Znajdowały się na nim jakieś wybrzuszenia, które teraz otwierały się z trzaskiem, odsłaniając czerwone kręgi oczu. Burr nie potrafił określić, co to za stworzenie i, choć wywoływało ono w nim mdości i dziwaczne, nieokreślone uczucia, udało mu się pokonać własny strach. Może ta nieznana fantazjotwórczyni nie miała żadnych informacji na temat jego ukrytego lęku i stworzyła wizję czegoś, co było najstraszniejsze dla niej? Czarna wstęga powoli sunęła ku nim.

Jej łeb

przestał się chwiać, a okrągłe oczy wlepione były w Burra. O ile głowa potwora była wąska, o

tylko cielsko wyłaniające się z otworu okazało się obrzmiałe, oślizłe i tłuste,

złożone z

trzęsących się wybrzuszeń.

— Nie!

Dziewczyna zaczęła nagle krzyżeć, podnosząc ręce, jakby chciała wepchnąć pełznącego potwora z powrotem do lochu. Na jej twarzy malowały się obrzydzenie i przerażenie. Pokonał ją strach.

X

Burr domyślił się, co się stało. Cios nie był wymierzony w niego, lecz raczej w Uahach.

Ich nieprzyjaciel z pewnością musiał się zorientować, że w toczonej przez nich walce, dziewczyna była groźniejszym przeciwnikiem. Wokół pełzającej bestii unosił się obrzydliwy odór, tak gęsty i cuchnący, że Burr poczuł, iż traci oddech. Dotknął ramienia dziewczyny i stwierdził, że cała drży. On nie znał tego sunącego potwora, ale ona znała go aż nazbyt dobrze.

— Nie poddawaj się! — Potrząsnął nią. — To jest sen... pamiętaj... to tylko sen!

Nie mógł ukoić jej drżenia, choć zobaczył, że poruszyła głowę. W tym stanie na pewno nie

mogła dokonać tego, co zamierzała... wytropić wątek, który pomógłby im nawiązać kontakt z

tamtą fantazjotwórczynią. Burr zdjął rękę z jej krągłego ramienia i sięgnął do broszy, która spinała pod szyją jej obszerny płaszcz. Rozpiął klamrę i błyskawicznym ruchem uchwycił fałdy materii.

— Odwróć się!

Umieściwszy dzidę między kolanami, ujął brzegi płaszcza w obie dłonie. Materiał był ciasno utkany, lecz śliski w dotyku. Rozpostarł jednym ruchem tkaninę i z całą wprawą, na jaką tylko było go stać, wyrzucił zewnętrzną krawędź szaty w powietrze. Zwoje materiału opadły na pełznącą bestię. Zanim zdołała się spod nich uwolnić, Burr podskoczył i wbił kilkakrotnie ostrze włóczni w okryte płaszczem cielsko. W głowie, nie w uszach Burra rozległ się cienki, przeraźliwy pisk, który nim wstrząsnął, ale go nie powstrzymał. Na tkaninie pojawiały się plamy. Z dziur wyszarpanych ostrzem dzidy wydobywała się potwornie cuchnąca ciecz. Wyglądało jednak na to, że bestia jest nieśmiertelna, bo ruch pod splamionym i podartym płaszczem nie ustawał. Burr wymierzał cios za ciosem. Czy nie można tego zabić?

Nagle wyczuł w powietrzu znajomą falę gorączkowej wściekłości. Potwór nie ruszał się już.

Zdyszany odsunął się od tobołu okrytego cuchnącą szmatą, choć jego włócznia była wciąż wzniesiona na wypadek kolejnego ataku.

Uahach oddychała głęboko, ale kiedy spojrzała na niego, jej wzrok był już przytomny.

— Zdołałaś złapać cokolwiek? — Wiedział, że nadzieja była więcej niż nikła. Zbyt wstrząsnęło ją pojawienie się tego pełzającego potwora. A jednak skinęła głową.

— Owszem... choć to nie wystarczy. Będę musiała spróbować jeszcze raz. To... tego się nie spodziewałam. — Wciąż drżąca wskazała na zakrytą bestię. — To był twój strach. Potrząsnęła głową.

— Nie mój... jej... Uahach! Wygląda na to, że przejęłam od niej coś więcej niż tylko pamięć.

Na chwilę zapadła między nimi cisza. Ten atak był tak przemyślnie zorganizowany... wymierzony nie w Burra, tylko we wspomagającą go fantazjotwórczynię. Gdyby została zabita, tamta osiągnęłaby podwójny cel. Burr przekonał się, że dziewczynie, która mu towarzyszy, grozi nie mniej niż jemu samemu. Kiedy się odezwała, wiedział już, że i ona to zrozumiała.

— Chciała mną wstrząsnąć. — Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. — Ona uważa, że kiedy mnie unieszkodliwi, ty staniesz się łatwym celem! — Co ona teraz wymyśli? — Jeszcze nie zdążył dokończyć pytania, gdy zdał sobie sprawę z jego bezsensowności. Ta podrabiana fantazjotwórczyni była wprawdzie obdarzona talentem Esperów, ale przewidzenie następnego ruchu ich śniącej przeciwniczki przekraczało jej możliwości.

Usłyszeli jakiś hałas, ale nie dochodził on z ciemnej bramy, lecz raczej ze skalistego klifu.

Burr odwrócił się i to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Ich przeciwniczka nie miała może informacji na temat jego własnego strachu, ale to, co teraz stworzyła, co gramoliło się przez zwietrzałe skały, wzbudziłoby przerażenie w każdym stworzeniu, w którego żyłach płynęła choćby kropla terriańskiej krwi.

Każda planeta ma swoje lęki. Istniał jednak jeden taki, który przewyższał wszystkie

inne, a w przeszłości dwukrotnie doprowadził do rozpaczliwego kroku — spalenia całego zarażonego świata, aby straszliwa śmierć, która rozpełzła się po jego powierzchni, nie zniszczyła całej galaktyki. To... to, co zmierzało chwiejnym krokiem w ich kierunku... Burr widział coś podobnego na ostrzegających taśmach tri-dee, które musiał zapamiętać każdy agent podczas pierwszego treningu. To kwilące stworzenie było chyba kiedyś istotą ludzką, albo też podobną do ludzi krzyżówką rasy Terrian. Właśnie ta rasa była najbardziej podatna na tkwiące w nim niebezpieczeństwo. Dodatkowe przekleństwo tej choroby, powodującej rozkład za życia, polegało na tym, że osoba nią zarażona dążyła do tego, by zarażać innych.

Dotknięcie, oddech z na pół zgnitego gardła... tysiące różnych rzeczy, które mogły przenosić wirusa... wirusa, który żył własnym, złowieszczym życiem, karmiąc się nie tylko ciałem swej ofiary, ale i jej topniejącym umysłem, aby dowiedzieć się, gdzie i kiedy będzie mógł zaatakować kolejną ofiarę.

Ta istota, już martwa, poruszała się jeszcze, sterowana wolą stworzenia, które zabiło ją w tak okrutny sposób, ale jeszcze nie opuściło jej ciała. Cały instykt Burra ponaglał go do ucieczki, choć wiedział, że nic nie może mu pomóc. Jeśli to raz weszło mu w drogę, będzie niezmordowanie podążać jego śladami. Ponieważ było już martwe, istniała przeciw temu tylko jedna broń — miotacz ognia. Było to zagrożenie dla nich obojga. Wyglądało na to, że tamta fantazjotwórczyni postanowiła zabić ich oboje jednym, najsilniejszym ciosem. Burr nie przestawał powtarzać sobie, że to tylko sen, że jedynie wtedy, gdy uzna go za rzeczywistość, ta rzecz zyska moc zabijania. Jednak tkwiący w jego genach lęk przed tą chorobą był tak wielki, że ów logiczny argument okazał się zbyt słaby.

Morze... za plecami tej istoty kłębiło się morze, a klif był wysoki. Gdyby znalazł się jakiś sposób na strącenie jej w dół, zyskaliby na czasie, gdyż to połamane, strawione ciało długo musiałoby pokonywać tak trudną przeszkodę, by odnaleźć ich ślad. Burr, zaciskając zęby, podszedł do zabitego potwora i zerwał z niego płaszcz, nie zwracając uwagi na obrzydliwą miazgę, w jaką zamieniło się jego ciało..

— Masz jeszcze ten obciążony sznur? — rzucił przez ramię. Nie odpowiedziała, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że była już pogrążona w transie. Tym razem zbliżająca się maskara nie poruszyła jej; starała się wysledzić drogę, jaką przebyła od tego, kto ją stworzył. Burr sam odnalazł więc sznur przytroczony do jej pasa. Szarpnął mocno, ale nawet nie zwróciła na to uwagi. On zaś zdobył linę. Odwrócił się teraz i ruszył na spotkanie pełzającej potworności. Lina była dla niego zupełnie nową bronią, ale nie miał nic innego. Nawet gdyby dopuścił to coś blisko siebie, aby zadać cios włócznią, nie przyniosłoby mu to żadnych korzyści, bowiem dopóki istniały gnijące nogi, dopóki istniały kości jej kończyn istota ta mogła pełznąć. Zakręcił sznurem nad głową, tak jak robiła to dziewczyna.

Szansa była niewielka, ale jedyna. Zwolnił linę i zobaczył, jak sznur przecina powietrze i opasuje monstrum nieco poniżej bioder, akurat w tej samej chwili, kiedy wspinało się ono na skałę, z której mogło zeskoczyć tuż przy nich. Teraz upadło jednak na skutek uderzenia. Burr natychmiast zarzucił płaszcz na czołgającą się istotę, tak samo jak poprzednio przykrył tamto oślizłe stworzenie. Próbowwała się uwolnić, a przez jeden z zaplamionych otworów wysunęła się odarta do kości kończyna. Jednak Burr był już gotów. Odwracając dzidę, szturchnął drzewcem poruszający się łach. Jego broń dwa razy uderzała z łoskotem, spychając to ku krawędzi klifu. Z całej siły, gdyż istota zdołała znów unieść się na kolana, uderzył po raz trzeci, w sam środek ukrytej pod płaszczem postaci. Tym razem odsunął ją dość daleko. Przez chwilę bał

się, że to nie wystarczy. Po chwili jednak, gdy potwór próbował się podnieść i odzyskać równowagę, nagle zatoczył się do tyłu i zniknął w dole, w morskich głębinach.

XI

— Mamy na jakiś czas spokój — wykrzyknął z ulgą. Jednak kiedy spojrzął na Uahach, stwierdził, że nawet nie poruszyła głową. Mogła nawet nie zauważyć jego małego zwycięstwa. Chociaż jej usta poruszyły się... — Chodź.

Nie wypowiedziała tego słowa na głos, odczytał je z ruchu jej warg. Jej lewa ręka poruszała się w pewnej odległości od tułowia, jakby poszukiwała czegoś, co miała uchwycić.

Burr rzucił się do przodu i mocno ujął jej dłoń. Czy dokonała tego... znalazła wejście do snu wroga?... Nie śmiał w to uwierzyć.

Świat ogarnęła kompletna ciemność, trudna do wyobrażenia czerń pochłaniająca wszystko.

Burr nie czuł już nawet, czy wciąż trzyma ją za rękę, czy w ogóle jest połączony z dziewczyną. Mrok wypełniało poczucie jakiegoś pośpiechu... Czy tak kończy się sen? Wrażenie zagubienia znów obudziło w nim strach. Czy nie zostaną teraz uwięzieni w tej próżni...? Uwięzieni na zawsze? Przed oczyma mignęły mu dwa obrazy, zamglone skały i wieża. Burr miał uczucie, jakby ciągnięto go w dwóch przeciwnych kierunkach. Później poczuł ból, który nie poraził mu ciała, lecz samo wnętrze duszy. Zapadła całkowita ciemność i nasiliło się wrażenie podróży w przestrzeni. Potem czerń ustąpiła i jego oczom ukazał się jakiś zamglony obraz. Tym razem nie była to wieża ani skały, lecz ciało ułożone na czymś, czego nawet nie widział. Jakaś siła przyciągała go do tego ciała. Ono śniło, a połowa głowy śpiącego była ukryta w hełmie, wzmacniającym i podtrzymującym senną więź. W tej samej chwili Burr poczuł wokół siebie coś dziwnego. Nie był to wymierzony w niego gniew, jakiego doświadczał przedtem... nie, była to raczej potrzeba działania, stanowcza i kategoryczna. Nie promieniowała ona od śpiącego, lecz skądś obok niego samego. Zobaczył, jak z nicości wyłania się jakaś dłoń z zagiętymi palcami, jakby chciała zedrzeć z głowy śpiącego hełm. Równocześnie dotarł do niego bezsłowny rozkaz:

— Już! Podaj mi... już!

Bezwolnie, bez udziału świadomości, pojawiła się w nim chęć wypełnienia tego rozkazu.

Musi, całym wysiłkiem woli, nadać tej dłoni materialny kształt. Poczuł napływ siły, jakiej nigdy by się u siebie nie spodziewał, a wkrótce potem odpływ tej energii. Dłoń zgęstniała, stała się bardziej realna. Wciąż wyciągała z niego moc i zbliżała się bardzo powoli, poruszając się maleńkimi drgnięciami, jakby przedzierała się przez jakąś grubą zasłonę. Nie miał już siły dawać więcej, ale musiał! Jeśli ta dłoń nie spełni swej misji, będzie zgubiony na zawsze. Burr nie miał pojęcia, skąd to wiedział, ale wiedział na pewno, jakby ta wiedza była częścią przekazanych mu informacji. Dłoń przesuwawała się powoli... zbyt powoli. Był już taki osłabiony przekazywaniem jej energii, że czuł się tylko strzępem człowieka, podatnym na byle podmuch.

Zagięte palce wyprostowały się nieco. Nie przypominały już szponów. Palec wskazujący kierował się ku klatce piersiowej śpiącego. Burr nie przerywał swego wysiłku.

Toczył walkę,
jakiej nigdy przedtem nie doświadczył, do jakiej nie był przygotowany. Wszystko
zależało od
jednego palca, od jednego dotknięcia, ale musi ono nastąpić szybko... bardzo
szybko! Ręka
nadal zniżała się nierównym tempem, jakby żywiąca ją energia napływała i
odpływała co
jakiś czas. Wreszcie palec wskazujący dotknął ciała śpiącego, który przez cały
ten czas nie
był świadomy tego, co się z nim działo, a przynajmniej tak wydawało się Burrowi,
od kiedy
znalazł się przy jego boku. Śpiący poruszył się, jakby ten palec był dobrze
wymierzonym
stalowym ostrzem. Usta, widoczne pod krawędzią hełmu, skrzywiły się w jakimś
grymasie, a
może przekleństwie. Burr jednak nie usłyszał ani nie zrozumiał tych słów. Znow
pochłonęła
go ciemność... Był zgubiony...
Ocknął się, czując jakiś ostry ból. Tym razem nie tkwił on gdzieś w jego
wnętrzu, był to
ból cielesny. Ten straszliwy wirus? Wyobraźnia podsunęła mu obraz istoty
wspinającej się po
klifie, by uchwycić go w pułapkę, by...
Z trudem łapiąc powietrze, otworzył oczy. Pochylał się nad nim mężczyzna w stroju z
insygniami służby medycznej i przyglądał mu się z uwagą. Burr zamrugał raz i drugi.
Był oszołomiony.

— Będzie dobrze... — Nawet te słowa wypowiedziane w Basicu brzmiały
dziwacznie i jakby z oddali.

Ciało miał zeszytywniałe i z trudem podniósł roztrzęsione dłonie. Hełm zniknął.
Wrócił!

Świadomość tego uderzyła go falą ciepła. Uniósł się na sofie.

— Uahach? — zapytał drżącym głosem.

— Dojdzie do siebie — zapewnił go medyk. — Już wkrótce, choć... — Ta druga! —
Przypomniawszy Burr. — Tamta fantazjotwórczyni... Zobaczył zwięzające się oczy
medyka. Ten człowiek był powiązany z Radą HQ na planecie, wiedział wszystko o
ich eksperymencie.

— Ona... — Usłyszał Burr głos równie słaby jak swój. Senny hełm został zdjęty.
Szczupła dziewczyna o kędzierzawych, krótko obciętych, ciemnobrązowych włosach i
ostrych rysach, z twarzą wymizerowaną, jak u zagłodzonych, siedziała na sąsiedniej
leżance. Splotła przed sobą szczupłe ramiona i była tak inna od znanej mu Kaitilih, że
trudno było nawet porównywać to chude, bezbarwne stworzenie z jego towarzyszką
snu.

— Chodź... — Uahach spróbowała wstać, ale zachwiała się i upadła. Medyk odwrócił
się
szybko.

— Leż spokojnie! — nakazał.

— Nie! — odparła z naciskiem. — Musimy... zaraz... iść... do niej! Burr chwiejnie
stanął na nogach. Był tak słaby, jakby opuścił ów koszmar poważnie ranny. — Ona
ma rację — powiedział — trzeba z tym skończyć. Ucieszył się, kiedy pojawił się inny

człowiek w mundurze strażnika i stanął obok niego, by mu pomóc. Medyk tymczasem, z wyraźną dezaprobatą dla ich zachowania, pomagał Uahach stanąć na nogi. — Gdzie ona jest? — zapytał Burr.

— Zgubiona... tam... — Słaba odpowiedź Uahach nie była do końca zrozumiała. Kiedy medyk wyprowadził ją z pokoju, tuż za drzwiami natknęli się na patrzącą na nich bez wyrazu Matkę Foost. Nie odsunęła się, zagradyła im drogę. — Na rozkaz twych panów — warknął medyk — pozwól nam przejść.

— Nie wolno włamywać się do Roju! — odrzekła ostro. — W tym przypadku wolno. — Medyk jednym ruchem głowy przywołał kolejnego strażnika. — Odsuń się, bo inaczej zostaniesz odsunięta! Jej twarz wykrzywiła się w grymasie nienawiści.

— Za dużo sobie pozwalacie, wy, przybysze zza świata. Roju nie można wykorzystywać w ten sposób.

— A jeśli ty posłużyłaś się nim, żeby mordować? — zapytał Burr.

Odwrociła się ku niemu, jej twarz znów była pozbawiona wyrazu. — To nieprawda. Dowiodłam już tego, sprawdziliście moją niewinność waszymi metodami.

— Ale ukrywasz morderczynię, która nie jest niewinna — odparł medyk. — Idziemy właśnie po nią. Potem zbadamy jej umysł. Może powinnaś pozbyć się tych, którzy psują Rojowi reputację.

— Rój jest bez winy. Fantazjotwórczynie nie potrafią zabijać... — Nie ustępowała. — Mogę udowodnić — odezwał się Burr — że przynajmniej próbują... Słabość powoli ustępowała, mógł już stać o własnych siłach. Uahach nie odzywała się. Miała skupioną twarz i napięte mięśnie, tak jak wtedy, gdy wszystkie swoje siły skoncentrowała na poszukiwaniu nieznannej przeciwniczki.

Medyk
spojrzał na nią i warknął.

— Odsuń się!

Tym razem Matka Foost skwapliwie wykonała polecenie. Przeszli przez hol i skręcili w drugi korytarz. Władczynie Roju szła za nimi, bo usłyszeli kolejny głośny protest:

— Tam nie ma pokojów snu... Nie wolno wam wchodzić do prywatnych komnat!
Medyk nawet jej nie odpowiedział. Prowadził Uahach, podtrzymując ją ramieniem.

Burr

domyślał się, że wysiłek, jaki włożyła ta esperyjska dziewczyna w to, by mogli tu powrócić,

znacznie przewyższał jego w tym udział. Teraz jednak szła pewnie, jakby potrzeba odnalezienia źródła energii, która próbowała uwięzić ich w świecie snu, była silniejsza od jej

słabości. Wreszcie zatrzymała się chwiejnie przed jakimiś drzwiami w głębi korytarza i

wyciągnęła rękę, dotykając zamkniętego portalu.

— Wewnątrz... — W jej głosie nie było już siły.

XII

Na znak dany przez medyka, strażnik, który stał przy Matce Foost, położył dłoń na klamce.

Przez chwilę wydawało się, że drzwi zostały zamknięte przed intruzami. Potem zaczęły się

odsuwać, powoli, jakby z ociąganiem. Ze środka dobiegało jakieś kwilenie, które mogło

wydawać chore zwierzę. Medyk zajrzał do wnętrza ponad głową Uahach. Był wyraźnie

wstrząśnięty, tym co zobaczył, bo natychmiast odciągnął Uahach do tyłu i ramieniem

zagroził drogę Burrowi.

— Zamknij to, do cholery! — wrzasnął.

Strażnik, nie mniej przerażony, zatrzasnął drzwi. Burr zdążył jednak rzucić okiem na to, co leżało na sofie i próbowało się podnieść. Zobaczył ślepą, gnijącą twarz, zwracającą się badawczo ku tym, których chciała uczynić swymi ofiarami. Nie była tak agresywna, jak na klifie, ale była to ta sama potworna zaraza. Burr podszedł szybko, by podtrzymać Uahach, a lekarz zaczął wydawać polecenia strażnikom.

Burr odprowadził dziewczynę do jej pokoju. Kiedy ułożył ją na sofie i usiadł obok, podtrzymując ją ramieniem, odezwała się powoli:

— To... zawróciło. To, co wyśniła przeciwko nam, stało się częścią niej samej. — Jak to się mogło stać? — spytał Burr. Starł się zapomnieć o tym, co zobaczył w tamtej komnacie, co musi teraz zostać zniszczone, bez litości i jak najprędzej. — Nie wiem — odpowiedziała Uahach. — Choć myślę, że ona nie była prawdziwą fantazjotwórczynią, a przynajmniej nie taką, jakie spotyka się w Ty–Kry. Używała swego talentu po to, by zabijać. Mówiono, że jej talent rozwinął się późno... może była kimś innym, jakąś mutacją wyższego stopnia. Myślę, że próbowała nasłać na nas tę pełzającą śmierć, kiedy udało nam się przerwać sen. Wtedy, nie wiem jak, siła powróciła do tej, która ją wysłała.

Nazywali ją Dynamis. Musimy dowiedzieć się, skąd przybyła i kto kryje się, a może krył, za całą tą sprawą.

— To już nie do nas należy — powiedział Burr. — Niech teraz wezmą się za to te wyszkolone psy.

Uahach westchnęła.

— Musimy złożyć raport...

— Co do tego się zgadzam. Jednak resztę zostawimy Organizacji. My zaś, jestem o tym przekonany, powinniśmy odpocząć. Nawiasem mówiąc — dodał po chwili to jak się naprawdę nazywasz? Nie chciałbym pozostać przy Kaitilih, choć była dzielną wojowniczką, ani przy Uahach, fantazjotwórczyni... Wstrząsnęła się. — Nie jestem fantazjotwórczynią! — Tym stwierdzeniem pragnęła chyba oddalić wszystko, co im dotąd groziło, nawet ten potworny widok w jednej z komnat Roju.

Burr

uśmiechnął się.

— Z pewnością! Powiadają, że Avalon to cudowna, wypoczynkowa planeta. Zanim jednak zacznę się starać o miejsca, muszę znać twoje imię.

— Jestem Ludia Tanguly — odpowiedziała z powagą. — Tak, naprawdę, jestem Ludia

Tanguly! — Powtórzyła, jakby musiała upewnić się co do własnej tożsamości, upewnić się,

że nie zostało w niej nic z Uahach.

Burr skinął głową.

— Znakomicie, Ludia, teraz musimy udać się do HQ i złożyć udokumentowany raport, natomiast później... Wyprostowała się w jego objęciach, jakby powoli wracały jej siły. — Natomiast później... rozważę twoją propozycję — dokończyła z absolutną powagą.